

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/516

1990



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

W.A. ZBYSZEWSKI: **ZMARTWIENIA PESYMISTY**

R. KACZMAREK: **PIERWSZY STRACONY ROK**

Z. ROMASZEWSKI: **TRUDNE DROGI**

DEMOKRACJI

K. WOLICKI: **W SPADKU PO IMPERIUM ZŁA**

B. OSADCZUK: **CÓŻ DALEJ, PANOWIE**

POLACY?

SPIS RZECZY

POLSKA W 1990 ROKU		
W.A. Zbyszewski:	<i>Zmartwienia pesymisty</i>	3
Robert Kaczmarek:	<i>Pierwszy stracony rok</i>	14
Zbigniew Romaszewski:	<i>Trudne drogi demokracji</i>	27
Krzysztof Wolicki:	<i>W spadku po imperium zła</i>	44
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	50
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Bohdan Osadczyk:	<i>Cóż dalej, Panowie Polacy?</i>	63
Krzysztof Gawlikowski:	<i>Chińska mozaika etniczna</i>	67
Andrzej Krzeczunowicz:	<i>Konflikt konstytucyjny a przyszłość Quebecu</i>	75
Janusz Mondry:	<i>Budowanie nowej Europy</i>	81
Peter Zralek:	<i>Widziane w Tiranie</i>	83
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
Maciej Feldhuzen:	<i>Wybuch protestantyzmu w Brazylii</i> ...	86
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	99
—	<i>Rozmowa z Litwinem</i>	104
Berlińczyk:	<i>List z Berlina</i>	110
—	<i>Uchwały Senatu RP z okazji proklamowania suwerenności państwowej Ukrainy i Białorusi</i>	112
SPRAWY I TROSKI		
Jadwiga Styryna-Nawrocka:	<i>Odchodzą w przeszłość</i>	113
—	<i>Pieniądze społeczne tematem tabu</i>	115
KRONIKA KULTURALNA		
Andrzej Dobosz:	<i>O podróży</i>	118
Zbigniew Florczak:	<i>Osmoza</i>	129
—	<i>Komunikat POLCUL Foundation</i>	139
—	<i>Komunikat Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej</i>	141
—	<i>Nagroda im. K.A. Jeleńskiego dla tłumaczy literatury polskiej — komunikat i list P. Vujičića</i>	141
KSIĄŻKI		
Krzysztof Rutkowski:	<i>Zarys historii wspólnot europejskich</i> ..	142
Marek Zieliński:	<i>Pomysł na pismo</i>	146
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	149
WOLNA TRYBUNA		
Leszek Szaruga:	<i>Co zrobić z Wolną Europą?</i>	150
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki amerykańska, australijska i nowozelandzka, kanadyjska</i>	153
•		
J. Grabka, K. Jeżewski, T. Mianowicz, J. Soltan, J. Szeptycki, T. Wyrwa:	<i>Listy do Redakcji</i>	168

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ — Wrzesień - Septembre 1990

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Aleksander I. Bragiński, Jüllich-Barmen (RFN), po raz 41-szy — dol. US 50,00	F. 260,00
F.H. (USA), po raz 25-y — Dol. US 28,00	F. 145,00
Nina Kozłowska, Monachium (RFN) — zamiast kwiatów na grób Tadeusza Wierzbickiego	F. 150,00
Lech Krysiwicz, Montreal QUE (Kanada), po raz 4-ty — Dol. c. 57,00	F. 250,00
S. Kazimierz Mielewczyk, Barry's Bay, ON (Kanada) — pamięci ukochanej żony Stanisławy, zmarłej na kanadyjskich Kaszubach 28.6.1990 r. w wieku 58 lat — Dol. US 20,00	F. 104,00
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci Stefana Kopera, zmarłego w czerwcu br. w Waszyngtonie — Dol. US 25,00	F. 130,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 52-gi — Dol. US 100,00	F. 520,00
Andrzej Romer, Bruksela — dla uczczenia pamięci Edmunda Jakubowskiego — Dol. US 50,00	F. 260,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 20-ty — Dol. US 20,00	F. 104,00

DZIĘKUJEMY!

C.P. Czuchwicki, Panorama, SA (Australia):	
— na Fundusz „Kultury”, po raz 18-ty	F. 200,00
— na książki dla Polaków w Rosji	F. 200,00

M. A., Perth, WA (Australia) — dla uczczenia pamięci Tadeusza Andrzejczaka, w trzecią rocznicę Jego śmierci:	
— na Fundację pomocy Żołnierzom Armii Krajowej im. gen. L. Okulickiego, Warszawa — Dol. A. 300,00	F. 1.302,00
— na Fundusz Daru Narodowego — Dol. A. 300,00	F. 1.302,00
— na Fundusz „Kultury” — Dol. A. 100,00	F. 434,00

Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — zamiast kwiatów na grób przyjaciela śp. Zbigniewa Scholtza, min. rządu R.P. na Obczyźnie — na Fundusz Daru Narodowego Krs 100,00	F. 95,00
--	----------

Dalszy ciąg Wpłat na str. 176

Polska w 1990 roku

*Chcieliście Polski, no to ją macie —
Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie, pstrąg.*

Konstanty Ildefons Gałczyński

Zmartwienia pesymisty *

Luty 1949. Tę właśnie datę nosi numer Kultury, w którym ukazał się po raz pierwszy drukowany poniżej artykuł. Od czasu, gdy został napisany minęło kilka epok historycznych, choć potoczność uzna zapewne tylko rok 1989 za rok prawdziwego przełomu. Czterdzieści dwa lata temu Polska przeżywała najbardziej kerwiozerczą fazę stalinizmu. Trzeba było wielkiej odwagi myślowej i wyobraźni politycznej, by zastanawiać się wtedy nad przyszłymi kształtami ustrojowymi, a zwłaszcza — nad czynnikami, które mogą uniemożliwić, a przynajmniej poważnie zakłócić odbudowę w Polsce kapitalizmu i demokracji. A przecież — pomijając kilka imion własnych — artykuł Zbyszewskiego czyta się tak, jakby był napisany wczoraj.

Rzecz to zadziwiająca i przerażająca zarazem. Świadczy bowiem nie tylko o powtarzalności sytuacji historycznych. Również o trwałości polskich wad narodowych, a jeszcze bardziej — o niezmienności wzoru zachowań właściwych inteligencji polskiej. Artykuł Zbyszewskiego przypominamy w przekonaniu, że poprawne rozpoznanie choroby jest pierwszym krokiem ku wyleczeniu jej i z nadzieją, że opisanym przezeń skłonnościom można skutecznie przeciwdziałać, o ile tylko stawia się to sobie za cel.

Rzekomo nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Chciałoby się, by przykład Zbyszewskiego zaprzeczył temu powiedzeniu. Przewidział on trafnie bardzo wiele z tego, co teraz oglądamy. Oby jego przestrogi dla Polski stały się przedmiotem namysłu i dyskusji.

Krzysztof POMIAN

* Artykuł ten ukazał się w Kulturze nr 19/1949.

Między 1919 a 1939 r. oblicze Polski uległo głębokim przeobrażeniom. Z tych reform jedna tylko zasługuje na bezwarunkowe uznanie: zlikwidowanie analfabetyzmu. Zapewne to przesada, że w 1914 r. ludność Polski nie umiała czytać i pisać; ale w każdym razie w ciągu 20-lecia niepodległości procent „niegramotnych” zmalał z przeszło 30% do około 10%. W 1939 r. analfabeci rekrutowali się głównie z ludzi starszych, a właściwie starych (przeważnie kobiet); w młodszym pokoleniu istnieli tylko na ziemiach wschodnich.

Natomiast inne reformy, choć właśnie dekretowane głównie pod hasłem planowania, grzeszyły i brakiem wszelkiego planu, i nawet jasnej świadomości zamierzeń i celów. W ciągu 20 lat przekształciliśmy Polskę w państwo urzędnicze z pensją na 1-go jako ideałem: kto tego pragnął? Zniszczyliśmy inflacją nasz stan średni — któż do tego dążył? Etatyzmem zarzneliśmy prywatnego przedsiębiorcę, polskiego businessmana: znowuż nie wiedzieliśmy co robimy. Systemem podatkowym okroiliśmy szczupłe polskie kapitały: cui bono? Wreszcie polityką cen spauperyzowaliśmy rolnika, nie tylko „obszarnika”, ale i tego chłopca, któremu wszyscy politycy palili kadzidła. Raz jeszcze: przez nieprzemyślenie zagadnienia raczej niż świadomą wolę.

Reformy w Polsce były wynikiem nie planu, nie świadomej woli, ale 1) demagogii, 2) instynktownej chęci biurokracji rozszerzania swych agend, władzy i liczebności, 3) podświadomego antysemityzmu, 4) najopaczniej pojętego patriotyzmu, wyrażającego się w prymitywnym hasle „obrony państwa”.

Te czynniki grają nadal i będą grały w dalszym ciągu, nawet po wyrzuceniu komunistów — z wyjątkiem może trzeciego, tj. antysemityzmu, który stracił w Polsce wszelkie pozory sensu i racji bytu. „Reformy” komunistów płyną dalej z tychże przesłanek. Demagogiczność nadal króluje, stworzono nową, liczniejszą i znacznie gorszą biurokrację, w selekcji której już wyłącznie odgrywają rolę momenty polityczne, wreszcie „obrona państwa” zastąpiona raczej hasłem obrony reżimu, służy za parawan dla najdzikszej swawoli, najkardynalniejszych głupstw. Myśli reformatorskiej jak nie było tak nie ma.

Nie chcę jednak pisać o nikczemnej agenturze, która obecnie Polską rządzi (o ile Moskwa jej na to pozwala): wolę się przenieść myślą do tej epoki szczęśliwszej gdy Polska się spod dyktatury czerwonej wyzwoli. Jakie reformy, jaki ustrój należy na te przyszłe czasy zalecić?

Nie żebym sądził, iż istnieją poważne szanse dla prawdziwej akcji reformatorskiej w przyszłej Polsce. Nasze stronnictwa — do których zaliczyć trzeba i tych, którzy partiokrację zwalczają, tj. epigonów tzw. obozu sanacyjnego — w dalszym ciągu, i coraz silniej, ulegają wpływom podstawowego prawa naszego życia

politycznego, tj. ruchom odśrodkowym; zamiast łączyć się i współpracować przeżywają rozłamy, kłócą się coraz zawzięciej nawet wówczas, gdy nikt nie może przedmiotu sporu dostrzec, przeistaczają się coraz bardziej w niepodległe kapliczki, pozostające w wojnie ze wszystkimi. Sklecenie koalicji, cóż dopiero „jedności” nie będzie rzeczą łatwą. Skądinąd nie wygląda też na to, by jedno stronnictwo miało poważniejsze szanse na uzyskanie w wolnych wyborach znacznej i trwałej większości. Socjaliści już choćby ze względu na szczupłość ludności robotniczej w Polsce na taką większość liczyć nie mogą. Ludowcy też nie mogą zdobyć wyłącznych rządów w kraju, w którym tylko pewien procent ludności żyje z roli; ponadto ludność rolnicza jest zawsze mniej aktywna i wpływowa politycznie od innych. Stronnictwo narodowe wydaje mi się jedynym, które teoretycznie mogłoby o zdobyciu takiej większości marzyć; ale jego dotychczasowe niepowodzenia, nieumiejętność zgrupowania dookoła siebie ludzi o odmiennej od narodowców przeszłości, każą wątpić, by zdołali oni kiedykolwiek w przyszłości swe potencjalne możliwości wyzyskać. Grupki „sanacyjne” na wyborcze sukcesy liczyć nie mogą. Komuniści będą w wolnych wyborach zmiażdżeni. Duże możliwości mogłoby mieć w teorii stronnictwo katolickie: atoli sztab tzw. Partii Pracy jest zbyt kiszonkowego formatu, by bez radykalnej przebudowy ruchu chadeków powstanie silnego ugrupowania centrowego było możliwe.

W tej sytuacji będziemy zapewne świadkami w Polsce rządów słabych, w znacznej mierze urzędniczych, przy akompaniamencie nieokielzanej demagogii partyjnej. Kombinacja: słaby, trwożliwy rząd, złożony z ludzi przypadkowych i błądych, niepewny nigdy jutra (choć właśnie siłą bezwładu niektórzy ministrowie mogą urzędować latami) i przeżarty demagogią parlament jest oczywiście najgorszą ewentualnością, i możność racjonalnych reform z góry wyklucza.

W każdym państwie i w każdym ustroju musi być pewna klasa rządząca, która stanowi trzon społeczeństwa, której interesy i nastroje w przeważnej mierze przesądzają działalność rządu. W Polsce tą klasą rządzącą może być tylko inteligencja, przede wszystkim urzędnicza i oficerska, niemal w całości wpartzona w ideały pensji na 1-go i emerytury. Burżuazja była zawsze u nas słaba: co prawda właśnie antysemityzm ją osłabiał, bo w dużej mierze była żydowska — i zniknięcie Żydów w teorii pozwalałoby sądzić, że narosnie mocna, sprężysta klasa sklepikarzy, przedsiębiorców, businessmenów, która mogłaby z czasem ująć rządy w swoje ręce. Proces ten wymagałby jednak lat — a w międzyczasie biurokracja go skutecznie zdusi. Przy pomocy demagogii, rządu i stronnictw, inteligencja bez zawodu rozbuduje nową klasę urzędniczą, olbrzymią, źle płatną, mało

wydajną, nieudolną, ale wszechwładną. Sądzę, że główną treścią naszych walk politycznych w przyszłej Polsce będzie podział posad pomiędzy reemigrantów (podzielonych na niezliczone kamarylle), *beati possidentes* z czasów bierutowskich i weteranów z ruchu podziemnego. Każda z tych grup, ba niemal każda jednostka z tych ugrupowań zmobilizuje poparcie wpływowych stronnictw i polityków. W szczególności wynagrodzenie zasług za różnego rodzaju „opór” już z góry przesądzi o charakterze tej Trzeciej Polski. Wszak mamy precedens Legionistów i Peowiaków, a było ich razem zaledwie 20 tysięcy. Przypuszczam, że znowu pójdziemy po tej drodze. Ta administracja będzie zła, droga, przeżarta polityką. Będzie przedmiotem powszechnych narzekan, ale założyłbym się, że tak będzie. Administracja ta sprowadzi na Polskę jej chroniczne w XX w. nieszczęście — tj. potworne przeciążenie podatkowe. Już przecie obecna Polska — o rujnującej inflacji, po faktycznym odpisaniu wszystkich długów, zobowiązań i tytułów własności, po wymarcu większości emerytów i ściągnięciu niedobitków do najniższego poziomu nędzy, jest krajem przeciążonym podatkowo, o nadmiernie rozbudowanym aparacie biurokratycznym. Już teraz, gdy zaledwie w r. 1945 miała wyjątkowe warunki na to, by tej zmory uniknąć.

Wydatki wojskowe są zawsze elementem kardynalnym przeciążenia podatkowego, a „obrona państwa” najłatwiejszym usprawiedliwieniem złej i szkodliwej polityki gospodarczej. Na krótką metę, w okresie depresji i w bardzo rozbudowanych przemysłowo krajach dozbrojenie może być czynnikiem ożywienia — tak było w Niemczech za Hitlera. Rzecz jasna, ten sam skutek koniunkturalny wywarłyby i wszystkie inne inwestycje przemysłowe — jak budowa dróg, kolei itd.

W Polsce budżet wojskowy musi gnieść gospodarkę narodową jeszcze bardziej niż gdzie indziej. Gros wydatków — to u nas zawsze stany liczbowe, nie sprzęt. Pobór oznacza ekonomicznie, że raz x ludzi zostaje na rok czy dwa wyłączonych z produkcji — właśnie gdy najbardziej się do niej nadają, dwa że ich konsumpcja przez ten czas jest pokrywana przez społeczeństwo. Czysta strata. Sprzęt — w warunkach takich jak polskie — zostaje wyprodukowany kosztem i tak szczupłych instalacji stali, miedzi, benzyny, bawełny i innych cennych surowców, przeważnie importowanych, dla przemysłu cywilnego; oznacza to wzrost importu bez cienia ekwiwalentu w możliwościach eksportowych. Można z całą pewnością twierdzić, że wysoki budżet wojskowy jest skazaniem Polski na wieczne ubóstwo, a zatem na niezadawalający ustrój społeczny i polityczny, bo w kraju nędzarzy nie może być ani dobrej konstytucji, ani normalnych stosunków politycznych, ani celowych reform społecznych, ani, co najważniejsze, doskonalenia się moralnego.

Małe kraje zamożne — to bez wyjątku kraje, które w przeciągu ubiegłych lat stu wydawały minimalny odsetek swego dochodu narodowego na obronę i zbrojenia: Szwajcaria, Belgia, Holandia, Skandynawia. Kraje bałkańskie, które utrzymywały liczne armie i miały w stosunku do swych możliwości znaczne wydatki wojskowe — znajdowały się stale w ogniu Europy a ich ludność żyła w okropnej nędzy. Anglia i Francja, a już zwłaszcza Stany Zjednoczone wydawały znacznie mniejszy procent swych budżetów, i zwłaszcza dochodu narodowego na siły zbrojne, niż Polska. Co więcej, wielkie mocarstwa częściowo odbijały sobie te wydatki w postaci kolonii i wierzytelności zagranicznych, których egzekwowanie było zadaniem sił zbrojnych (marynarka angielska, gdy przestała być piratem, stała się w dużej mierze komornikiem). Dla nas wydatki wojskowe miałyby pewien sens tylko w wypadku, gdyby były narzędziem egzekwowania naszych kapitałów, które w r. 1918 utonęły w Rosji. Tymczasem jak wiadomo, nawet 40 milionów rubli złotych, przyznanych nam traktatem ryskim, odzyskać nie potrafiliśmy.

Wielkie mocarstwa mają stałą tendencję do przerzucania swych wydatków wojskowych na słabszych sąsiadów i aliantów. Prasa angielska co dzień z namaszczeniem tłumaczy, że we wspólnej stałej armii zachodnio-europejskiej, Francja winna uczestniczyć ilością 12 dywizji, a Anglia dwóch. Niby dlaczego? Podobnież nieścześnie Grecy ponoszą cały koszt wojny domowej, której wygranie leży w interesie Anglosasów nie mniej niż Greków. Można być zupełnie pewnym, że po rozbięciu Rosji, Zachód nas będzie żywo zachęcał do spełniania roli „przedmurza”, czyli do rujnowania się na wydatki wojskowe — a potem będzie nam zarzucał *polnische Wirtschaft* i „feudalne stosunki”, gdy, wypompowanych na zbrojenia, nie będzie nas stać na inwestycje gospodarcze czy socjalne. Ponieważ nasz charakter się nie zmieni, należy przypuszczać, że się damy wziąć na takie komplekty — *Polonia semper fidelis*, niezrównany żołnierz polski, ten naród marsjalny i takie różne ecie-pecie — i porwiemy za szyzak, zbroję i włócznię, i będziemy stać na straży tej Europy, która wyzyskawszy naszą głupotę, znowu nas komuś sprzeda, Niemcom czy Turkom. Nie, nie; powinniśmy z góry i stanowczo żądać byśmy za tę rolę „przedmurza” byli zapłaćeni bręczącą gotówką — kredytami Anglosasów wielokrotnie przewyższającymi wszystkie nasze wydatki wojskowe.

Czytelnik już widzi po jakiej linii chciałbym, by nasze reformy poszły po odzyskaniu niepodległości. Za dwa naczelną postulaty uważam: 1) uniknięcie przeciążenia podatkowego, co da się skuteczniej tylko przez 2) ograniczenie jak najbardziej drakońskie wydatków wojskowych, względnie (co byłoby oczywiście jeszcze lepiej) całkowite ich przerzucenie na zachodnich aliantów.

Jeżeli chodzi o pierwszy postulat, to powinniśmy pamiętać, że Anglia ugina się obecnie pod reżimem, w którym 40% dochodu społecznego ostatecznie trafia do kasy publicznej. Takie obciążenie jest możliwe tylko ze względu na niezmiernie wysoki poziom moralności podatkowej Anglików, na ich niezwykle sprawną administrację skarbową, wreszcie na bogactwo tego kraju: bogatych łatwiej doić jak biednych. W Polsce, przy dużo niższych dochodach, przy gospodarce w znacznie wyższym stopniu naturalnej, przy niskich rezerwach, przy znacznie słabszej kapitalizacji, przy znacznie większym niedosycie konsumpcyjnym, zabieranie nawet 20% dochodu narodowego przez ciała publiczne — skarb, samorządy, ubezpieczenia społeczne etc. — jest nadmierne: Polska rozwijać się może jako żywotny organizm tylko o ile 90% dochodu społecznego będzie pozostawionych podatnikom.

Z tego wynika, że pierwszym postulatem gospodarki publicznej musi być oszczędność, nie tworzenie posad, wynagradzanie zasług, radosna twórczość wszelkiego rodzaju. Można być pewnym, że siła nacisków w kierunku wręcz odwrotnym będzie fenomenalna — i egzamin na męża stanu zda ten, kto się tym naciskom oprze. Przyznaję, że tego męża stanu nie widzę — Adam Krzyżanowski i Jerzy Zdziechowski są za starzy, Matuśkowski nie żyje, reszta w ogóle tego problemu nie rozumie, i co gorsza pewno nigdy nie zrozumie. Ale konieczność pozostaje faktem.

Najsilniejsze będą reklamacje zasłużonych. Na pewno będzie wśród nich pewna ilość oszustów, jak to zwykle na świecie bywa, ale większość będzie miała niezaprzeczalne tytuły do wdzięczności i odszkodowania od rodaków czyli od państwa: powstańcy warszawscy, bohaterzy A.K., więźniowie i deportowani do Rosji, ofiary więzień i obozów niemieckich, sowieckich i Bezpieki, weterani co zostali na emigracji, różni sterani i zasłużeni działacze co po ciężkich przejściach i latach tułaczki i nędzy będą domagać się spokojnego kąta i wytchnienia na starość. Lekko licząc, będzie na pewno ze 2 czy 3 miliony ludzi w Polsce, którzy będą mieli moralne prawo do jakiegoś zaopatrzenia. A demagogia i rywalizacja stronnictw mogą tę cyfrę jeszcze powiększyć.

To będzie problem Nr 1 naszej polityki wewnętrznej — nie trzeba co do tego mieć złudzeń. Problem bolesny — bo odrzucenie każdej pretensji będzie w pewnym stopniu wyrządzeniem komuś krzywdy. Ale co robić? Będziemy musieli się zdobyć na bezwzględność.

Stosunkowo prosty będzie problem ludzi starych. Tym trzeba będzie dać jakieś zaopatrzenie emerytalne, po cichu modląc się by rychłym zgonem oddali Polsce jeszcze jedną, walną przy-

slugę. Zresztą ją oddadzą: nie jesteśmy długowieczni jako rasa, ludzie powyżej 60-tki stanowią dzisiaj w Polsce zaledwie 9% ludności (w Anglii 25%), niewielu tylko z nas doczeka się biblijnej starości. I chwała Bogu. Nie stać nas na luksus i dużych gromadek dzieci, i sporej trzódki dziadków. W szczególności politycy, którzy są zawsze najkosztowniejsi, powinni umierać młodo.

Dużo trudniejszy będzie problem ludzi w sile wieku i zwłaszcza młodzieży. Wszak niewątpliwie znajdujemy się w tym wyjątkowym położeniu, że mamy sporo chłopców i dziewcząt poniżej trzydziestki, a nawet dzieci poniżej dwudziestki, którzy mają zasługi i tytuły do pomocy i zaopatrzenia z racji swej działalności w podziemiu. Weryfikacja w wielu wypadkach będzie niemożliwa, trzeba będzie działać na wiarę. Istnieje precedens legionistów: i chociaż nikt nie zaprzecza im ani zasług, ani patriotyzmu, ani często wybitnych zdolności, stan przez lat kilkanaście, w którym ich niezaprzeczone zasługi były wynagradzane quasi-monopolem stanowisk, posad, awansów a wreszcie i udziału w życiu politycznym, stan ten był w najwyższym stopniu patologiczny, niezdrowy, dla państwa groźny i zgubny. Czy ta sytuacja się nie odrodzi na rzecz AK-owców, na rzecz kacetowców, więźniów politycznych, byłych sybiraków, byłych ofiar Bezpieki, weteranów spod Monte Cassino itd., itd.? To nie jest straszak, to jest wysoce prawdopodobne. Znam osobiście kilku Akowców i Akaczek, i mam o nich jako ludziach najlepsze wyobrażenie; mimo tego nie widzę w nich żadnego materiału ani na dobrych urzędników, ani na wytrawnych dyplomatów, ani na poważnych i wyrobionych polityków, ani na doświadczonych oficerów, ani na bezstronnych sędziów, ani na światłych prawodawców, ani na zdolnych publicystów. Udzielenie im przywileju, tym bardziej monopolu na władzę musiałoby się skończyć takim samym osłabieniem sił żywotnych społeczeństwa i sklerozą rządów, jak uprzywilejowanie piłsudczyków. Musimy w każdym razie zerwać z systemem, w którym przeszłość całkowicie zasłania teraźniejszość, dawne zasługi pozwalają na robienie wszelkich głupstw w chwili obecnej.

Jeżeli więc zasłużonych nie mamy wynagradzać monopolem posad, stanowisk i rządzenia — a byłoby to rozwiązanie zawsze najfatalniejsze i najkosztowniejsze — to musimy im dać zaopatrzenie materialne. Jedna metoda — to byłoby przyznanie pieniężnych odpraw, ale ta metoda byłaby dla skarbu wysoce uciążliwa. Druga — to rozdać pomiędzy bohaterów farmy na ziemiach odzyskanych i na Zachodzie i na Wschodzie. Lepiej też oddać zasłużonym lasy państwowe, nawet przedsiębiorstwa państwowe — byle by tylko nie powiększać szeregów urzędniczych, nie stwarzać kasty dla której państwo będzie folwarkiem,

podatki źródłem utrzymania, władza monopolem wynagradzającym zasługi.

Obok kwestii urzędniczej, drugim palącym problemem będzie kwestia korpusu oficerskiego. W kraju inteligentnym, ubogim, zagrożonym, o skłóconych partiach, słabych rządach, niskim poziomie życia politycznego, i w którym demagogia jest rozpanoszona do ostatnich granic, istnieje naturalna tendencja do oglądania się za armią jako za jedyną gwarancją istnienia państwa, za stróżem mądrości stanu, do powierzenia rządów generałom i oficerom. Ci zaczynają od uważania się za państwo w państwie, kończą na stworzeniu *absolutum dominium*, w którym kraj jest tylko dodatkiem do armii, rząd adiutanturą Giszcu czy sztabu. Tego rodzaju dyktatura wojskowa musi zawsze matematycznie doprowadzić do klęski wojskowej w następnej wojnie, a następnie do zupełnego załamania się państwa, do przewrotów lub rozbiorów.

Wojna ostatnia była prowadzona przez cywilów: Hitlera, Stalina, Churchilla, Roosevelta itd. Dwa państwa, w których rządziło wojsko — Polska i Jugosławia — okazały się do wojny właśnie najgorzej przygotowane. To generałowie kapitulowali: Keitel, Pétain, nie cywilni wodzowie.

Musimy więc w Polsce ustalić absolutną supremację władz cywilnych, co powinno się m.in. wyrażać w tym, że tekę obrony narodowej powinna stale dzierżyć osoba cywilna. Podobnie zaopatrzenie sił zbrojnych powinno być wojskowym odebrane — i przekazane wyłącznie cywilom. Zawodowi wojskowi powinni mieć hojne emerytury — ale nie należy ich nigdy przenosić do administracji cywilnej. Wreszcie w sprawach politycznych i gospodarczych wojsko powinno zachowywać najściślejsze milczenie — o obronie państwa powinni pamiętać cywilni politycy. Jeżeli wojsko będzie rozbudowywać przemysł, organizować autarkię itd. — będziemy bankrutami z jednej strony, a z drugiej nie będziemy mieli siły zbrojnej zdolnej do wojny chociażby z najmniejszym państwem.

Pragnę myśl moją uczynić jak najbardziej jasną. Wyznaję wiarę demokratyczną, choć znam wszystkie argumenty historyczne, które przeciw niej przemawiają. Powrót wszelako do rządów arystokratycznych był i jest zupełnie wykluczony w Polsce, podobnie jak i na całym świecie — i jedną alternatywą do ustroju demokratycznego są rządy nieodpowiedzialnych klik biurokratyczno-wojskowych, traktujących dany naród i dane państwo jako swój prywatny folwark. Taką jest właśnie obecna forma rządów we wszystkich krajach satelickich — i może się ona odrodzić choć na inne kopyto. By zapobiec temu zasadniczemu nieszczęściu, trzeba 1) uniemożliwić powstanie rozbudowanej, wszechwładnej biurokracji, 2) zapobiec istnieniu dykasterii

wojskowej, niezależnej od władz cywilnych, 3) tępić pogląd że zasługi wytwarzają przywileje polityczne. Rozwydrzenie partyjne, zawsze smutne i szkodliwe, staje się naprawdę groźne dopiero z chwilą gdy a) praworządność jest zachwiana, b) administracja i wojsko są upartyjnione i nadrzędne w stosunku do reszty ludności. Niech nasi demokraci wreszcie zrozumieją, że demokracji nie może dzisiaj zagrażać kapitalizm ani burżuazja ani obszarnicy ani arystokraci — lecz tylko i wyłącznie uprzywilejowana biurokracja i niekontrolowana hierarchia wojskowa.

O ile nie unikniemy powstania w Polsce oligarchii biurokratyczno-wojskowej, z istoty totalitarnej, wszelkie inne reformy nie na wiele się przydadzą. Państwo oczywiście nie może istnieć bez administracji i bez wojska. Jedną z zasadniczych gwarancji przeciw dyktaturze tych dwu czynników upatruję w podmurowaniu praworządności.

Praworządność jest rezultatem przykładu i praktyki: żadne kazania tu nie wystarczą. Jeżeli rząd będzie dawał przykład bezprawia, kłamstwa, niedotrzymywania obietnic — autorytet prawa zmaleje do zera. Jeżeli partie będą stosować inną miarę do przeciwników, inną do „swoich” — autorytet prawa będzie zachwiany. Gwarancją praworządności muszą być sądy, nie tylko ich skład, ich nieusuwalność, ich uposażenie, ich prawdziwa niezależność, ale również ustrój sądownictwa i procedura sądowa. We wszystkich tych dziedzinach powinniśmy wzorować się na Anglii. Sędzia śledczy, ten agent wszelkich nadużyć — powinien zniknąć, rolę prokuratorów tak jak i obrońców winni objąć adwokaci, kary za oszczerstwo powinny być zaostrome, sądy winny mieć prawo pociągać urzędników do odpowiedzialności za samowolę, nadużycie władzy, złą wolę wobec petentów i wymierzanie im surowe kary. Warunkiem praworządności jest także maksymalna jawność życia politycznego i publicznego — w szczególności rachunkowości publicznej.

Będziemy społeczeństwem egalitarnym, po pierwsze dlatego, że stan taki jest naturalny w krajach ubogich, po wtóre, ponieważ jesteśmy z natury zawistni i widok ludzi zamożniejszych od nas bardziej nas irytuje niż własne ubóstwo. Wyrównanie dochodów ujemnie wpływa na kapitalizację, ma też wysoce ujemny wpływ na rozwój kultury. Ale na to nie widzę rady. Nie zniesiemy widoku milionerów. Dobrze, jeżeli powstanie u nas liczna warstwa ludzi średnio zamożnych.

Z tego wynika, że inwestycje będą w dalszym ciągu robić przeważnie korporacje publiczne. Zatem wymagają planu. Choć o planowości tyle gadaliśmy w epoce Kwiatkowskiego, właś-

nie bezplanowość była główną cechą jego poczynań. Stworzony takim nakładem sił i środków — które, użyte gdzie indziej, dałyby dużo wyższą dywidendę w dochodzie społecznym — COP nie dał nam absolutnie nic w chwili wojny — tj. właśnie w tej, dla której został stworzony. Jestem głęboko przekonany, że tak zwane plany inwestycyjne Minca i jego pachołka Kaczorowskiego (którego w międzyczasie na łeb wypędzono) są tak samo rzucaniem piasku w oczy. Nie zapewnią Polsce ani dobrobytu ani obronności, ani postępu. Rozumiemy plany prymitywnie — tak jak Moskale: tu trzeba stworzyć fabrykę, tam wywiercić szyb — jednym słowem jako zespół czynności techniczno-fizycznych. Tymczasem planowanie oznacza hierarchię potrzeb i stworzenie warunków — i nic więcej. Rozumieją to Anglicy — w mowach Crippsa, który się zna na sprawach gospodarczych (przesadza tylko w pesymizmie) nie ma nigdy jednego słowa o nowych hutach, fabrykach itd. — on porusza tylko sprawy obciążenia podatkowego, bilansu płatniczego, poziomu płac, cen, kapitalizacji — wie że reszta pójdzie automatycznie. W Polsce plan gospodarczy powinien się sprowadzać do 1) niskiego obciążenia podatkowego, 2) maksymalnego wysiłku eksportowego, 3) inwestycji komunikacyjnych. Jest śmieszna rzeczą budować fabryki, jak w COP'ie, gdy nasza sieć drogową i kolejową wygląda tak jak obecnie. Transport — to system nerwowy nowoczesnego gospodarstwa. Póki wygląda równie prymitywnie jak dotychczas, żadnego rozsądnego planu gospodarczego zrobić nie można. Drogi, koleje, porty, lotniska, autobusy, pociągi, metra, statki, samoloty transportowe: oto cały plan na szereg lat.

Oczywiście, gdy mowa o planie, to trzeba pamiętać że podstawą jego jest zawsze pewien obszar geograficzny. Państwo o granicach zmiennych czy choćby zagrożonych nie może planować, nie może się rozwijać, musi być z założenia wypaczone. Tu tkwi moment niezmiernej wagi. Postulatem naszym powinny być granice sztywne.

Polska powinna być państwem rolniczym. Losy naszej emigracji raz jeszcze dowiodły, że nie mamy talentów finansowych, handlowych, talentów do wielkich interesów. Polak, który kupił farmę, założył drobny warsztat rzemieślniczy prosperuje: Polak, który zakłada wielką firmę bankrutuje bardzo szybko. Na stu Żydów polskich, którzy na uchodźstwie zrobili majątek, może jest jeden Polak, który się dorobił. W Stanach Zjedn. nie ma żadnych przeszkód dla „inorodców” — istnieją tam, obok milionerów żydowskich milionerzy włoscy, irlandzcy, skandynawscy, niemieccy, nawet czescy — nie ma polskich. Zadawajmy się małym. Ograniczmy nasze ambicje do tego, by zostać drobną burżuazją. Uprzemysłowienie Polski — to postulat głów-

nie tzw. obrony państwa. Ale dzisiaj wiemy doskonale, że sami obronić się nigdy nie potrafimy, że na przemysł wojenny nas nie stać, że możemy oprzeć się tylko na produkcji i sprzęcie wielkich mocarstw. Więc po co te wysiłki? Tymczasem nasze rolnictwo może wydatnie zastąpić nawet drogą Argentynę czy tym bardziej Stany jako eksporter masła, jaj, bekonoń, mięsa, drobiu, sera, warzyw i nawet zboża do wygłodzonej zachodniej Europy. W Federacji Europejskiej musimy być stanem rolniczym, tak jak w Ameryce są Kansas, Iowa, Nebraska czy obie Dakoty. A zwiększenie naszej produkcji rolniczej — to niskie podatki i dobra sieć komunikacyjna.

Dwa są jeszcze pola dla działalności reformatorskiej. Jedno — niesłychanie trudne — to oświata. Musiała być zła, skoro wyprodukowała takie morze pół inteligencji, taką pasję do frazesu, taką płytkość — a patriotyzm niewątpliwy nie potrafi zrównoważyć tych wszystkich wad i braków. Oświata musi nie tylko dać wykształcenie znacznie bardziej staranne i praktyczne — ale również zmodyfikować nasz charakter narodowy: wyleczyć nas z hysterii, blagi, lenistwa, *self-pity*, przede wszystkim z hysterii. Wydaje mi się że trzeba znakomicie powiększyć liczbę internatów na wzór angielski, wprowadzić internaty na uniwersytetach, kolosalnie podnieść skalę wymogów, zaostrzyć egzaminy, relegować leniów bez pardonu, radykalnie obniżyć liczbę studentów prawa, studentek filozofii i sztuki. Trzeba, by młodzież inteligencka znacznie wcześniej zabierała się do pracy — dość tych żelaznych studentów. Trzeba żelazną miotłą wypłenić politykę z wyższych uczelni, tym bardziej ze szkół średnich. Trzeba, trzeba — ale kto to zrobi? Poziom młodzieży uniwersyteckiej był dużo gorszy w r. 1939 niż w 1921, a tej niż studentów galicyjskich w 1910. Wyobrażam sobie jak beznadziejny jest dzisiaj. Pół-oświata jest bodaj jeszcze groźniejsza niż ciemnota. Zaznaczam że wychowanie dziewcząt wydaje mi się jeszcze gorsze niż mężczyzn. To co słyszę o mej siostrzenicy w Polsce napełnia mnie przerażeniem. Ah, jak szczęśliwe są dzieci polskie, które studiuja w znakomitych angielskich katolickich szkołach klasztornych! Czy moglibyśmy skłonić benedyktynów angielskich, jezuitów francuskich, by założyli choć kilkanaście szkół w wolnej Polsce?

Ostatnia dziedzina — i bodaj jedyna w której wierzę, że pójdziemy za głosem rozsądku — to dziedzina zdrowia i higieny. Cóż jest większym marnotrawstwem, jak obecność ludzi schorowanych, jak wysoka śmiertelność. Każdy wydatek na szpitala, na przychodnie, na sanatoria, na domy położnicze, na leczenie, na źródła lecznicze się zawsze opłaci. Musimy zwłaszcza nie żałować środków na leczenie nerwowo chorych: połowa naszej ludności jest stuknięta, zwłaszcza wśród kobiet

procent tych schorzeń jest zatrważający. Ale leczenie nie wystarczy. Trzeba wzmoczyć czystość, bo brud to rozsądnik chorób. Choćby szaleły i ubikacje w Polsce — przecież to był jeden skandal. Trzeba ponadto przyzwyczaić Polaków do racjonalnego odżywiania. System, według którego ludność miejska spożywa obiad o 3-ciej czy 4-tej po południu musi prowadzić do przedwczesnego starzenia się, do ciężkich zaburzeń już po czterdziestce. Trzeba rozwinąć sport, zahartować młodzież. Trzeba oczywiście zwalczać jak najbardziej bezwzględnie alkoholizm. W tym celu, jako pierwszy krok zalecałbym każdemu rządowi w Polsce zwiększenie pięciokrotnie akcyzy od wódki, obniżenie podatku od piwa i wina. Gdyby tutaj, tak jak w Polsce, whisky i gin kosztowały nie 30 i więcej szylingów za butelkę, ale 3 szylingi, cała ludność byłaby od rana pijana.

Ale nie trzeba się łudzić. Nie ma nadziei na rozsądne reformy w Polsce. Będzie licytacja frazesów, demagogii, patriotyzmu, będzie wojna stronnictw, kłótnie o politykę, a w praktyce rozbuduje się nowa biurokracja, która z Polski zrobi chudą ale dojną krowę. Zdaję sobie sprawę, że mój głos będzie głosem na puszczy, a to że się okaże iż przepowiadałem trafnie, nie napawa mnie żadną pociechą.

W. A. ZBYSZEWSKI

Pierwszy stracony rok

Historia ciąży na rozwoju sytuacji w Polsce, także historia najnowsza ruchów opozycyjnych. Fatalną bolączką młodej Rzeczypospolitej jest brak fachowców, alternatywnych programów, brak „ludzi”. A jednak to nie komuniści hamują dziś rozwój i rzeczowy dobór kadr kierowniczych kraju oraz kształtowanie operacyjnych strategii. Na nieskuteczność polskiej polityki wpływają niejasne mechanizmy awansów w środowiskach nowej władzy, zawodowa przeszłość liderów, ich rodowody ideowe, przyzwyczajenie do otrzymywania pomocy z Zachodu i nadmierne oparcie w strukturze rodzimego Kościoła.

Do przeszłości należy nadzwyczajne zjawisko solidarności klasowej Związku z okresu 1980–1981. W NSZZ „Solidarność” dominują dziś robotnicy. Przez długie, wyczerpujące lata stanu wojennego zaznaczył się odpyły inteligencji, zwłaszcza technicznej: część wyemigrowała, część zajęła się inicjatywą prywatną

albo wróciła do stanowisk kierowniczych w zakładach. Jednej z przyczyn dopatrzeć się można w długotrwałej jałowości życia podziemnego, spotęgowanej nużącymi sporami o priorytety walki, wśród których górę brały różne postacie bojkotu i starć ulicznych. Z drugiej strony technikom łatwiej przychodziło układanie się z reżymem w ramach własnej, pozornie neutralnej, specyfiki zawodowej, niekiedy aż do zaprzęstwa: tak na przykład na Śląsku dozór często szedł ręką w rękę z wojskowymi. Z grona społecznie czynnych ubywali nie tylko inżynierowie, lecz także dobrzy fachowcy szczebla robotniczego. Aura skuteczności, a później i czar prawdziwej władzy przeniosły się gdzie indziej, przyciągając ludzi życiowo zorganizowanych ku nowym horyzontom — niekoniecznie politycznym.

Inna sytuacja rozwinęła się w zawodach nie-technicznych, zwłaszcza humanistycznych. Szczególna koniunktura na kulturę niezależną, w dużym stopniu opłacaną z Zachodu, sprzyjała powstaniu licznej grupy twórców — pisarzy, dziennikarzy, piosenkarzy, aktorów — czerpiących z działalności zawodowej środki do życia i cieszących się zarazem społeczną sympatią i szacunkiem. Przyczyną tego było zaangażowanie polityczne tej kultury, nie tylko przez sam fakt, że będąc niezależną musiała godzić w system — ale dlatego, że jej treścią najczęściej była antykomunistyczna deklaracja. Zapewniała ona polityczne istnienie nawet poza strukturami Związku, który zresztą ulegał pogłębiającej się marginalizacji. Jednym z ważnych następstw intensywnego, antykomunistycznego kultu jest wykształcenie się ze środowiska kultury grupy liderów, którzy wespół z wojowniczymi kombatantami robotniczej „S” utworzyli polityczną elitę narodu. Nastąpiła wtórna izolacja technokratów, zdystansowanych w hierarchii społecznego zaufania, bardziej niż kiedykolwiek zwróconych ku inicjatywie prywatnej i lokalnym zawodowym priorytetom. Z dwugłowej elity politycznej przywódcy robotników pozostali w obrębie struktur Związku, natomiast władzę w ścisłym tego słowa znaczeniu objęli przedstawiciele niezależnej kultury i sztuki. Trzon rządu, przygniatająca większość OKP, duża część nowych władców regionalnych i niemal wszyscy koryfeusze niekomunistycznych środków przekazu, to ludzie którzy nie mieli styczności z gospodarką, techniką czy humaniami. W godzinie technologicznego wyzwania krajem rządzą humaniści, wspomagani kilkoma uczonymi.

Postacie nowych dostojników osobliwie rysują się na tle nienaruszonych struktur urzędowych, wypełnionych funkcjonariuszami komunistycznymi. Argument braku kadr jest obłudny: wynikająca z niego reguła dziwnym trafem znajduje zastosowanie tylko w odniesieniu do pośrednich stanowisk. Innymi słowy, ministrów Polska ma pod dostatkiem, natomiast zastępców i średnie kadry po prostu nie wiadomo skąd brać.

Polityka kadrowa tknięta jest paraliżem tak, jak każda inna polityka w Polsce. Dynamika, odwaga, wyobraźnia to pojęcia w niewysokiej dziś cenie i w doborze ludzi rządzący z niechęcią wychylają się poza kumoterstwo i stabilną mitologię okrągłych stołów. Nomenklatura komunistyczna, przejściowo potulna, lub nawet gorliwa, dobrze spełnia te oczekiwania.

Jednostronne, niezróżnicowane doświadczenia polskich polityków odgrywają ważną rolę wśród przyczyn ich nieskuteczności. Jedyńm sposobem nabycia nowych umiejętności byłoby zwanie się ze światem na własnym terenie. To jednak wydaje się mało prawdopodobne, ponieważ obyczaje społeczeństwa sterowanego pielęgnuje polityka rządu, tknięta historycznymi kompleksami, nieskora do analizowania współczesnego świata, czerpiąca inspirację z gabinetowych olśnień i tradycyjnej nieufności do własnego społeczeństwa. Tendencją ustaleń prawnych zatem jest szczegółowa kodyfikacja wszystkich możliwych sytuacji, co nazywane jest troską ustawodawcy o ład prawny, natomiast cechą działań rządowych jest brak własnej inicjatywy, nieumiejętność inspirowania zaradności społecznej i niechęć do rządzenia czymkolwiek, czemu ministrowie nadają miano liberalizmu. W stosunku do Zachodu ubiegłoroczną politykę roszczeń zastąpiły zabiegi o odroczenie spłat, o szkolenie fachowców oraz obrona przed Krzyżakami. W polityce wschodniej dostrzec można przede wszystkim zdumienie i niepokój, że chyba Imperium się rozpada.

W zasadzie tak integralne niedołęstwo elity władzy powinno rychło sprowadzić ją do politycznego niebytu. Do steru spraw doszliby inni, młodszy, równie jak kombatanci niedoświadczeni, ale przynajmniej dysponujący wolą zrobienia czegoś pozytywnego w życiu. Zmiana sztafety wydaje się jednak w kraju niemożliwa z uwagi na nieskończoną wyrozumiałość społeczeństwa w stosunku do swoich pasterzy. To chyba echo tęsknot polskiego mitu wodzostwa oraz następstwa przyzwyczajenia społecznego z czasów, kiedy rolą pasterzy była nie władza, ale obrona wartości.

Nikt nie zaprzeczy szczególnej roli kleru w polskiej historii, szczególnie najnowszej. Triumfujący Kościół na ogół gotów był do wsparcia wątłej tkanki niezależnych ruchów społecznych, a w stanie wojennym stanowił wręcz życiowe zaplecze „Solidarności”. Moralność zdominowała scenę polityczną, moralność niekiedy nominalna, tym niemniej kształtująca układy odniesienia wobec absurdu komunistycznego. Niedoskonałość księży nie miała tu nic do rzeczy; księża nie mogą w końcu odbiegać poziomem od przeciętnej społecznej, są tacy sami jak my.

Chcę tu zwrócić uwagę na zanik krytycyzmu społecznego pod adresem przywódców, zjawisko, które moim zdaniem wywo-

dzi się wprost z tradycji polskiego klerykalizmu. Rolę przywódczą księży przejęli działacze cywilni i w zgodzie z własnymi pierwowzorami rządzą dziś opierając się o odwołania moralne, nie zaś kategorie rzeczowe. Pozornie walka o władzę między Wałęsą i triumwiratem Mazowiecki-Geremek-Michnik zdaje się wprowadzać na scenę elementy konfrontacji politycznej, ale to konfrontacja chora, oparta o kategorie negatywne i posługująca się głównie podjazdami personalnymi. Obie strony solidarnie wmawiają ludziom, że nie może być inaczej, bo brak jest programów alternatywnych, pozostaje zatem wiara i zaufanie; zyskuje na tym ten, co ma realną władzę, to jest rząd. Cieszy się on nadal zaufaniem społeczeństwa, nikt nie wyobraża sobie potrzeby kontroli jego poczynań. Wprawdzie nowi władcy nie wyglądają na przesadnie kompetentnych ludzi, ale kto jest doskonały? Czyż przed rokiem nie obalili oni komuny?

W powyższym rozumowaniu największym z błędów jest ocena roli dzisiejszych ministrów w obaleniu komuny. Ten przedziwny ustroj dotarł był do granic własnego rozwoju, to jest rabunkowej eksploatacji rezerw ludnościowych, surowcowych i kredytowych. Tym sposobem osiągnięty został stan całkowitego paraliżu gospodarki i niewydolności zespołu wojskowego, beznadziejnie zdystansowanego przez nowoczesne technologie oraz dynamiczne strategie i systemy zarządzania Zachodu. Komuna upadła, bo dożyła własnej śmierci i paradoksalnie dyplomacja Solidarności u zarania wolności oraz dzisiejsza nieudolność rządu RP przedłużają trwałość resztek naukowego ustroju.

Jedną z cech tego ustroju, jak wiadomo, jest pełna nieskuteczność rządów. Poczynania poszczególnych resortów władz RP nakładają w tym względzie do głębokiego pesymizmu.

Sprawy międzynarodowe

Prace resortu Skubiszewskiego to pasmo błędów i pozornych zwycięstw, ale tym niemniej minister cieszy się w Polsce opinią najbardziej fachowego członka rządu. Ten paradoks wytłumaczyć można populizmem polskiej polityki zagranicznej, która bez reszty poświęciła się obronie narodowych kompleksów i historycznych resentymentów.

Do końca ubiegłego roku Skubiszewski był dość niewidoczny, po świecie hulali związkowcy, niosąc wszędzie ten sam *message*: zrobiliśmy, co do nas należało, teraz prosimy o pieniądze na stół. Rychło ochłodziło to zainteresowanie Polską ze strony sfer finansowo-przemysłowych Zachodu. O ile szkodliwa rola Wałęsy nie ulega tu wątpliwości, to zwrócić należy uwagę.

że szare wówczas eminencje tworzącej się i w pełni już uprą-
womocnionej elity władzy — Mazowiecki, Geremek, Michnik,
Onyszkiewicz, Skubiszewski między innymi — wypuszczając
Przewodniczącego do boju sami albo przezornie nie zabierali
głosu, albo — jak Paszyński, Bujak, Onyszkiewicz, Trzeciakow-
ski, Geremek — mówili to samo, co on. Cała zaś niezależna
prasa basowała skrajnie rewindykacyjnym żądaniom Wałęsy, na-
dając im pseudoracjonalną sankcję. Promotorem dyskretnej
marginalizacji Polski w strategiach wielkiego kapitału był Prze-
wodniczący, ale w rzeczywistości pracowali na nią wszyscy
pospołu.

Na przełomie roku Wałęsa zaczął sobie chyba zdawać
sprawę z błędu i pozostawił innym scenę międzynarodową, po-
wracając na nią od wypadku do wypadku, za to wyjątkowo nie-
fortunnie. W marcu na przykład wywołał na Zachodzie osłupie-
nie, nawołując do zmazania Niemiec z mapy Europy, jeśli
jeszcze raz... Opcja antyniemiecka to kolejne, poza normalnymi
roszczeniami, *dossier* polskiej dyplomacji drewnianego konika,
przy czym do czołowych ról doszli premier, minister spraw
zagranicznych i szef OKP.

W czasie pierwszego spotkania Mazowieckiego z Kohlem,
jesienią ub. roku, kanclerz mówił o epoce integracji a premier o
prawie każdego narodu do życia w bezpiecznych granicach.
Czuło się, że obaj panowie nigdy się nie porozumieją. Czy wza-
jemne zrozumienie leży premierowi na sercu, trudno powiedzieć;
przychodzi na myśl historia obsadzenia stanowiska ambasadora
w Bonn, gdzie premier odmówił mianowania cieszącego się w
Niemczech poważaniem Bartoszewskiego, utrzymując, że ... za
długo tam był i utracił obiektywizm.

Obiektywizm rządu w polityce niemieckiej oparty jest —
jak się zdaje — o realia Józefa Becka. Mazowiecki odmawia
Kohlowi układu o wspólnym rozwoju regionów Saksonii i Ślą-
ska, za to domaga się formalnych gwarancji granicznych. Skubi-
szewski jedzie do Paryża, gdzie z naciskiem bagatelizuje stosunki
polsko-niemieckie i podkreśla, że głównym partnerem politycz-
nym Warszawy jest Paryż. Mówi nieprawdę i mówi głupstwa —
ale celem zachodniej polityki polskiej nie jest rozwijanie rzecz-
owych stosunków, lecz uwiarygodnienie zagrożenia niemieckiego.
Istnienie takiego zagrożenia ogromnie ułatwiłoby polskie starania
o utrzymanie *status quo* w Imperium.

Ponieważ to ostatnie nie leży ani w interesie Polski, ani
Europy, ani skądinąd samego Imperium, przyjąć wypada, że tro-
ską polskiej dyplomacji jest los Raissy i Michaiła Gorbaczowych.

Ceną za poparcie stanowiska Gorbaczowa jest opuszczenie
Litwy i Ukrainy, marginalna rola Polski w Europie wschodniej,
a także statyczna polityka gospodarcza, zwłaszcza surowcowa, w

stosunku do ZSSR. A tymczasem sytuacja międzynarodowa jest
wyjątkowo korzystna. Rozpad Imperium umożliwia wysiłki na
rzecz wspólnej polityki krajów wyzwalających się. Integracja
Zachodu może służyć integracji całej Europy. Upadek komu-
nizmu na Wschodzie i zakwestionowanie ideologii wzrostu na
Zachodzie to dobry punkt wyjścia dla poszukiwań globalnej od-
powiedzialności wszystkich za planetę, innymi słowy szansa
negocjowania zasad stosunków międzynarodowych, a w szcze-
gólności nowego układu finansowego. Nadzwyczajny rozwój
ponadnarodowych grup przemysłowo-finansowych wprowadza
nowe podmioty globalnych strategii. Polityka międzynarodowa
mogłaby w tych warunkach stać się skutecznym narzędziem prze-
mian gospodarczych, gdyby szefowie dyplomacji RP zdawali
sobie sprawę, że wolność ubogiego, to przede wszystkim szansa
uniwersalizmu, a potem dopiero prawo odrębności. Że niezrówno-
ważone układy to możliwość nowej dynamiki politycznej, a nie
tylko podstawa do paniki i klajstrowania jedyne go znanego sobie
porządku.

Dalekosieżnymi efektami polskiej polityki zagranicznej są:
izolacja kraju na arenie międzynarodowej, odsunięcie w odległą
przyszłość szansy zbliżenia z Niemcami, utrata potencjalnego
zaufania wschodnich sąsiadów. W planie wewnętrznym ksenofo-
bia, promocja prowincjonalizmu i niezaradności, pogłębienie
resentymentów nie z tej epoki — to rozległy bilans pierwszego
roku na poły suwerennej dyplomacji polskiej.

Finanse

Zespół objawów ideologii finansowej, jakiego dostarcza dzia-
łalność Balcerowicza, nie jest w Polsce zjawiskiem nowym.
Podobnego przykładu dostarczają reformy Grabskiego z połowy
lat dwudziestych. Jest to temat pouczający, ponieważ Balce-
rowicz nazywany bywa nowym Grabskim, nie bez przewrotnej nie
uświadamianej racji.

W połowie lat dwudziestych wojennym zawołaniem resortu
była mocna i trwała złotówka. Minister z żelazną dyscypliną i
przy dużym poparciu społecznym cel ten osiągnął. Pierwsze
efekty takiej polityki były oczywiście korzystne, ale uporczywe
utrzymywanie sztywnego i wysokiego parytetu pozbawiło mo-
netę roli modelującej stosunki gospodarcze podług zmiennych
napięć na rynku. Korzyści gospodarcze jakie stąd płynęły można
oceniać dwuznacznie, wobec jednak pozagospodarczych kryte-
riów oceny, związanych z odzyskaniem niepodległości i wykazy-
waniem dumy narodowej za wszelką cenę, nikt nie zadał sobie
trudu przeanalizowania poniesionych przy tym strat.

Dziś polityka finansowa rządu spowita jest bardziej niż kiedykolwiek czarem ideologii. Okazuje się, że dotychczas cyfry były nie takie jak trzeba, nakazem chwili jest zatem ich korekta. Zespół magicznych cyfr, to mianowicie inflacja i równowaga budżetowa.

Kontrola obu stanowi oczywiście warunek konieczny skuteczności gospodarczej. Innymi słowy realizuje się on w procesie gospodarowania, oznaczającym stymulowanie produkcji, handlu i usług oraz utrzymywanie równowagi konsumpcji i wydatków. Polityka, która zaniedbuje imperatyw wytwórczości, a zajmuje się wyłącznie uśmierzeniem burzliwego krążenia istniejącej masy pieniężnej, nabiera charakteru cyfrowej magii. To przypadek polityki rządu RP. W przekonaniu, że rozwój gospodarczy rodzi inflację oddalono niebezpieczeństwo masowych inwestycji, a także rozwoju produkcji i spożycia poprzez uwolnienie cen z jednoczesną blokadą zarobków, oraz przez drogie kredyty, formalny rygor podatkowy i zamknięcie rynku dla wielkiego kapitału zagranicznego. Dla przeciwstawienia się bowiem tendencjom inflacyjnym bez duszenia gospodarki niezbędne są umiejętności gospodarowania na granicy stabilności oraz zwykła odwaga, dla inicjowania społecznego rygoru inwestycyjnego — na przykład długoterminowego oszczędzania zwiększonych zarobków. Wobec braku powyższych cech wybrano zdławienie gospodarki, która w tych warunkach staje się ograniczoną, choć przekraczającą oczekiwania inflacją — ale z łatwością tworzy nadwyżki budżetowe, przynajmniej gdy chodzi o budżet centralny. Zaczarowany krąg cyfrowego mitu zamyka się bez zarzutu.

Wyjątkowo szkodliwą rolę odgrywa przejęty od komunistów „popiwek” czyli podatek od wzrostu wynagrodzeń. Bez zwracania sobie głowy intensywnym gospodarowaniem pozwala on na trzymanie w ryzach inflacji za cenę zahamowania rozwoju przedsiębiorstw i wzrostu wydajności pracy. Balcerowicz, ze wrokiem utkwionym we wskaźniki inflacyjne, wielokrotnie bronił „popiwku”, z dumą podkreślając, że zapobiegnie on wielu bankructwom. Już choćby to uzmysławia w pełni, że minister finansów w ogóle nie rozumie co czyni.

Dodajmy, że przedsiębiorstwa znalazły na to dość szybko sposób, przeczekując reformę poprzez ograniczanie działalności i zwalnianie pracowników produkcyjnych. W czerwcu br. spadek produkcji osiągnął 30% w stosunku do analogicznego okresu roku ubiegłego, a ilość bezrobotnych zbliżyła się do 600 tysięcy. Czy rząd chce wykazać, że za tę cenę dokonała się jakakolwiek „restrukturalizacja” gospodarki? Do końca roku ilość bezrobotnych zbliżyć się może do dwóch milionów. Czy rząd będzie utrzymywał, że odbyło się to w trybie racjonalizacji reszty potencjału produkcyjnego? Jakie nowe fabryki, jakie dynamiczne

gałęzie usług wchłoną lawinę ludzi, która runie z prowincji na wielkie miasta?

Magia rodzi magię. Po sprowadzeniu cyfr do porządku następnym krokiem jest piramidalna mistyfikacja, polegająca na przypisaniu dowolnej wartości fabrykom oraz sprawiedliwej dystrybucji tego cyfrowego majątku pomiędzy wyborców. Wynalazkowi przypisuje się nazwę prywatyzacji. Powyższa operacja nie doprowadzi do zgromadzenia kapitału inwestycyjnego, ponieważ znalezienie go w kraju jest niepodobiestwem, umożliwi natomiast ściągnięcie z rynku gotówki, dla której brak pokrycia towarowego pozostaje w ścisłym związku z polityką rządu.

Powodzenie przedsięwzięcia jest zapewnione wskutek pomieszania pojęć gospodarczych, zwłaszcza samego pojęcia prywatyzacji, oraz uruchomienia popularnych mechanizmów sprawiedliwości społecznej. Bony prywatyzacyjne, przyznawane obywatelom pozbawionym gotówki, ratalna sprzedaż akcji i preferencje pracownicze na jakiś czas uciszą ludzi karmionych nowym złudzeniem i praktycznie wyeliminują jedyne poważnego kontrahenta, jakim mógłby stać się kapitał zagraniczny. Złudzenie, o jakim mowa, to fikcja własności podzielonej, która niewiele różni się od własności społecznej. Jedyne zarządzanie fabrykami będzie bardziej utrudnione: w strukturze „prywatnych” przedsiębiorstw ministra Balcerowicza jedna trzecia „rad nadzorczych” ma się składać z pracowników zakładu, którym z pewnością starczy siły i przekonania do walki o demokratyczne podejmowanie decyzji produkcyjnych. Przypuszczam, że pospołu z wizją załogi zrzeszonej w „Solidarności” wystarczy to do odstraszenia na dziesięciolecie dużego kapitału zagranicznego.

Przemysł

Minister przemysłu i minister finansów od początku przypadli sobie do gustu, zapewne dlatego, że łączy ich temperament rachmistrza: chłodny intelekt, wyobraźnia w cuglach politycznego rachunku i skrupulatnie umiarkowana odwaga. O ile jednak Balcerowicz robi wrażenie człowieka, który nie wie dokąd zmierza, to Syryjczyk mówi, że nie może dążyć tam, dokąd chce. Gdzie się ruszyć, tam pod górę. Zdaniem dziennikarza *Gazety Wyborczej*, Kowalczyka, minister przemysłu narzeka, że krępują go przepisy, nie może nic nakazać (!), ani zmiany organizacji pracy, ani szukania nowego profilu produkcji — chyba, że firma zbankrutuje. To prawdziwy pech, jeśli zważyć, że z siedmiu tysięcy państwowych przedsiębiorstw do lipca zechciały upaść tylko cztery (4). Z kolei na zorganizowanym w Krakowie w

lipcu seminarium minister doniósł, że żaden zachodni rząd nie musiał sprywatyzować 80% gospodarki, ani łamać sobie głowy, skąd obywatele mają wziąć pieniądze na te wszystkie akcje.

A gdyby tak przestać sobie łamać głowę? Przypuszczam, że minister przemysłu doskonale zdaje sobie sprawę z niemożliwości znalezienia w kraju funduszków dla postawienia gospodarki na nogi. Dlaczego zatem nie zmierza on do pełnego otwarcia kraju dla kapitału zachodniego? Dlaczego nie dynamizuje pracy resortu poprzez wymianę odziedziczonej ekipy, rozwinięcie sieci analiz i prognoz światowej gospodarki, otwarcie systematycznych negocjacji, nie o licencje i szkolenia, lecz masową wyprzedaż struktur przemysłowych zachodnim koncernom, dlaczego nie prowadzi rzeczowych kampanii uświadamiających społeczeństwu konieczność zmian obyczajów zawodowych, dlaczego nie inicjuje równoległych prac w innych resortach, zwłaszcza pracy, handlu, stosunków zagranicznych, a przede wszystkim — finansów? Dlaczego nie wpływa na prace legislacyjne sejmu, narzekając przy tym na krępujące go przepisy? Czy minister przemysłu nie zdaje sobie sprawy, że w nowych czasach i z własnego wyboru jest sam swoją własną lokomotywą?

Fundusz Zmian Strukturalnych, udzielający niskoprocentowych kredytów na „wiarygodne” przekształcenia; Agencja Restrukturyzacji Przemysłu z połową biliona złotych na studia marketingowe, wprowadzenie licencji, gwarancje kredytowe i przypadkowe ułatwienia podatkowe dla firm zagranicznych; szkolenie dziesiątków, nawet setek ludzi na Zachodzie — wszystkie te inicjatywy resortu to administracyjny surogat rynku, na którym zarobią nieliczni wtajemniczeni i powstanie parę miejsc pracy w komisjach rozdzielających manę — ale to nie zastąpi polityki przemysłowej na dużą skalę. Drogą indywidualnego nagradzania pojętnych uczniów kapitalizmu krajowego nie sprowadzi się na drogę skuteczności reszty przemysłu. Podobnie nie chodzi o to, by przeszkolić na Zachodzie tysiąc ludzi, lecz aby z zachodnią gospodarką, jej kapitałem, umiejętnością wytwarzania zysku i motywowania zetknęło się w kraju 12 milionów pracowników.

Na lipcowym spotkaniu z wielkoprzemysłową „S” Syryczyk określił granice swojego programu: „wybijmy sobie z głowy zmianę całych gałęzi przemysłu”. Korzystając z malowniczego języka ministra proponuję ze swej strony, by, przeciwnie, wbić sobie do głowy, że gra jest o przestawienie całej gospodarki, w tym całego przemysłu, w drodze świadomej i odważnej polityki. Sankcja za niepowodzenie może być iranizacja kraju, co oznaczałoby marny dość los polityków, którzy poronią tę zmianę.

Praca i pomoc socjalna

Kuroń jako minister pracy jest przykładem niewłaściwie wykorzystanych umiejętności. To człowiek czynu, o dużej odwadze i szybkim refleksie, umięjący przyjmować nowe rozwiązania i dynamiczne metody. Bardzo korzystnie wpływa na niego wyraźne określenie przeciwnika. Otóż przeciwnikiem ministra pracy w Polsce jest zespół demobilizujących praw i wynikających stąd obyczajów zawodowych, co prowadzi do konieczności narzucenia dwunastu milionom ludzi rygoru produkcyjnego, idącego w kierunku przeciwnym niż zdobycze „Solidarności”, a także sprzecznych z tym, co Kuroń robił od lat: z obroną robotników. Pojęcie to stało się dziś na Wschodzie kategorią tragiczną, w sensie Schellera: uprawiana w sposób klasyczny obrona interesów pracowniczych obraca się przeciw nim samym. W gruncie rzeczy interesem robotników jest dziś zwiększenie ustawowego czasu pracy o połowę, zmniejszenie ilości dni wolnych, dobrowolne ograniczenie rewindykacyjnych praw i zdobycze „Solidarności”, liberalizacja prawa zwolnień i zatrudnień, stałe podnoszenie kwalifikacji nawet w późnym stosunkowo wieku, częściowa kumulacja wzrostu zarobków składanych na długoterminowych kontaktach oszczędnościowych...

Kluczowym pojęciem, osią ideologiczną polskiego sporu pracowniczego winno stać się pojęcie godności. Na ogół nie nędma wywołuje desperację i pcha do buntu, lecz poczucie zniewagi. Zawsze pozostanę z głębokim podziwem dla dzieła, jakie Kuroń wykonał dla przywrócenia wyzyskiwanym i prześladowanym godności. Ale dziś dojmującą potrzebą jest przeniesienie akcentu identyfikacyjnego pracowników z pojęcia godności na kategorię towaru. Praca i jej podmiot to towary *par excellence*. Dla ich dowartościowania wypada zacząć od sprzedaży zachodnim grupom fabryk, gdzie przez osiem lat robotnicy walczyli o własną godność. Rola legislacyjna i uświadamiająca ministerstwa pracy byłaby najpiękniejszym, bo skutecznym zwieńczeniem wieloletniej pracy Kuronia — gdyby nagle stał się kimś innym, a zarazem cudownym sposobem znalazł partnerów w rządzie i Związku.

Rozwój prawa i obyczajów w powyższych kierunkach byłby bowiem możliwy tylko pod warunkiem świadomej współpracy wiarygodnego związku zawodowego i równie wiarygodnego, fachowego rządu. Wobec niespełnienia żadnego z powyższych warunków minister pracy ma do wyboru albo wydać wszystkim wojnę, albo skupić się wyłącznie na funkcji strażnika społecznych zabezpieczeń. Funkcja dystrybucyjna ma jednak tylko wówczas sens, gdy poprzedza ją skuteczna produkcja — w braku czego skazani jesteśmy na rolę marionetek.

Kuroń zdaje sobie chyba sprawę, że nie wygra. Na wspomnianym już lipcowym spotkaniu z „Solidarnością”, gdzie był z Syryjczykiem, powiedział, że rząd nie może przedstawić sensownego programu walki z bezrobociem w skali kraju. Zaprzeczyc nie sposób, potwierdza to bowiem rzeczywistość: rząd nie posiada nawet dokładnej statystyki, nietrafne na ogół okazują się jego prognozy zatrudnienia. Strukturalne przyczyny niskiej wartości pracy w Polsce utrwalają się jako betonowy pewnik, tylko w administracji ruch. Dyrektorzy narzekają na brak przepisów wykonawczych, z Niemiec płynie zupa odżywcza a minister co wtorek wygłasza kazania...

Mieszkania

Jednym z bardziej w Polsce niepopularnych programów jest program mieszkaniowy ministra Paszyńskiego. Polega on głównie na uwolnieniu czynszów. Zdaniem ministra uruchomi to mechanizmy inwestycyjne i zapewni masowe zgłoszenia.

Mamy tu do czynienia z kilkoma nieporozumieniami na raz. Podstawowe polega na tym, że substancja nieistniejąca traktowana jest jako towar. Wprawdzie sytuacja zasadniczych braków dotyczy w Polsce wszystkiego i na ogół nie powinno to stanowić przeszkody dla regulowania braków rynkowych wysokimi cenami. O ile jednak w większości sektorów czysty bodziec finansowy może napędzić koniunkturę, to inaczej jest z mieszkaniami, których cykl produkcyjny jest wyjątkowo długi i kapitałochłonny. Następnym uwolnienia cen mieszkaniowych nie będzie nawet inflacja, ponieważ ludzi po prostu nie stać na nieliczne nawet zgłoszenia. Tymczasem mieszkań musi każdy.

Rozwiązanie problemu mieszkaniowego w Polsce może nastąpić przez masowy wkład państwa w budowę tanich mieszkań. Program mieszkaniowy z prawdziwego zdarzenia, miast zwać wszystko na niecałkiem rozumiane mechanizmy rynkowe, określić musi precyzyjnie wielostronne mechanizmy interwencyjne państwa, którego rolą będzie pomoc towarzystwom inwestującym i zarządzającym tanimi mieszkaniami, a także stałe uruchamianie dostępnych finansów na takie budownictwo, na przykład, zachęcając ludzi, którzy będą zarabiać więcej do oszczędzania nadwyżek na zakup mieszkania. Wzrost dochodów ludności stanowić musi przy tym bardzo wyraźny, dla wszystkich jasny bodziec dynamiki wydajności pracy.

Co dalej

Dożyliśmy więc możliwości wyboru pomiędzy dwoma ugrupowaniami politycznymi, to jest grupą Wałęsy z jednej, a grupą rządową z drugiej strony.

Różnice, jakie przypisuje się obu grupom, sięgają już historii. Trudno zapomnieć, że Mazowiecki z grupą doradców przybyli do stoczni w sierpniu 1980 roku z zamiarem przekonania robotników, aby usunęli z postulatów... ten punkt, który żądał wolnych związków zawodowych. Do końca stanowili oni w Stoczni tendencję umiarkowaną. Znamienny epizod rozegrał się wokół sprawy uwolnienia aresztowanych działaczy opozycji i korowców z Kuroniem na czele. Wałęsa, zgodnie z opinią doradców i nastrojami wśród delegatów nie był skłonny interweniować i 30 sierpnia oświadczył to wyraźnie: liczy się porozumienie, nie można drażnić komunistów. Kiedy już będziemy mieć wolne związki, wtedy się upomniemy...

Sala wyraźnie sprzyjała takiemu rozwiązaniu sprawy. Zaprotestowałem bardzo energicznie, poparł mnie Gwiazda — i nastroje uległy wyraźnej zmianie. Niechętnie z początku twarze delegatów zaczęły wyrażać gniew i zdecydowanie, mnożyły się okrzyki o bezwzględnej konieczności ultimatum dla Gierka. Wałęsa stał z boku, pilnie obserwując salę. Jasne było, że ludzie chcą interwencji. Nagle wskoczył na podium i oświadczył, że nie można „tego” pozostawić bez reakcji. Warunkiem wstępnym do podpisania porozumienia będzie wypuszczenie uwięzionych, sprawa jest bezdyskusyjna...

Następne lata niewiele zmieniły obu panów. Mazowiecki przesadnie ostrożny, mało widoczny, skłonny do kompromisów, także niedorzecznych; Wałęsa dynamiczny, uparty lub nieoczekiwane zmienny, bacznie śledzący nastroje społeczne, mistrz demagogii. Żaden z nich nie rozumie gospodarki i pragmatyki Zachodu. Obaj pełni są polskich kompleksów.

Wprawdzie skupiona wokół *Tygodnika Solidarność* ekipa Wałęsy montuje własny program, ale nie wyróżnia się on szczególną oryginalnością. Formalnie ich postulaty są bez zarzutu: przyspieszyć reformy, zdynamizować politykę. Przypuszczam nawet, że byliby w stanie to uczynić. W części programu, dotyczącej prywatyzacji wykazują dużo rozsądku, zauważając, że „prywatyzacja” nie zmieni jak za dotknięciem różdżki struktury gospodarki i że w związku z tym państwo powinno nabrać odwagi dla zaproponowania programu zasadniczo odmiennego od rządowego a mianowicie całkowitego otwarcia na Zachód. Gospodarka ma działać sprawnie, praca administracyjna ma być

skuteczna, a klasa menadżerów — wykreowana. I tylko jak zawsze, nie wiadomo, skąd pojawiają się pieniądze na inwestycje i szkolenie kadr: Lechu załatwi?

Ze swej strony zwolennicy Mazowieckiego, jak Geremek, Michnik czy ostatnio Turowicz rozwijają wspólne cechy ludzi rozsądnych i odczytanych: Na Zachodzie zręczność lat 80-tych, której sterylnosc staje się coraz bardziej przejrzysta, na Wschodzie nadzwyczajną troskę o trwałość Imperium, a w kraju salonową ruchliwość, zmierzającą do skupienia ludzi pod jakąś ideowo czystą etykietką. Ich największym atutem jest nadal zrozumiała argumentacja: bronimy rządu, bo nie ma alternatywy dla jego programu; bronimy Imperium, bo inaczej będzie apokalipsa; bronimy nomenklatury, bo kto z nas jest bez winy.

Prawdopodobnie wyrok już zapadł, różnice w sondażach są zbyt duże na niekorzyść Wałęsy. Dziwi nieprzemysłany pośpiech Przewodniczącego — przy takim rozkładzie opinii powinien spokojnie czekać, aż wyjdzie na światło dnia cała nijakość rządu, punktując go po drodze w sposób wyważony i rzeczowy... z korzyścią dla wszystkich.

Niepowodzenia Wałęsy ilustruje funkcjonowanie mitu politycznego w Polsce. Przez lata ludzie nie byli skłonni do krytycyzmu w stosunku do Przewodniczącego. W atmosferze idolatrii robił co chciał, tracąc powoli resztki umiaru, nigdy nie kontrolowany przez tych, których ciągnął w orszaku. Przekroczywszy zaś wszystkie miary, nieoczekiwanie znalazł się w obliczu muru, cichego i potężnego bloku wczorajszych zwolenników.

Dziś z kolei niekontrolowanym zaufaniem cieszy się rząd. Przypuszczam, że jego otrzeźwienie będzie równie gorzkie, jak narastająca samotność Przewodniczącego.

W gruncie rzeczy są to ofiary mistycznego cyklu preferencji społecznej w Polsce, gdzie siły podmiotów politycznych nie tworzy ich praca i efekty, lecz balon powszechnego ubóstwienia.

Na dłuższą metę dzisiejsi władcy PR, rząd, Solidarność i komuniści po społu muszą odejść, ponieważ stanowią część upadającego reżymu, sublimację jego konstruktywizmu i roszczeń, schyłkowy produkt groteskowego ustroju, który radził sobie dopóki dysponował represyjną siłą, a po jej utracie afiszuje nagą resztę, ból istnienia w normalnym świecie, całkowitą nieumiejętność przekształcenia się. Ile czasu trzeba, by przyszli nowi? Jacy nowi? Może z tego pokolenia, które w okresie przejściowym skazane jest na zmarnowanie własnych zasobów, najgłębszą frustrację osobistej przedsiębiorczości i szans życiowych, daninę niespełnionych osiągnięć zawodowych i pragnień konsumpcyjnych, tak jak ich poprzednicy — dzisiejsi luminarze — składali w innym okresie przejściowym daninę oporu?

W Polsce końca XX wieku poradzą sobie ludzie szczególnie

przedsiębiorczy albo należący do uprzywilejowanych warstw: nomenklatura, wolne zawody, wyżsi technicy, wyższa administracja, zamożniejsi rolnicy. Nędza dotknie robotników, niższą administrację, nauczycieli, uboższe chłopstwo... Prowincja stanie się zagłębiem ubóstwa i bezrobocia. Wprawdzie prasa i tv codziennie będą donosić — jak dawniej — o nowych inicjatywach, tym razem prywatnych, nowych licencjach i spółkach zachodnich — lecz jak dawniej kryć to będzie marginalizację Polski w świecie i jak dawniej pogłębiać się będzie nędza narodu i ruina zasobów kraju. Potem przyjdzie bunt.

Kombatantów u władzy chroni dziś jeszcze powszechne znużenie społeczeństwa po latach komuny. Stąd widoczna niechęć do radykalnych programów i dynamicznych indywidualności, chętna wiara, że nie ma innych programów i że brak ludzi — pozostaje zatem aprobatą miernoty, przyzwolenie na eksploatację mitów i zgoda na polityczny jarmark. To jednak nie będzie trwało wiecznie.

W oczekiwaniu na lepsze czasy jak zawsze konieczne jest, by każda głupota budziła gdzieś niepokój, każdy akt indolencji — sprzeciw. Ale samotna konfrontacja moralności i kultury z polityką nie prowadzi do układu zrównoważonego i nie zapewnia racjonalności działań władców. Dla powstrzymania dryfu polityki w kierunku kuglarstwa konieczne jest, by mocne lobby utworzyli także technicy i menadżerowie — ludzie umiejący liczyć i czytać — w obcych językach, w obcych kulturach, w nowych technologiach i nadchodzących czasach.

Robert KACZMAREK

Paryż, 26.07.90

Trudne drogi demokracji

Po początkowej euforii wywołanej wynikami wyborów i powołaniem koalicyjnego rządu Tadeusza Mazowieckiego nastął moment refleksji, bo coraz częściej pojawiają się pytania a nawet niepokoje dotyczące kształtu i rozwoju polskiej demokracji.

Wyrazem zaniepokojenia może być posłanie intelektualistów polskich drukowane w krakowskiej gazecie *Czas* pod alarmującym tytułem: „Polska na groźnym zakręcie”. Pogląd, że niestety ciągle jesteśmy na zakręcie i jasny obraz przyszłej Polski nie jest widoczny — podzielam, choć muszę przyznać, że byłem trochę

zaskoczony pewną jednowymiarowością przedstawionych tez. Ja osobiście nie mam wątpliwości, że polityka która ma służyć człowiekowi, a tylko taka ma sens, powinna być podporządkowana w jakiś sposób moralności, tym nie mniej forma moralitetu nadawana wystąpieniu *par excellence* politycznemu musi brzmieć fałszywie. Nie mogę powiedzieć, abym części niepokojów autorów nie podzielał, ale na przykład stwierdzenie, że „na narodowym nieszczęściu, jakim jest ruina gospodarki, nie wolno nikomu zbijać kapitału politycznego”, przypomina do złudzenia „odwoływanie się do chrześcijaństwa dla celów walki politycznej”, co, znowuż muszę przyznać autorom rację, nie jest w najlepszym guście.

W końcu gospodarka jest w tej chwili obok demokracji najważniejszym problemem kraju i ci, którzy ten problem będą podejmowali na pewno zbiją na tym jakiś kapitał polityczny: minister Balcerowicz — jeśli reforma się uda, jego oponenti — jeśli nie.

Demokracja i pluralizm, do których tylokrotnie nawiązuje posłanie, wiążą się ze swobodną wymianą poglądów i wobec tego nie rozumiem, czego „nie wolno”. Kogo usiłuje się zastraszyć? Balcerowicza, czy jego oponentów?

„Polityka musi kierować się jasnym kanonem zasad moralnych, który dobro człowieka, narodu i przywróconego narodowi państwa stawia ponad partykularne interesy. Z takich właśnie zasad wyrasta polityka rządu Mazowieckiego...”. Zapewne, ale jeśli tyle mówimy o tolerancji, to musi nas być stać na tyle wyobraźni, by uwierzyć, że kanony te mogą być nie obce również innym opcjom politycznym, a nie tylko rządowej i chyba właśnie na tym polega sens pluralizmu i demokracji. W ten sposób nad całym tekstem unosi się delikatna mgiełka insynuacji, która podważa jego wiarygodność i odwraca uwagę od podejmowanego, niewątpliwie istotnego, problemu zagrożeń polskiej demokracji.

A istotnie polska demokracja przeżywa kryzys. Okazało się, czego właściwie można było oczekiwać, że wygranie wyborów i rozpad partii komunistycznej to jeszcze nie demokracja, że demokracja to również konieczność zbudowania całego systemu zabezpieczeń prawnych, a także — co chyba najtrudniejsze — zbudowanie infrastruktury instytucji publicznych zapewniających udział obywateli w rządzeniu krajem.

Żmudny i czasochłonny proces legislacyjny, wyczerpywanie się autorytetu „Solidarności”, brak koncepcji niekonfliktowej przebudowy ruchu antytotalarnego w dysponujące własnym programem partii i ugrupowania polityczne, to wszystko w połączeniu z pogłębiającymi się trudnościami życia codziennego i etatystycznym programem gospodarczym, doprowadziło społeczeń-

stwo do apatycznego oczekiwania, co też tam w górze wymyśla i kiedy wreszcie skończy się reforma, aby móc normalnie uczestniczyć w życiu gospodarczym kraju.

Politycy uczestniczący w rządzeniu — rząd, parlament — są już tak przytłoczeni pracami związanymi z reorganizacją struktur społeczno-politycznych, że nie są w stanie dostrzegać trudności dnia codziennego i marazm przyjmują za wyraz aprobaty dla jedynie słusznego programu. Rozpoczyna się alienacja. Jeszcze co pewien czas autorytarysta Wałęsa proponuje, że przy pełnym poparciu dla rządu Mazowieckiego, może by spróbować skonstruować program alternatywny. Spotyka go jednak za to ostra reprimenda: bo kto widział w tym Kraju (od 45 lat) budować programy alternatywne, kiedy ma się program słuszny. To rozbija jedność i podważa słabe zręby budowanej demokracji. Zresztą to bardzo ciekawe: dotąd Wałęsa reprezentował jedyny słuszny punkt widzenia i był arbitralnym szafarzem politycznych godności (KKW, Prezydium OKP, kandydaci do rządu, premiera); nikt jego autorytaryzmu nie dostrzegał, ba, podziwiano jego zmysł polityczny, wycucie, charyzmę. A dziś, kiedy proponuje, żeby formułowano alternatywne programy, żeby wokół nich a nie wokół układów personalnych koncentrowało się życie polityczne kraju, nagle Warszawa zahuczała, że jest autorytarystą. Najzagorzalsi zwolennicy doktryny „drużyny Wałęsy” przestali jakoś o tym przypominać na każdym posiedzeniu OKP.

Czy to Wałęsa się zmienił, czy może szafarz jest inny?

Ja rozumiem, że w polityce można zmieniać poglądy, ale dla czego tak szybko i tak korzystnie?

Przytoczone na wstępie cierpkie uwagi dotyczące życia politycznego kraju mają swe źródło w niezwykle żmudnej odbudowie instytucjonalnych struktur życia publicznego.

Ażeby społeczeństwo mogło uczestniczyć w życiu publicznym, musi uwierzyć w skuteczność tego uczestnictwa oraz musi stworzyć odpowiadające temu celowi formy organizacyjne. Formy te społeczeństwa demokratyczne budowały setkami lat i dziś można powiedzieć, że demokracja to nie tylko zabezpieczenie prawne i wybory, ale również dziesiątki partii politycznych, setki stowarzyszeń, fundacji, instytucji charytatywnych, związków religijnych i zawodowych, to wreszcie tysiące i setki tysięcy małych i większych inicjatyw gospodarczych, przedsiębiorstw. Wszystko to powoduje, że rola państwa jest coraz bardziej ograniczana i że na państwo spada coraz mniejszy zakres obowiązków.

Nowoczesna, rzeczywiście zaawansowana demokracja realizowana jest naprawdę przez szeroko rozumiany samorząd społeczeństwa, a rząd spełnia jedynie funkcje korekcyjne w organizacji

społecznej współpracy. Przykładem tak zorganizowanej współpracy może być Szwajcaria, której obywatela nie bardzo nawet interesuje to, czym się zajmuje rząd i kto w nim zasiada. Sądzę, że gdyby nie wielkość kraju i obowiązki globalne, podobną demokracją byłyby Stany Zjednoczone. Wyobrażam sobie, że instytucje prawne są tam tak trwałe, a instytucje społeczno-samorządowe organizują tak rozległy obszar życia, że zaprzestanie działalności przez administrację centralną mogłoby zostać spostrzeżone przez obywateli dopiero po bardzo długim czasie. Można by powiedzieć, że działalność administracji Stanów Zjednoczonych jest bardziej ciekawa dla nas niż dla własnych obywateli. Piszę to po to, by uzmysłowić jak zapóźnieni jesteśmy w budowie demokracji i jak wiele mamy tutaj do zrobienia.

Mozolny trud budowy demokratycznego społeczeństwa grzęźnie i pewnie jeszcze niejednokrotnie będzie grzęznąć w tradycyjnych nawykach państwa centralistycznego. Trzeba zdać sobie sprawę, że dziś bolszewika trzeba po pierwsze tępić w sobie. Bo bolszewik, gdy jest na górze u władzy uważa, że tylko on jest w stanie podjąć właściwe decyzje we wszystkich dotyczących obywateli sprawach; nie może scedować kompetencji, bo myśli, że jest jedyny niezastąpiony; a ponieważ życie jest bogate, a decyzji zbyt wiele, by mógł je podjąć, więc ich nie podejmuje; zaś życie toczy się dalej zgodnie z prawem, wbrew prawu, bez prawa i efekt jest taki, że zdawałoby się silna władza centralna traci w końcu wpływ na życie obywateli.

Bolszewik na dole uważa za to, że władza na to jest centralna, ażeby regulowała wszelkie przejawy życia tak, jak jest dla niego, bolszewika, wygodnie, a jeśli tego nie robi, to jest złą władzą. Ale złą nie dlatego, że jest władzą centralną i hamuje jego aktywność, jego możność samostanowienia, bo na to nie ma on wcale ochoty, ale dlatego, że nie ułatwia za niego tego wszystkiego, co mu jest potrzebne.

Przełamanie tych dwóch schematów to chyba największy problem, przed jakim stoimy. Przekonać władzę, żeby w maksymalnej części zdecydowała się przekazać ją społeczeństwu i przekonać społeczeństwo, żeby ją zechciało wziąć.

Wszystko to jest sprzeczne z dotychczasowym naszym doświadczeniem i wymaga od nas tak wiele wysiłku twórczego, że udając ciągle, że tego nie robimy, skłonni jesteśmy wpadać w utarte koleiny rozwiązań, o których wiemy, że niczego nie rozwiązują.

Owszem, mówimy o samorządach, nawet organizujemy do nich wybory, ale jakimi będą one dysponowały środkami, tego nikt dotychczas nie wie i to pozwala żywić obawy, że środki na wszelki wypadek pozostaną w rękach państwa.

Zachęcamy do rozwijania wszelkich inicjatyw społecznych,

ale ewentualne środki materialne od których rozwój tych inicjatyw miałby zależeć otaczamy tak pieczołowitą i tak scentralizowaną ochroną państwa, że zdoła ona każdego utracić lub zniechęcić¹.

Dopuszczamy, aby posłowie i senatorowie wchodzili w skład rządu, który ma kontrolować i aby na wezwanie pozostawiali swe państwowotwórcze zajęcia by bronić zagrożonych ustaw².

Z drugiej zaś strony tworząc nową ustawę samorządową zadbano, aby w parlamentarnym gremium nie zasiadali członkowie władz samorządowych. Mogliby oni powiedzieć posłom, jak samorządowa teoria konfrontuje się z praktyką. Mogliby stworzyć rzeczywiste lobby samorządowe. Pewnie połowa francuskiego parlamentu to merowie, ale Polska ma swoją „specyfikę”. Nawet prezydenta czy naczelnika gminy nie można wybrać w wyborach bezpośrednich, bo ktoś mógłby być za silny.

To wszystko, także nasze codzienne utarczki i absurdy, wynika z utartej pragmatyki centralizmu demokratycznego. Ale oto stajemy przed problemem zasadniczym: jak zorganizować życie polityczne kraju.

Dookoła odbywają się wolne wybory, tworzą się rządy, my zaś pozostajemy z „naszym” 35 % Sejmem i naszym rządem koalicyjnym.

Jeśli ktoś powie, że naszym sąsiadom się tylko wydaje, że stworzyli demokrację, że podobnie jak my — ale w jeszcze większym stopniu — nie posiadają rozwiniętych instytucji demokratycznych i że za chwilę popadną w analogiczne tarapaty i nawet nie wiedzą jakie — a my wiemy — to nawet jestem skłonny się z nimi zgodzić, ale problem znacjonalizowania struktur politycznych i tak musimy rozwiązać. Sytuację, w której większość obywateli kontestuje prezydenta, w której skład parlamentu jest wynikiem kompromisu zawartego pomiędzy dwiema grupami o dość niesprecyzowanych kompetencjach, trudno w

1. Od skonstruowania nadajnika w styczniu 1982r. do emisji pierwszej audycji Radia „Solidarność” minęły trzy miesiące. Jeszcze w czasie kampanii wyborczej 1989r. słychać było gdzieś tam podziemne Radio „S”. Od momentu wygrania wyborów Radio zamilkło, bo postanowiło się zalegalizować. I tak to trwało do końca czerwca 1990r... I to nie „ich” Ministerstwo Łączności jest temu winne, bo ono dawno już zrobiło to, co do niego należało, ba, nawet więcej, wydało zezwolenie na nadawanie programów eksperymentalnych i sprawa ruszyła, ale „nasze” Radio i Telewizja nie mogło rozwiązać nierozwiązalnego dylematu: jak kontrolować niezależne radiofonie, ażeby było, że są niezależne. Iście socjalistyczny problem.

2. Ciekawe, czy przy głosowaniu nad votum zaufania dla rządu posłowie, którzy są jego członkami wykażą swą lojalność w stosunku do premiera i siebie czy też nie będą siebie samych darzyli zaufaniem. Absurd.

końcu uważać za typową dla klasycznej demokracji i w najbliższym okresie musi ona ulec daleko idącym zmianom³.

To jest oczywiste. Ale jaki przybierze ona kształt, jakimi drogami należy dążyć do odrodzenia życia parlamentarnego? W sąsiednich krajach powstają partie, tworzą się programy, my natomiast podlegamy daleko idącej dezintegracji głosząc powszechną jedność celów i programów. Wszyscy popierają demokrację, deklarują pluralizm, wywodzą swe korzenie z chrześcijaństwa i chcą twórczo rozwijać społeczną naukę Jana Pawła II. Na dodatek popierają rząd, są otwarci i marzą, żeby stać się Europejczykami. Wyrażają słuszną troskę w sprawie Niemiec i zachowują rozsądną ostrożność w polityce sowieckiej.

Jeśli istnieją jakieś poważne różnice zdań, to dotyczą one tego, czy antysemityzm i ksenofobia w Polsce są zastraszające czy też nie, oraz czy zakaz aborcji powinien być pierwszym artykułem nowej konstytucji, czy też można go umieścić na jakimś późniejszym miejscu.

Jeśli nawet program ministra Balcerowicza zakończy się fiaskiem, to i tak trzeba mu będzie zbudować pomnik jako temu, który w dobie „powszechnej zgody narodowej” był w stanie wygenerować oryginalną i twórczą koncepcję, która może być przedmiotem kontrowersji i która powinna stać się bodźcem dla szerokiej debaty narodowej. Zaistniała sytuacja jest oczywiście wynikiem rozwoju historycznego i smutnym spadkiem wielkiego zrywu narodowego, jakim była „Solidarność”. To, co powiem, jest oczywiście truizmem, z którego chyba wszyscy zdają sobie sprawę, ale jakoś nikt nie zamierza wyciągać praktycznych wniosków. Fakt, że „Solidarność” powstała jako związek zawodowy jest w gruncie rzeczy faktem wtórnym, spowodowanym pewnym zbiegiem okoliczności. Można sobie wyobrazić takie sytuacje (a w ramach KSS „KOR” takie możliwości były rozważane), że to, co okazało się NSZZ „Solidarność” powstałoby jako ruch konsumencki, oświatowy czy wreszcie ruch obrony praw człowieka. Koncepcje teoretyczne koncepcjami, a społeczeństwo wybrało takie formy jakie uznało za stosowne. Nie zmienia to jednak faktu, że „Solidarność” była wielkim narodowym ruchem antytalitarnym. Co to oznaczało i jakie były cele „Solidarności”? Bardzo proste — nie siedzieć w więzieniu, mieć możliwość wypowiedzania się, zrzeszania, zgromadzania, mieć możliwość wpływania przez społeczeństwo na zarządzanie krajem i propagowania różnorodnych poglądów społecznych i politycz-

3. Nie zamierzam w ten sposób negować osiągnięć Okrągłego Stołu, który stał się w Polsce początkiem procesu demokratyzacji, ani tym bardziej dezawuuować dobrej woli układających się i to obu stron. Przy złej woli wariant rumuński był dla nas otwarty. Ale „okrągły stół” to naprawdę jeszcze nie demokracja.

nych. W oparciu o te jednoznacznie pozytywne cele „Solidarność” reprezentowała sobą pełne spektrum światopoglądowe, od skrajnej lewicy trockistowskiej poczynając, a na nacjonalistycznej prawicy kończąc.

Tego rodzaju front społeczny, skupiony wokół walki o podstawowe prawa człowieka zaczął się kruszyć, gdy przyszło podejmować decyzje polityczne, decyzje określające przyszły kształt Polski. Bo to już nie jest sprawa tak prosta, jak prawo do tego, ażeby za poglądy nie być represjonowanym. Tu można widzieć państwo o silnych rządach prezydenckich, bądź rządy parlamentarne, państwo bardziej lub mniej opiekuńcze w stosunku do obywateli, państwo bardziej samorządne lub bardziej scentralizowane, politykę gospodarczą bardziej interwencyjną lub bardziej liberalną. Można preferować te lub inne grupy społeczne. Na każdą z tych kwestii można mieć bardzo sprecyzowane i bardzo różne poglądy, a ich wyższość nie jest dana *a priori* a jedynie systematycznie konfrontowana z otaczającą rzeczywistością i weryfikowana w wyborach.

Stąd też piękna postawa narodowej jedności w walce z władzą totalitarną stała się mitem wobec problemów budowy demokratycznego społeczeństwa.

Jednocześnie, aby społeczeństwa nie rozczarować, nadal występowało w imieniu „Solidarności”, OKP, Komitetu Obywatelskiego, prezentując często bardzo partykularne poglądy i interesy.

Dość wcześnie, bo już w trakcie formowania się parlamentu okazało się, że są równi i równiejsi, a późniejsza praktyka formowania koalicyjnego rządu jeszcze bardziej uwypukliła, że OKP to nie żadna partia polityczna, która rekomenduje do rządu osoby najbardziej kompetentne dla realizacji określonego programu, a jedynie dość przypadkowy zbiór przedstawicieli różnych — bardziej lub mniej wpływowych — grup nieformalnych.

Dokąd jeszcze istniała PZPR, OKP mógł występować jako jej przeciwwaga i to jednoczyło. Dziś, kiedy PZPR się rozpadła, sens i istota OKP wymagają ponownego zdefiniowania.

Próba określenia OKP jako bloku wspierającego rząd nie może się powieść, bo po pierwsze jest to rząd koalicyjny, a po wtóre, różne, jeśli nie orientacje polityczne, to przynajmniej grupy towarzyskie, są w tym koalicyjnym rządzie różnie reprezentowane.

Na koniec warto zauważyć, że stabilność rządu jest na pewno jedną z istotniejszych w obecnych warunkach wartości, tym nie mniej uważanie jej za wartość naczelną, której podporządkowuje się podstawowe funkcje parlamentu, jest na pewno dla tego ostatniego dezawuuująca.

Słynne Ustawy Sylwestrowe, czyli zespół 13 ustaw gospodarczych, które zaczęły wpływać do Senatu 20-grudnia, a były głosowane 28-go, jest chyba tego najlepszym przykładem.

Na pewno nie jestem najgorzej przygotowanym do pełnienia swych funkcji senatorem, a nie tylko nie zdążyłem się nad nimi zastanowić i wyrobić sobie na ich temat zdania, ale nawet nie wszystkim zdążyłem przeczytać. Głosowałem więc tylko w 5 przypadkach. Ostatecznie wszystkie ustawy zostały na czas przyjęte, ale czy nie rozsądniej było, tak jak to proponował Wałęsa, przyjąć zamiast tego epizodyczną ustawę o szczególnych uprawnieniach dla rządu i przegłosować ją jeden raz, zamiast trzynastu razy głosować w gruncie rzeczy to samo — votum zaufania dla rządu.

Różnica jest tylko jedna, że parlament przyjął odpowiedzialność za ustawy, których faktycznie nie znał i że w ten sposób została złamana jego konstytucyjnie dominująca w stosunku do rządu rola. Został przekreślony jego autorytet. A to jest bardzo niebezpieczny eksperyment. Bo rządów możemy powołać jeszcze kilka (od czego zresztą chroń nas Boże), ale jeśli poderwiemy zaufanie społeczeństwa do parlamentu, jeśli poderwiemy jego autorytet, ośmieszymy go, wtedy w przypadku niepowodzenia reform pozostanie nam tylko jedna droga: *autorytaryzm*. Pamiętajcie o tym panowie demokraci, gdy pítujecie gałąź na której siedzicie, bo Wałęsa wybrany w demokratycznych wyborach będzie przy silnym parlamencie stał na straży demokracji, natomiast Wałęsa wyniesiony w politycznej próżni przez zamieszki będzie niewątpliwie autokratą.

Sądzę zresztą, że nasz parlament w jakiś sposób zasłużył na utratę autorytetu nie podejmując trudu zreformowania całej swojej struktury organizacyjnej. Wszyscy doskonale wiedzą, że struktura gospodarki, MSW, sądu, prokuratury — wszystko to nie pasuje do demokratycznego rozwoju kraju.

Nikt jednak nie zauważył, że struktura parlamentarna, wzbogacona co prawda o drugą izbę, niczym nie odbiega od sejmów niesławnych kadencji. Kleiffowskie: „Stuk, stuk łaską w podłogę, Sejm, Sejm wyraża zgodę” to nie tylko wynik braku charakteru, cech osobistych ludzi zasiadających w ławach poselskich, to również struktura organizacyjna, która nawet przy najlepszej woli nie pozwalałaby im na zajęcie stanowiska merytorycznego. No i cóż, ludzie się zmienili, założenia ustrojowe również, a parlament jak nie mógł działać tak dalej nie może i pozostaje mu smętne „Stuk, stuk łaską w podłogę”. No bo jak tu działać, skoro zadania przerastają każdego parlamentarzystę nie dwu- a dwudziestokrotnie. Jest to na pewno przykład ekstremalny, ale w USA każdy kongresmen ma przeciętnie 8-12, a senator 20-30 osób obsługi wyposażonej w najnowsze środki infor-

matyczne. Do tego dochodzi Biblioteka Kongresu, pewnie ze dwa tysiące osób oraz parę instytutów zajmujących się analizą i kontrolą budżetu. W Europie Zachodniej nie jest już tak bogato, ale tam za to istnieją partie polityczne dysponujące całymi biurami i instytutami przygotowującymi dla swych deputowanych opinie. Tam tworzy się programy. Te konkretne programy, których od nas domagają się wyborcy, których od nas domaga się rząd, gdy próbujemy kwestionować jego opinie.

Natomiast nasz parlamentarzysta pozostaje sam jak palec. Nawet własna sekretarka mu nie przysługuje, nie mówiąc już o doradcach. Tydzień wcześniej, a i niekiedy wprost na posiedzenie dostaje tekst „ustawy nowelizującej z dnia”, w której czyta, że „w art. 2, ust. 3 w zdaniu drugim zmienia się „lub” na „albo” a część zdania po przecinku skreśla się”. Kolega z odpowiedniej komisji próbuje coś wyjaśnić i proponuje dalsze poprawki, ale generalnie ustawę przygotował „nasz” rząd i trzeba go poprzeć, a ponieważ i tak nie bardzo wiesz o co chodzi, więc masz do wyboru: albo głosować tak jak chce komisja, albo bez poprawek tak jak chce rząd Mazowieckiego. *Tertium non datur*.

Jeśli chodzi o takie rzeczy, jak oświata, zdrowie, wymiar sprawiedliwości, to jeszcze łapiesz sens, ale gospodarka, analiza budżetu!? Możesz co najwyżej wierzyć lub nie wierzyć ministrowi Kuczyńskiemu, kiedy przekonuje nas, że 30% spadek produkcji to bardzo dobrze, bo wyeliminuje wytwarzanie buble. Skąd on to wie, jak by to można sprawdzić? A jeśli nie możesz, jeśli nie masz po temu żadnych warunków, to miejsce merytorycznej dyskusji musi zająć stosunkowo łatwo dostępna analiza układów personalnych.

To, że tak jest, to naprawdę nie wina rządu, bo parlament może sobie uchwalić budżet jaki chce i strukturę organizacyjną jaka mu się podoba. Polecam to uwadze naszych marszałków i prezydów. Bo albo parlament zdoła się zreformować i stanie się na wskroś nowoczesną instytucją demokratyczną, albo jeśli zamierza kontynuować swą rolę fasady czeka go dola nieszczęsnych „fajtałów” z dwudziestolecia, z brzeskimi konsekwencjami dla niektórych.

Warto jeszcze zauważyć, że autorytetu nie zapewni nam nadymanie się, bądź obrażanie, a jedynie takie zorganizowanie pracy, które pozwoli na rzeczywiste i skuteczne wypełnianie obowiązków.

Tyle uwag na temat pracy parlamentu, ale powróćmy do sprawy organizacji życia politycznego kraju.

W ostatnim okresie w Polsce powstało około 60-ciu, a jak niektórzy chcą — 120 partii politycznych. Mam poważne wątpliwości, czy wybory samorządowe są najlepszą okazją do zaprezen-

towania koncepcji programowych partii i skonfrontowania ich z wyborcami. W każdym bądź razie pewna ilość partii zdecydowała się tę próbę podjąć, a osiągnięty efekt okazał się dla nich katastrofalny. Nie piszę tego aby kogoś pognać, gdyż rozwój partii, nawet tych najdalszych mi ideowo, śledzę z dużą sympatią jako wyraz kształtowania się demokracji wokół postaw światopoglądowych, ale po to, aby jasno skonstatować jak dalece niepodatny jest grunt, na którym partie powstają. Bezapelacyjne zwycięstwo Komitetów Obywatelskich to wyraz pewnej świadomości społecznej, która jest nam dana i której zmiana wymagać będzie szerokiej pracy edukacyjnej.

W tej sytuacji znacznie większym powodzeniem i zrozumieniem będą cieszyły się partie dworskie, stanowiące oparcie elekcyjne dla tych lub innych prominentnych kandydatów⁴.

Powstała sytuacja jest wynikiem pewnego tradycjonalizmu społeczeństwa, zastanych zahamowań w obiegu informacji, jak również stałej bolączki naszego życia społecznego, czyli braku środków materialnych.

Tradycjonalizm, to 45-letnia historia monopartii posiadającej jedyny słuszny program. Program ten nie zakorzenił się, został zanegowany przez całe społeczeństwo, ale pogląd, że program to w gruncie rzeczy fasada, natomiast prawdziwa polityka to dość brudna walka o władzę pomiędzy różnymi układami personalnymi — ostał się na długie lata. Stąd ogromne zniecierpliwienie wszelkimi walkami politycznymi i nawoływanie do jedności. Jakiej? Wokół czego? O to mało kto pyta. Jest to również wyraz jakiejś pasywności politycznej społeczeństwa. Bo zrozumieć treść sporu, wyrobić sobie na ten temat pogląd i zająć stanowisko, to oznacza przyjęcie odpowiedzialności, a tak — „oni” się kłócą. Znowu niepoprawni „oni”. Ja jestem dużo lepszy — to „oni” się kłócą — a że w ogóle nie wiem o co chodzi i nie mam zamiaru poświęcać swojego czasu i wysiłku na tego rodzaju zajęcia, to już moja prywatna sprawa. „Oni” powinni się przestać kłócić i dać mi to, czego aktualnie potrzebuję.

4. Różnica pomiędzy partią polityczną a partią dworską polega na tym, że o ile w partii politycznej elementem pierwotnym jest program społeczno-polityczny, a wybrany przywódca jest zobowiązany go realizować pod rygorem wycofania poparcia, o tyle w partii dworskiej program jest elementem wtórnym, natomiast elementem pierwotnym jest przywódca. W obu przypadkach przywódca ma za zadanie zdobycie władzy dla swojej partii, jednakże w pierwszym przypadku zdobycie władzy ma służyć realizacji programu, natomiast w drugim dobór programu ma służyć zdobyciu władzy. Ten lub inny sposób tworzenia ugrupowań politycznych trudno poddaje się wartościowaniu, bo oczywiście można przeciwstawiać pryncypialność postawy jednej koniunkturalizmowi drugiej, ale równie dobrze można mówić o dogmatyzmie postawy politycznej w przeciwieństwie do elastyczności koncepcji dworskiej.

Myszę, że jest to bardzo częsty przejaw społecznej apatii i wymagań. Inna sprawa, że kamuflaże programowe sięgają tak daleko, iż nawet najbardziej biegli nie bardzo są w stanie połączyć się o co naprawdę chodzi i wszelkie spory największą klarowność uzyskują w kwestiach personalnych, symbolicznych i odwoływaniu się do tych lub innych tradycji, a to dla osoby spoza sporu jest rzeczywiście mało zajmujące.

W ostatnim okresie wielką popularność uzyskuje spór: lewica — prawica, przy czym oba terminy używane są w dość dowolny sposób w charakterze inwektywy. I tak „prawica” utożsamia lewicę z panującym dotychczas systemem i hojnie obdarza tym terminem zarówno partie powstałe z PZPR, środowisko warszawskie skupione wokół Bronisława Geremka, Adama Michnika i Jacka Kuronia, jak również — choć z pewną konsternacją — PPS Jana Józefa Lipskiego.

W odpowiedzi „lewica” utożsamia „prawicę” z antysemityzmem, ksenofobią i klerikalizmem i z dużą satysfakcją zalicza tu wszystko, co nie jest z nią związane. Żaden z tych terminów nie ma odniesienia do aktualnej polityki rządu, który wszyscy na ogół popierają, choć równocześnie panuje przekonanie, że rządzi lewica a w opozycji jest prawica, mimo iż działania skutecznie przeciwstawiające się polityce rządu pochodzą od umownych 65% zaliczonych poprzednio do lewicy.

Przedstawione paradoksy dość jasno uzmysławiają, że nie chodzi tu o lewicę i prawicę. Przeciętny Polak zaczyna się denerwować, ponieważ przestaje już cokolwiek rozumieć. Toczone spory nie mają żadnego odniesienia do otaczającej go empirycznie poznawalnej smutnej rzeczywistości dnia codziennego. Podobnie przeciętny Polak, w tym piszący powyższe słowa, nie jest sobie w stanie wyobrazić 60-ciu opcji politycznych, wokół których mogłoby się tworzyć 60 partii. Skłonny jestem uważać, że jest to raczej smutny wynik zerwania komunikacji społecznej, relikwist istniejących i działających w okresie stanu wojennego grup nieformalnych, niż przejaw bogactwa myśli politycznej.

I tu trzeba sobie bardzo jasno powiedzieć: 60-ciopartyjna demokracja nie powstanie, ponieważ byłaby wyrokiem śmierci dla kraju i społeczeństwo tego nie zaakceptuje, a ci którzy tworzą kilkunasto- czy kilkudziesięcioosobowe partie skazują się od razu na marginalizację.

Każda partia, która chce uczestniczyć w życiu politycznym kraju musi sobie uświadomić nie tylko czego chce, ale również jakimi środkami AD 1990 będzie się tego domagać. Dziś ulotka i walek nie wystarczą; że środki te zostały rozdzielone niesprawiedliwie, to pewne, ale skuteczne podważenie tego rozdziału też wymaga środków, których nie posiadają rozdrobnione i nieskoordynowane w swym działaniu grupy polityczne.

Tego typu działania są traktowane przez społeczeństwo jako wyraz ambicji i partyjniactwa i nie spotykają się ze społecznym zrozumieniem.

O ile powstające spontanicznie poza Komitetami Obywatelskimi partie miałyby odegrać istotną polityczną rolę w nadchodzących wyborach, to musiałyby dojść do ogłoszenia wspólnoty programów i stworzenia kilku, dosłownie kilku porozumień wyborczych.

Rozdrobnione partie polityczne rywalizują z Komitetami Obywatelskimi i w konfrontacji tej przegrywają. Ta część jest jasna. Natomiast daleko trudniej jest odpowiedzieć na pytanie kto wygrywa, a w szczególności co wygrywa.

Bezspornie demokracja, której sfera ulega systematycznemu poszerzaniu. Dzisiaj jednak taka odpowiedź nie zadowala społeczeństwa, które wolałoby wiedzieć, co naprawdę reprezentują sobą Komitety Obywatelskie. Społeczeństwo zrozumiało już, że program bycia zdrowym i bogatym nie jest programem politycznym i że poszczególne cele osiąga się rezygnując z innych. Dlatego też wolałoby wiedzieć z czego rezygnujemy na rzecz czego i w jakim stopniu.

24 czerwca sytuacja uległa dalszej komplikacji, ujawniając głębokie podziały wewnątrz Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Graniczące z szokiem zaskoczenie opinii publicznej jest wyrazem tego, jak niekompletne informacje docierają do społeczeństwa i jak fałszywy obraz naszych problemów jest kształtowany w środkach masowego przekazu.

Podjęta w Krakowie idea utworzenia politycznego oparcia dla rządu premiera Mazowieckiego samą w sobie nie zawiera niczego zdrożnego poza tym, że zamierza zawłaszczyć cały bogaty dorobek „Solidarności” i Komitetów Obywatelskich na rzecz jednego z reprezentowanych w nich ugrupowań. Rząd można i należy popierać o ile zgadzamy się z jego programem. Tu jednak, mimo licznych zapewnień, że jest to program jedyny, stanowiący kontynuację idei „Solidarności”, mam bardzo poważne wątpliwości, czy rzeczywiście taki całościowy program istnieje, a tam gdzie on istnieje, daleki jestem od bezkrytycznej jego aprobaty.

Bezsporne sukcesy programu Balcerowicza polegające na stabilizacji pieniądza i zdławieniu inflacji muszą po pierwsze przejść ogólną próbę lipcowych podwyżek cen, a poza tym muszą zostać skonfrontowane z kilkoma dość poważnymi mankamentami. Aprobata i uznanie, jakie towarzyszą programowi Balcerowicza ze strony takich instytucji jak: Fundusz Monetarny, Bank Światowy czy rządy krajów zachodnich — znajdują swój wyraz bardziej w werbalnych pochwałach niż w materialnej pomocy. W tej sytuacji argumentacja, że krytyka programu Bal-

cerowicza i rządu premiera Mazowieckiego godzi w nasze szanse uzyskania pomocy zagranicznej jest chybiona. Bo jeśli naprawdę sytuacja w Polsce jest tak stabilna, jeśli naprawdę społeczeństwo polskie jest w stanie przyjąć dowolne obciążenia związane z przebudową systemu, to po co miałyby tu być kierowane dodatkowe środki materialne. Potrzeb finansowych i to bardzo pilnych jest w polityce międzynarodowej niezmiernie dużo. Integracja Niemiec, 20 mld \$ na stabilizację Związku Sowieckiego, to dla Zachodu niezmiernie poważne kwestie, a jak Polacy tak dobrze sobie dają radę, to należy ich pochwalić i oby tak dalej.

I może właśnie dlatego należy ten mit zburzyć. Może właśnie dlatego zamiast kolejnych pochwał i uznania rząd uzyska realne środki, które pozwolą mu na odżywienie gospodarki i uchronią państwo przed całkowitą destabilizacją.

Jeśli Wałęsa bije na alarm, to z całą pewnością godzien jest na Zachodzie potępienia, bo buduje nowy problem, bo podważa ustalony już, niestety, porządek rzeczy. Ale jest nadzieja, że uświadomi nareszcie, że problem Polski nie przestał istnieć, bo problem Polski naprawdę istnieje.

30- lub więcej procentowy spadek produkcji i to przede wszystkim w dziedzinach bezpośrednio związanych z rynkiem, to wbrew przekonaniu p. Kuczyńskiego nie likwidacja produkcji publi, ale wręcz zagrożenie sensu reformy.

30- lub więcej procent spadku płacy realnej, to nie tylko oderwana liczba odnotowywana z ubolewaniem przez rządowych planistów, ale bardzo poważny problem społeczny, który może przekreślić nawet najdoskonalsze koncepcje monetarne (Fundusz Monetarny ma już na swoim koncie parę efektownych rewolucji w Trzecim Świecie).

A wolny rynek, jak dotychczas, dotyczy wyłącznie cen, nie dotyczy kapitału, nie dotyczy płacy. Prywatyzacja ugrzęzła w martwym punkcie i dopiero w połowie lipca uchwalono udział budżetu państwa w dochodzie narodowym, który tradycyjnie wzrasta utrwalając sytuację scentralizowanego państwa ubogich obywateli.

I co jeszcze poza „grubą kreską” zawiera program, wokół którego mają się zorganizować Komitety Obywatelskie?

1,5 mln bezrobotnych pod koniec roku — a co z nimi zrobić? Rolnictwo, kultura, służba zdrowia, oświata, środowisko — to wszystkie pytania a ani jednej odpowiedzi.

Doskonale zdajemy sobie sprawę jakie dziedzictwo objął rząd premiera Mazowieckiego, ale rząd powinien sobie również zdawać sprawę z tego, jakie koszty jest w stanie ponieść społeczeństwo.

W tych warunkach, kiedy system podatkowy, system kredytowy, bariery celne uniemożliwiają rozwijanie się inicjatyw gospo-

darczych, nie dziwny się, że jest ich tak mało. Kiedy drenujemy społeczeństwo podatkami od fundacji, stowarzyszeń, partii — nie dziwny się, że są one bardzo słabe i nie organizują życia społecznego kraju, bo różnica pomiędzy ideami, których jest bardzo dużo, a zrealizowaną społeczną inicjatywą zawiera się właśnie w środkach materialnych.

Jeśli przy konstruowaniu budżetu państwa wszystko zagarnie budżet centralny, a samorządom zostaną odjęte środki finansowe, to również nie dziwny się, że pozostaną one literą w Dzienniku Ustaw, a nie realną siłą ustrojową.

Nie narzekajmy wtedy na marazm i apatię społeczeństwa, tylko doliczmy to do kosztów stabilizacji monetarnej.

I na koniec, przestańcie państwo nas przekonywać, że to nasz rząd. Bo myśmy jeszcze nie zapomnieli, że jest to rząd koalicyjny, rząd będący wynikiem określonych kompromisów. Dlatego nie bardzo lubię, gdy we mnie wmawiają, że jest to jedyny, idealny układ stabilizujący sytuację w Polsce.

Kiedy profesor Geremek pyta, jak urzeczywistnić przyspieszenie, jak zmienić istniejące *status quo*, kiedy pokazuje trudności w realizowaniu postulowanych przemian, to rozumiem i przyznaję, że nie na wszystkie pytania znajdują odpowiedzi. Ale odpowiedzi należy szukać.

Natomiast jeśli ktoś mówi, że nie wie, co to jest przyspieszenie, że nie rozumie o co chodzi, to albo udaje, albo mówi innym językiem niż reszta społeczeństwa.

Napisałem wiele bardzo ostrych i bardzo krytycznych uwag pod adresem rządu premiera Mazowieckiego. Ale kiedy słucham rzecznika rządu, kiedy oglądam telewizję i słyszę ciągle „byczo jest”, kiedy przekonują mnie, że wybrana droga jest jedyną słuszną, kiedy kolejarzy i rolników traktuje się tak, jak ich potraktowano, kiedy nie rozumie się co to znaczy przyspieszenie, to potrzeba lodowatego prysznicu wydaje się konieczna. Jerzy Urban odszedł, ale duch arogancji pozostał. To już chyba ostatnia uwaga do rządowego sztabu.

A tak naprawdę to najbardziej bym sobie życzył, żeby rząd uzyskał środki na ożywienie gospodarki i żebyśmy choć przez chwilę mogli odetchnąć. Udawanie przed sobą i przed Zachodem, że istniejący stan jest wieszycie trwały i zadowalający, to naprawdę nieporozumienie maskujące głębokie trudności z którymi zmagają się polskie społeczeństwo.

Tak więc przynajmniej dla mnie, ale sądzę, że również dla wielu, idea przekształcenia Komitetów Obywatelskich w partię popierającą rząd jest nie do przyjęcia. Mnie podział, który zarysował się na posiedzeniu 24.06. napawa nawet pewnym optymizmem. Gdyby zaowocował on ułożeniem konkretnych programów, charakteryzujących stanowiska obydwu grup, to można

by go nawet uznać za przełomowy moment w dziejach polskiej demokracji.

Ale to tylko nadzieje, które dopiero należy urzeczywistnić. Podział ten świadczy tylko o tym, że się różnimy i byłoby chyba źle, gdyby usiłować go w sztuczny sposób zacierać. W dniu dzisiejszym chyba wszyscy jesteśmy za odbudową demokracji i nie usiłujemy przeciwnikom imputować, że chcą nas wsadzić do więzienia i dążą do rozprawy.

Spróbujmy raczej wyjaśnić społeczeństwu na czym te różnice polegają i jak tę demokrację zamierzamy budować. Niech o tym, kto z nas ma rację, zdecydować społeczeństwo. I nie próbujmy się obrzucać inwektywami lewica, prawica, posiadającymi jakieś dość anachroniczne odniesienie do tradycji. Jednym bliskich, innym dalekich.

Adam Bień, ostatni z żyjących uczestników moskiewskiego procesu „Szesnastu” powiedział na sejmiku województwa tarnobrzskiego, że w dniu dzisiejszym podziału na lewicę i prawicę zupełnie nie pojmuję i nie widzi odniesienia tego sporu do otaczającej rzeczywistości. Muszę przyznać, że go bardzo głęboko rozumiem, ponieważ nie jestem w stanie odszukać się wewnątrz insynuowanego podziału.

Bezsprzecznie swój rodowód polityczny wiąże z KSS „KOR” i paryską *Kulturą*. Jerzy Giedroyc, prof. Lipiński, Mikołajska, ks. Zieja, dr Rybicki, prof. Kielanowski, prof. Szczypiorski — czy to lewica czy prawica?

Myślę, że szukanie odpowiedzi w historii to nonsens. Odnajdywać się musimy w naszym stosunku do problemów, które rozwiązać musimy tu i teraz.

A więc bezsprzecznie gospodarka wolnorynkowa i to nie tylko w odniesieniu do cen, ale również wolnego rynku kapitału i pracy. Sądzę, że tylko w tych warunkach możliwa jest normalna ekonomia, tylko w tych warunkach możliwa jest ocena efektywności gospodarczej różnych przedsięwzięć, tylko w tych warunkach możliwe jest odciążenie budżetu państwa od działalności charytatywno-gospodarczej. Dla tego celu niezbędna jest prywatyzacja przeprowadzona z pełną energią. Ale równocześnie uważam, że nie jest możliwe przeprowadzenie prywatyzacji bez uwłaszczenia społeczeństwa. Pomysł, że majątek państwowy na rzecz którego byli okradani wszyscy obywatele miałby zostać oddany za bezcen w ręce obcego kapitału, bądź też tych, którzy pozostając częstokroć w dwuznacznych układach z dotychczasową władzą zdolali kapitał zgromadzić, jest być może gospodarczo efektywniejszy, ale jest społecznie nie do przyjęcia.

Nie mam żadnej wątpliwości, że po uruchomieniu wolnego rynku kapitałowego dojdzie do akumulacji kapitału, ale na starcie ci, którzy tę własność państwową tworzyli muszą być równi.

Dlatego też popieram wszelkie rozsądne formy akcjonariatu jako umożliwiające przeprowadzenie procesu prywatyzacji zgodnie z poczuciem sprawiedliwości społeczeństwa.

Uważam, że spokojne godzenie się na 1,5 mln bezrobotnych pod koniec 1990 roku jest niedopuszczalne i może doprowadzić do sytuacji, która raz na zawsze przekreśli nasze aspiracje demokratyczne. Istnienie bezrobocia w granicach 2-3% na pewno sprzyja poprawieniu etosu pracy, który został zdezastrowany podczas 45-letnich rządów komunistów. Jednakże bezrobocie jako zjawisko masowe jest nie do przyjęcia i będzie w oczach społeczeństwa dezawuowało rząd, który do tego dopuści. Nie wspominam tu o anarcho- i kryminogennych skutkach tak powszechnego bezrobocia.

Uważam również, że w procesie przegrupowania siły roboczej zasadniczą rolę powinny odegrać związki zawodowe. Odnalezienie się NSZZ „Solidarność” w tym procesie pozwoliłoby na sformułowanie programu, który nie miałby roszczeniowego bądź gloryfikującego odniesienia do rządu, ale stanowiłby bardzo ważną podstawę dla zabezpieczenia interesów pracowniczych. Koncepcję takiego Funduszu Ochrony Pracownika, który w oparciu o uwłaszczenie zwalnianych pracowników oraz dogodne kredyty i ulgi podatkowe tworzyłby nowe miejsca pracy w sektorze prywatnym, przedstawiłem już rok temu i uważam, że koncepcja ta nie straciła niczego ze swojej aktualności.

Odbudowywanie warstwy średniej w miejsce poszerzania marginesu społecznego to rzecz chyba godna zastanowienia.

Uważam także, że niezbędne jest ograniczenie centralnego aparatu władzy na rzecz instytucji samorządowych. Powinno to znaleźć odbicie przede wszystkim w przygotowywanym budżecie i w odpowiednim systemie podatkowym. Władza centralna powinna być na pewno silna, ale jej udział w organizowaniu życia społeczno-gospodarczego kraju winien ulegać systematycznemu ograniczaniu. Jest to jedyny sposób zahamowania roszczeniowości i rozbudzenia aktywności społecznej. Dalsza rozbudowa i powoływanie nowych instytucji biurokracji centralnej stoi w oczywistej sprzeczności z tymi założeniami.

Na obecnym etapie interwencjonizm państwowy jest na pewno niezbędny. Jak szkodliwy by nie był mecenat państwowy, przekształcający automatycznie kulturę w instrument propagandy, to w obecnej sytuacji niedorozwoju infrastruktury demokratycznej (fundacje, stowarzyszenia), jest on niezbędny i poddanie kultury regułom wolnego rynku wydaje się być nieporozumieniem.

Interwencjonizm ten dotyczy szeregu dziedzin życia społeczno-gospodarczego z nabrzmiałym problemem rolnictwa na czele. Brak konkretnego programu rządowego dla rolnictwa w

połączeniu z demagogią spadkobierców Związku Kółek Rolniczych doprowadził do godnych ubolewania zajęć. Program taki powinien zaistnieć od zaraz, ale rozwiązując istniejące problemy powinien stymulować rozwój racjonalnych metod gospodarowania. W zaistniałych warunkach wolnego rynku rolnictwo polskie się nie utrzyma, ale nie może być celem państwa petryfikowanie poprzez nadmierny protekcjonizm zastanego stanu polskiego rolnictwa, produkującego nieefektywnie towary złej jakości (w woj. tarnobrzeskim 97% skupowanego mleka znajduje się poniżej wszelkich norm kwalifikacyjnych. Obciąża to oczywiście nie tylko rolników, ale cały system skupu i przetwórstwa).

Uważam za niezbędne znalezienie formuły godzącej silną władzę wykonawczą z silnym parlamentem sprawującym funkcje ustawodawcze i kontrolne.

W okresie przejściowym, gdy zasadniczym zmianom podlega całe ustawodawstwo, jestem zwolennikiem przekazania specjalnych uprawnień rządowi, celem zlikwidowania fikcji rzekomego parlamentaryzmu, w którym ustawy przyjmowane są bardziej ze względu na termin i problemy władzy wykonawczej niż ze względu na ich obiektywną słuszność.

Wyobrażam sobie, że powinny istnieć sfery życia, prawa obywatelskie, prawa człowieka, przemiany ustrojowe, w których wyłączność parlamentu, jako ciała stanowiącego ustawy, winna być zagwarantowana. Równocześnie rząd powinien dysponować możliwością wydawania „dekretów” (za co tak krytykuje się Lecha Wałęsę), wchodzących w życie z dniem ogłoszenia, które byłyby w ciągu, powiedzmy, pół roku badane przez parlament i odpowiednio nowelizowane, bądź pozostawione bez poprawek stawałyby się ustawami. Tego rodzaju procedura wymagałaby oczywiście stworzenia instytucji badającej reakcję życia społeczno-gospodarczego na wprowadzone „dekrety”.

Wyobrażam sobie, że tę rolę mógłby spełniać NIK. W moim przekonaniu instytucja ta, która w ramach obowiązującego systemu wypełniała swe funkcje przyzwoicie, uległa w ostatnim okresie pewnej alienacji. Wydaje się celowe bardziej ściśle zintegrowanie jej z pracą parlamentu i stworzenie w ten sposób dla Sejmu i Senatu efektywnego narzędzia kontrolno-badawczego. Wymagałoby to oczywiście istotnych zmian organizacyjnych, ale jednocześnie wzmacniałoby pozycję i umożliwiałoby racjonalną pracę parlamentu.

Reasumując, uważam, że jedną z najpilniejszych ustaw, która pozwoliłaby na uporządkowanie prac legislacyjnych jest ustawa o stanowieniu prawa, przewidująca w ściśle określonym okresie przejściowym szczególne uprawnienia dla rządu.

Mówiąc o przemianach ustrojowych i przyspieszeniu powinniśmy sobie również uświadomić, że nie jest to możliwe bez

przeprowadzenia w parlamencie nowej ordynacji wyborczej. Z żalem muszę stwierdzić, że niezależnie od krytyki pod adresem parlamentu, że jest niedemokratycznie wybrany, żadne z ugrupowań politycznych nie przedstawiło dotychczas zwartego projektu ordynacji wyborczej, którą uznałoby za w pełni demokratyczną. Wszyscy czekają aż zrobi to rząd lub parlament, aby poddać ją druzgocącej krytyce. A może by jednak, zamiast toczyć niekończące się dyskusje, co jest demokratyczne, a co nie, spróbować podsumować je w formie projektów ustaw. Łatwiej byłoby wtedy wykazać, że toczące się debaty to nie tylko przelewanie z pustego w próżne, ale praca dająca pozytywne rezultaty.

To samo zresztą dotyczy prac nad nową konstytucją. Kto ją ma uchwalić i kiedy — to problem na pewno ważny, ale nie najważniejszy i dla mnie osobiście byłoby ciekawe wiedzieć, co różne ugrupowania sądzą o przyszłości ustrojowej kraju.

Warto pamiętać, że mgliste poglądy skonfrontowane z wypracowanym dokumentem zawsze muszą przegrać, ponieważ ich rola ograniczy się co najwyżej do bardziej lub mniej znaczących poprawek.

Tak więc generalnie zachęcam do pracy. Jest nad czym. Dyskusje będą wtedy może mniej namętne, ale kultura polityczna sporu wzrośnie i ludzie zaczną wreszcie rozumieć o co nam właściwie chodzi.

Zbigniew ROMASZEWSKI

Warszawa, maj-lipiec 1990 roku

W spadku po imperium zła

1.

Komunizm zbankrutował, rozleciał się i zapada w ziemię. Nikt już nie wątpi, że system się skończył nawet tam, gdzie jeszcze trwa. Dopiero co konstruowano dla ZSSR „ottomański model” dwóch Stuleci gnicia przed zgonem (Garton Ash), a oto teraz liczy się miesiące. Jest wszakże w tych przemianach coś, co sprawia, że radosnemu zdumieniu towarzyszy poczucie jakiegoś nieoswojenia, niepokoju. Dzieje się bowiem coś bardzo doniosłego, bardzo upragnionego, ale zarazem coś niezrozumiałego.

Zrozumialsza byłaby przemiana powolna. Nazwano by ją reformowaniem komunizmu. Sprzeczano by się o granice: czy to jeszcze totalitaryzm, czy już autokracja. Przyrównywano by zwolna zmieniającą się rzeczywistość do prognoz systemowych rozmaitych konkurencyjnych teorii, i w tej niekończącej się dyskusji oswajano by rzeczywistość, ratując zarazem od kompromitacji, jeśli nie teorie same, to przynajmniej ich język (np. pojęcie systemu).

Zrozumialsza byłaby też zmiana gwałtowna, krwawa, pod naporem, w walce. Rewolucja, lud na barykadach, żołnierze ciskający broń: Rumunia, ale całkiem serio.

W pewnym ujęciu może się nawet zdawać, że oba schematy wydarzeń znalazły w upadku komunizmu zastosowanie. Jeśli mianowicie rozpatrywać cały okres historyczny od 1953 roku, to można twierdzić, że najpierw przez trzydzieści z okładem lat odbywało się — z przerwami, nawrotami, eksplozjami lokalnymi, ale jednak! — reformowanie komunizmu, a dopiero w ostatniej fazie doszło do rewolucyjnego załamania. Cóż jednak począć z faktem, że całe owo trzydziestoletnie reformowanie zaowocowało wyłącznie generalną degrengoladą? Nie były to przecież zmiany li-tylko fikcyjne. Któż mógłby twierdzić — nawet w ZSSR — że od śmierci Stalina nie zmieniło się życie ludzi i funkcjonowanie instytucji? A cóż dopiero w kraju takim jak Polska! Jednak, jak to się mawia zazwyczaj, „jądro systemu” umykało wszelkiej reformie, komunizm był „niereformowalny w swej istocie”. Jeśli więc rzeczywistość ostateczny upadek poprzedziło długie reformowanie, to trzeba jeszcze wyjaśnić, dlaczego było ono w tak szczególny sposób nieskuteczne. Cóż to ostatecznie za reformowanie, jeśli całość nie reaguje na stopniową podmianę części: niby tyle się zmieniło, a nic się nie zmienia?

Z kolei wszakże rewolucyjność owej końcowej fazy upadku jest gorzej niż wątpliwa. Czy może być rewolucja nie wymuszona? Wymuszona gwałtem, gdy władza załamuje się pod ciętami lub wymuszona presją, gdy władza czyni to, czego czynić nie chce. Ale gdzież ten gwałt i gdzież chociażby ta presja w Europie Wschodniej? Gdzie ci rewolucjoniści, gdzie te masy gotowe na wszystko, gdzie wreszcie te wrogie moce na granicach grożące wojną, krótko mówiąc, gdzie owe minimum ciśnienia rewolucyjnego, które wyjaśniłoby załamanie władzy i to władzy totalitarnej, zatwardziałej, przez tyle dziesięcioleci odpornej? Z jednym, jedynym wyjątkiem „Solidarności” w 1980/81 roku, kiedy presja była istotnie na miarę rewolucji (ale też władza zdołała się jej oprzeć), załamywanie się komunizmu w Europie Wschodniej odbywa się raczej w atmosferze pikniku.

Czyżby zatem owo trzydziestoletnie reformowanie było jednak w tym pozytywnym sensie skuteczne, że dokonało erozji

władzy, podważając jej rację bytu? Komunizm byłby więc, ostatecznie, reformowalny? Ale, w takim razie, dlaczego wszystko dokonuje się w takiej złudności, takim kosztem, dlaczego trzeba przejść przez załamanie, to jest zawsze przez kryzys, a czasem przez rozpad, by się przedostać na drugie zbrocze?

2.

Ostatecznie okazuje się zatem, że dwa podstawowe pojęcia, którymi zwykliśmy się posługiwać analizując przebieg historii politycznej — reforma i rewolucja — nie bardzo nadają się do opisu upadku komunizmu. Stąd intelektualny dyskomfort. Ale stąd też rozpowszechnianie się pewnych postaw politycznych, które mogą się okazać bardzo ryzykowne.

Niestosowność pojęć reformy i rewolucji do wydarzeń w Europie Wschodniej i ZSSR jest mianowicie skutkiem wyniszczającego i niwelującego wpływu reżimu na rzeczywistość społeczną, w której brak w rezultacie sił i struktur mogących być nosicielami reformatorskich poczynań bądź rewolucyjnych projektów. Dlatego zapewne Polska, która z tych sił i struktur zdołała obronić najwięcej (indywidualne rolnictwo, Kościół, tradycja inteligencji jako nosicielki ideałów) zdobyła się na Solidarność 1980/81, i dlatego też ona właśnie otworzyła ostatni akt. Ale nawet w Polsce, a cóż dopiero w ZSSR, dominacja biurokracyjnej rzeczywistości nad załączkami przemian spowodowała zasadnicze nieprzygotowanie społeczeństwa, gdy trzeba od fazy czystej negacji, odrzucenia komunizmu przejść do fazy pozytywnej konstrukcji. W bardziej „normalnym” biegu zdarzeń obie te fazy byłyby wymieszane, współbieżne, negacji komunizmu towarzyszyłaby z miejsca „społeczna burza mózgów”, pomysłów i programów. Tak jak się stało, jedyną liczącą się oprawą wydarzeń było przeciwstawienie społeczeństwa (narodu) i władzy wraz z deklaracją praw człowieka. Kiedy komunizm jeszcze się broni, taki schemat zapewnia atakującym ogromną siłę: poczucie, że są wszyscy razem i każdy bez wyjątku. Ale kiedy komunizm upada rzeczywistość, z takiej oprawy intelektualno-moralnej przestaje cokolwiek wynikać. Mur został obalony, droga wolna, teraz jednak trzeba dopiero wiedzieć dokąd się idzie. I którędy.

Bardzo często opisuje się tę sytuację słowem „pluralizm”, zwłaszcza Wałęsa rozkochał się w tej formule, i zdaje się, że rzeczywistość znajduje w niej komfort myślowy, choć tak naprawdę niczego ona nie rozstrzyga.

Pluralizm istotnie funkcjonuje dobrze i nie niszczylielsko, pod warunkiem, że towarzyszy mu spontaniczna zgoda co do pewnego minimum. W krajach postkomunizmu jest to zgoda

„co do wartości”: ustrój demokratyczny i gospodarka rynkowa. Ale nie jest to, niestety, zgoda „co do rzeczywistości”, ponieważ obie wartości mają w tych krajach charakter często modelowy, ich wcielenia znajdują się za granicą, na Zachodzie, lub w przeszłości własnej (częściej zresztą wyobraźniowej niż faktycznej). Rzeczywistość jest postkomunistyczna właśnie, zniwelowana i zniekształcona, i nie może być co do niej żadnej spontanicznej zgody, co najwyżej można sądzić, że z biegiem czasu okaże się, co nadaje się ewentualnie do naprawy i zachowania. Innymi słowy, rzeczywistość postkomunistyczna jest nadal traktowana negatywnie, z tym jednak, że niemożliwa jest już koncentracja tej negatywności na przeciwniku pobitym i ustępującym pola. Jeszcze inaczej mówiąc, choć obie centralne wartości wspólne — demokracja i gospodarka rynkowa — wydają się politycznie w zasięgu ręki, co wzmaga niecierpliwość społeczną, rzeczywistość nie jest wcale przygotowana na ich przyjście. Polska jest, i w tym jeszcze znaczeniu, dalej od innych krajów zaawansowana na nowej drodze, mimo że nagromadziła najwięcej doświadczeń świadczących o tym zasadniczym dylemacie. To u nas właśnie pokazało się jak wątpliwym (choć zarazem koniecznym!) przedsięwzięciem może być konstrukcja konstelacji partii. To u nas także widać najlepiej, że legislacja (choć też zarazem niezbędna!) nie tylko niczego nie przesądza o gospodarce rynkowej, lecz nawet może być odwrotnie niż w intencjach ustawodawcy wykorzystana. I to u nas także ukazuje się z całą okazałością dylemat przejścia do gospodarki rynkowej zintegrowanej ze światem: im szybciej i im konsekwentniej, tym więcej z aktualnego majątku narodowego trzeba spisać na straty, jak właśnie w owym nieszczęśliwym romansie Stoczni Gdańskiej z panią Johnson-Piasecką.

Szczególnie atrakcyjne w takiej sytuacji i, jak sądzę, szczególnie niebezpieczne jest absolutyzowanie neoliberalizmu, z którego politycy postkomunizmu czerpią taką oto pociechę: nasze wartości, gospodarka rynkowa i demokracja, odpowiadają w takim stopniu naturalnemu stanowi rzeczy (lub przynajmniej ich naturalnemu stanowi w dzisiejszej cywilizacji) że wskazanym dylematem nie należy się przejmować. *Le Monde* zamieścił był w lipcu (17 i 24) artykuły swego najwybitniejszego komentatora, Paula Fabre'a, dowodzącego, że nie ma żadnego powodu, by „wprowadzanie gospodarki rynkowej miało być procesem długotrwałym i uciążliwym”. „Takie ponure prognozy są tylko pochodną wyobrażeń jakie na temat rynku są w obiegu w krajach zwanych kapitalistycznymi (...), jako że ekonomiści pozostają w większości więźniami pojęć wytworzonych przez Keynesa w czasie wielkiego kryzysu lat 30-tych, czyli w okresie najzupełniej nietypowym. Są to pojęcia takie jak: równowaga niepełnego

zatrudnienia, sztywność kierunków wymiany handlowej, mnożnik wydatków publicznych itd." Po czym Fabre, sygnalizując przykładami z Korei Płd., Tajwanu itp. oraz wspominając udane reformy monetarne Erharda w RFN (1948) i Pinaya-Rueffa we Francji (1958), i przymierzając to wszystko do ZSSR Michaiła Gorbaczowa, daje dowód najzupełniejszego niezrozumienia sytuacji i specyfiki postkomunizmu. Przytaczam ten casus Fabre'a na pociechę polskim czytelnikom Janusza Korwina-Mikke: bywa i w Paryżu owies zamiast ryżu.

Wiara w „naturalność” jakiegoś programu i jego „oczywistość” znacznie wspomaga samopoczucie polityka i pewność ręki: w Polsce Leszek Balcerowicz jest przykładem takiego nastawienia. Ale czasem chciałoby się trochę wątpliwości.

3.

Szczególnie trudno o owe trochę wątpliwości w sprawach międzynarodowych.

Z ostatnich miesięcy pierwszej „Solidarności” na ul. Mokotowskiej w Warszawie, w siedzibie regionu, zapamiętałem wizytę pewnego chłopka-roztropka spod Legionowa. Przyszedł po radę. Dają mu mianowicie działkę w Legionowie, w sam raz pod budowę, ale szwagier z Błonia odradza, bo, powiada, teraz będzie rozbiór, Ruskie wezmą do Wisły, Amerykanie za Wisłą, tak że ty, głupi, szukaj u nas w Błoniu, a z Legionowa uciekaj. Więc roztropek przyszedł pytać „Solidarności”, czy będzie rozbiór. Odesłano go do działu zagranicznego, gdzie akurat byłem w jakiejś sprawie, i tak zostałem doradcą...

Jest w tej karykaturalnej historii sprzed 9-u lat podwójna nauka: że świat jest podzielony pomiędzy dwa supermocarstwa, ale że linia podziału jest przesuwalna, na przykład z Łaby nad Wisłę — i że wobec tego jedyne, co można wygrać, to znaleźć się po dobrej, amerykańskiej stronie. Z tego schematu myślowego wydobywamy się z trudem. Najczęściej, idąc optymistycznie za wydarzeniami, przesuwamy granicę: nad Bug, nad Dniepr..., ale ciągle zachowując dualizm schematu, nawet jeśli przewidujemy zanik podziału ustrojowego. Tymczasem jednak już wyrastają wokół nas problemy, które towarzyszyć będą takiemu „powrotowi do jedności świata” czy, na początek, Europy.

W sierpniu wojska irackie zajęły i okupowały Kuwejt. Dawno już świat nie miał do czynienia z agresją o tak jawnie rabunkowym podłożu. Jednak jeszcze szczególną cechą tego wydarzenia było to, że po raz pierwszy oba wielkie mocarstwa zachowały się zgodnie wobec lokalnego konfliktu, i że to zgod-

ne potępienie nie wpłynęło bezpośrednio na zachowanie Iraku. W tym sensie okupacja Kuwejtu daje nam przedsmak wydarzeń, jakie snadnie mogą nastąpić w wyłódniałej większości świata, w której ustaje polaryzacja dopuszczająca dotychczas tylko wojny „licencjonowane” przez Wielką Rywalizację, natomiast instytucje porządku międzynarodowego, jak ONZ czy Rada Bezpieczeństwa NZ, są mało skuteczne.

W Europie, jak przywykliśmy sądzić, sytuacja wygląda mimo wszystko znacznie lepiej, to zaś dzięki istnieniu zintegrowanej wspólnoty EWG. Już wprawdzie toczą się dyskusje, czy i w jaki sposób będzie możliwe rozszerzenie wspólnoty, czy na przykład nie okaże się konieczne zaprowadzenie jakiejś integracji pośredniczącej (Europy Środkowo-Wschodniej) i czy Polska nie zostanie aby z takiej integracji wyeliminowana. Ale bardziej ważne obawy dotyczą przede wszystkim roli Niemiec i, w związku z nią, miejsca Rosji (lub ewentualnie federacji sowieckiej): w Europie czy poza nią. Wiele się o tym pisze, ale...

Wspomniany Paul Fabre, postulując pomoc Zachodu dla ZSSR, twierdzi: „Naszą sprawą jest, aby zawieść nadziei, to znaczy, aby doprowadzić nie do jakiejś restauracji poprzedniego ustroju — co wydaje się niemal niemożliwe do wyobrażenia i zwłaszcza realizacji — lecz aby uwieńczone zostało zaprowadzeniem demokracji oraz gospodarki rynkowej, za której pośrednictwem naród rosyjski i inne narodowości Związku Sowieckiego będą mogły wreszcie zaspokoić swoje potrzeby materialne, włączając się zarazem stopniowo w nurt wymiany międzynarodowej”.

Wystarczy zauważyć, że receptura, którą podaje Fabre, i poza którą rzeczywiście nie wykracza wyobraźnia znakomitej większości europejskich klas politycznych, doskonale pasuje do opisu Europy roku... 1914. Byłby to na scenie międzynarodowej odpowiednik owej „naturalności” czy „oczywistości” postulowanych przez neoliberalną doktrynę? Inaczej mówiąc, czy wiek XX ma się zakończyć powrotem do XIX? Wystarczy zadać to pytanie, aby zrozumieć absurdalną niewydolność receptury.

I stąd wreszcie uwaga ostatnia. Zarzucano marksizmowi, zwłaszcza u źródeł, nadmiar „prometejskiego racjonalizmu”, „wymyślanie świata”, z czego potem zrodziły się nieszczęścia i zbrodnie utopii. Teraz zatem nie chcemy niczego wymyślać, zaprowadzamy „wypróbowane wzory”. Jest to jednak iluzja tylko. Nie ma w historii „wypróbowanych wzorów”, ponieważ żaden z nich nie istnieje poza dziejami własnego kształtowania się, te zaś wyjątkowo tylko bywają powtarzalne. Wzory historycznych rozwiązań istnieją jedynie jako wyabstrahowane schematy w książkach historyków. Innymi słowy, nie ma w polityce

ucieczki od „wymyślenia świata”. Cały problem polega na tym, aby robić to z umiarem i na miarę rzeczywistych potrzeb. Zatem nie jako system, lecz jako rozwiązania poszczególnych problemów. Tak, jak kapitaliści wymyślili weksel. Bo oni wymyślili weksel właśnie, nie kapitalizm. Dlatego zapewne udaje się im spłacać długi.

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Okęcie, słowo splecione w sobie jak korzeń. Okęcie gdzie było tyle powitań i pożegnań, że zbiły się po latach w jedną sfilcowaną całość o kształcie zużytego kaptura. Okęcie pełne policyjnych służ, przerażających kontroli, odlanych z asfaltu pysków wopistów. I ta granica, która obnażała kły gdy się do niej zbliżyć. To tam kurczyły się nasze serca jak serca zajęcy. Nawet Polacy żyjący na Zachodzie cierpią na ten skurcz gdy przekraczają już prawie nie istniejące granice, i zwykle dopiero po 10 latach życia w wolnym świecie ów objaw znika. I te bardzo szczególne odloty emigracyjne bliskich ludzi w stanie wojennym, podmuch odrzutowych silników niosący zapach benzyny, który wydawał się wiewem niedostępnej nam wolności.

Dzisiaj Okęcie zamarło, a lęk graniczny skapcianał. Bo sama granica stała się już tylko granicą między naszą niemożnością, naszym śmietnikiem, a tamtym światem. Został tylko ten dawny skurcz serca. Czy nasze serca będą miały swoje 10 lat na kurację leczniczą?

Szukam celników, ale ich nie widzę, krzątają się tylko młode dziewczęta chyba na praktyce celnej. Wydają się zagubione w tym wielopiętrowym bałaganie. Pytają czy ja do kontroli — mówię, że mnie nie wolno kontrolować — trochę się dziwię, ale nie za bardzo, uśmiechają się bezradnie.

Dzisiaj Okęcie to przede wszystkim nieopisany tłok, jakby ten tłum pchał się na Arkę Noego. Jeżeli to ucieczka przed potopem, to przed potopem wolności, którego wody niosą nie wiadomo co. Chwytałem wzrokiem głowę mecenasa De Virion, która góruje nad tłumem, on też jakby spłoszony ucieka do Londynu by objąć tam polską ambasadę. Uciekamy więc od zalewu wolności na wiele sposobów, nawet na dyplomatyczne placówki. Uciekamy od Polski, która jest wolna, ale której nie

potrafimy udźwignąć. Ale problem nie w ciężarze, a w braku uchwytu. Rozbijani młotem dwóch stuleci, duszeni niemal 50 lat przez sowiecki system — żeby dłońmi, siedzieli nam tyłkiem na twarzy — utraciliśmy swój kształt. I sami już nie wiemy, czy my dumna szlachta, czy mali żydowscy handlarze przeganiani ze straganów Europy. A nasz patriotyzm, nasze narodowe symbole, słynne zalety, gdzie one?

Poruszałem się ostatnio po Polsce z coraz większym trudem, jakby coś mi krępowało ruchy. I popadać zacząłem w stan, który pewien pisarz określił „całkowitą niemożnością”. Bo oto stoi przed spragnionymi usty szklanka pełna źródlanej wody z napisem Europa, sięgamy po nią dłonią, a ta dłoń nie ma palców, to kikut. Nigdy więc jeszcze Europa nie była tak blisko, i tak daleko. Niemożność na wszystkich szczeblach naszej dzisiejszej drabiny, czy tam w ogóle są jakieś szczeble?

Nie potrafimy nawet zagospodarować pieniędzy, które od czasu do czasu rzuca nam Zachód, problem w tym, że po złych doświadczeniach nie rzuca jak kiedyś głodnemu psu ochłap. Pies zżerał wszystko raz dwa, i wszystko się marnowało. Teraz Zachód żąda dokładnego planu na co te pieniądze przeznaczymy. I tu zaczynają się kłopoty.

Do Polski nadal przybywają liczni biznesmeni licząc na robienie interesów. Wyjeżdżają dziwnie spłoszeni i zakłopotani. M. jest biznesmenem polskiego pochodzenia, nie przybywa więc do Polski jak na obcą planetę, pełną zdumiewających zjawisk. Opowiada, że jeszcze nigdy nie było tak ciężko cokolwiek załatwić. Ludzie pogubili się w zmieniających się przepisach, często pogubili się specjalnie. Urzędnicy czekają na egzekucję, a chronią się przed nią w gąszczu paragrafów. I tylko ten sam co zawsze głodny wyraz twarzy, gdy mówią — sprawa jest nie do załatwienia. Ale wprawne oko dostrzeże w tych słowach szczelinę, w której przebiera palcami trzecia ręka, ta od łapówek, ów socjalistyczny czarci narząd.

Wczoraj rozmowa z S. Wrócił dopiero co z Polski, bardzo przybity mówi, że jechał z transportem po raz ostatni. Ma dosyć. S. od lat woził do Polski urządzenia medyczne, które sam kupował. Teraz stał na granicy dwa dni, w grubym samochodowym ogonie. Drugiego dnia ten ogon począł nagle wydziełać z siebie zapach gnilny, to psuły się owoce cytrusowe wzięte przez tysiące handlarzy.

Odpłynął majowo-czerwcowy strajk kolejarzy. Od podobnego strajku kolejarzy zaczął się cykl zdarzeń, który zrodził „Solidarność”. Teraz ci sami kolejarze starsi tylko o lat 10 zaciągają na szyi solidarnościowego rządu śmiertelną pętlę. Pamiętam tamte wakacje roku 80 w Uście i ów szmer, to potracony ka-

mień uruchomił lawinę. I pamiętam, że poczułem jak po plecach przeszedł mi metafizyczny dreszcz. Tak brakuje mi dzisiaj tych dreszczy, dzisiaj gdy stało się niemożliwe i rozpada się Imperium. Teraz tylko prasa informuje, że „w ostatnich dniach w społeczeństwie niebezpiecznie zaostrzają się wystąpienia i nastroje antykolejarские”. Kolejarze odpowiadają strajkiem głodowym. Głodówki u nas mają niezwykle obfite pożywienie w postaci poczucia odtrącenia. Bo kto tam w Polsce nie czuje się odtrącony. Cały ten kraj jest dzieckiem nie kochanym przez historię. I jak u dzieci, odmowa jedzenia staje się nie tylko próbą zwrócenia na siebie uwagi zimnych rodziców, to wołanie o miłość. Ale głodówka jako forma protestu wydaje się w Polsce już zupełnie zużyta. Na pociechę trzeba rzec, że jeszcze gorzej by to wyglądało w Etiopii. Ale nie zraża to nikogo — głoduje młodzież przeciwko elektrowni jądrowej w Żarnowcu. Przed gmachem sejmu głoduje robotnik, by uświadomić społeczeństwu, że już dłużej nie potrafi żyć wraz z żoną i czworgiem dzieci w mieszkaniu o powierzchni 15 m kw. Głodują w sprawie niepodległości Litwy, głodują niewidomi, więźniowie, jak również studenci w Olsztynie, bo ich uczelnia nie mogła przejąć budynku po PZPR, i znowu młodzież tym razem w Legnicy, by wyrzucić oddziały sowieckie z ich miasta. Gdy Lech Wałęsa osobiście przekonał głodujących kolejarzy by zaczęli spożywać, to jeden nieprzejednany kolejarz postanowił na szpitalnym łóżu popełnić samobójstwo.

Spirala głodówek to rzecz nie do śmiechu, bo ludzie się dęczą, to znak ich bezgranicznej bezradności i świadectwo, że demokratyczne kanały są dopiero w budowie, jeżeli nie w planach.

Odpląnęły również te nieszczęsne wybory samorządowe, nieco powyżej 40% frekwencji wyborczej. To jakby Polska miała wysoką gorączkę, ale ze znakiem ujemnym. Bo apatia kojarzy się z mrozem. Prasa już wolna, jakże niechętnie patrzy w oczy, stara się patrzeć w policzki.

Znowu wiadomość w gazecie, która jak niespodziewany podmuch wiatru unosi spódniczkę wspomnienia, i chociaż nie chcę tam patrzeć, ale nie mogę się powstrzymać. Oto „w Bydgoszczy radni popierani przez Jana Rulewskiego sprzymierzyli się z radnymi z SDRP przeciw radnym z Komitetu Obywatelskiego (pod przew. Antoniego Tokarczuka) i na przewodniczącego rady miejskiej wybrali byłego I sekretarza Komitetu PZPR”.

W heroicznych czasach Rulewski był przewodniczącym bydgoskiej „Solidarności”, słynny z nieugiętego ale mało inteligentnego antykomunizmu. Antek Tokarczuk był jego zastępcą. Bohaterowie słynnej bydgoskiej afery, marzec 81, gdy podczas

obrad radnych z udziałem szefów „Solidarności” wkroczyło ZOMO. Pobito m.in. Rulewskiego. Zdjęcia zmaltretowanych obiegly kraj, zdjęcie Rulewskiego bez zębów. Fabryki w całym kraju zmieniły się w twierdze i szykowaliśmy się na śmierć. Zaciśniliśmy pięść, której nie pozwolono spaść. To wtedy uszła z nas para, i opór w grudniu był mniejszy niż należało się spodziewać. Siedząc potem w jednej ciupie z Antkiem, nastawiałem ucha, do którego szeptał mi jak ta sprawa interwencji ZOMO i pobicia naprawdę wyglądała. Było nieco inaczej niż przedstawiała nasza strona, Rulewski wyjął sobie sztuczną szczękę, no, ale dajmy spokój, co to teraz kogo obchodzi. Ja tylko sobie wtedy uświadomiłem, że naszą stroną też stać na małe matactwa, i to naiwne zdziwienie, że wydarzenia historyczne mają z reguły zupełnie inną podszewkę niż to się później wydaje historykom. Wracając do Rulewskiego i Tokarczuka. Teraz ci dwaj dzielni towarzysze broni też stali się śmiertelnymi wrogami (syn trzeciej ofiary, pobitego chyba naprawdę Michała Bartoszcze, dowodzi dzisiaj chłopami, którzy zaczynają oblegać nasze miasta). Trzecim w naszej celi był Seweryn Jaworski, bardzo miły i pożyteczny, wstawał o 6 rano, mył głowę i przyrządzał śniadanie. Seweryn teraz walczy w „Solidarności 80”, a więc niemal wszystkich ma za zdrajców, i mnie, i Tokarczuka, i Mazowieckiego.

Jak wytłumaczyć, że w Polsce nastąpiło popolite ruszenie wszystkich przeciwko wszystkim, jakby wolność zerwała tamy solidarności, przywoitości, zdrowego rozsądku. Bez psychologii tego nie rozbierzesz. Przeszedł po nas komunistyczny walec i nie tylko trzeba od nowa budować z miążgi, ale również dawać imiona i samookreślać się. Najłatwiej to czynić poprzez konflikt. Jeżeli ten konflikt nie rozkruszy naszej ruiny, to zacznie się kiedyś proces scalania. Na bliznach wyrosną pierwsze źdźbła trawy, a może nawet — tu zdobywam się na bolesny optymizm — kwiaty.

A póki co ludzie prości, a również ludzie uczeni twierdzą, że już we wrześniu społeczeństwo nie wytrzyma. Pytam, jaką formę przybierze to niewytrzymanie, przeciwko komu obróci się gniew? I tu nie otrzymuję żadnej sensownej odpowiedzi, co stanowi pewną nadzieję, że tak się nie stanie.

Straciłem nie wiem kiedy umiejętność uciekania w przeszłość. We wspomnienia i w wyobraźnię, jakby mijające lata podobne do pędzących pośpiesznych pociągów, swoimi gorącymi podmuchami wysuszyły wszystkie źródła. A jednak przeszłość wydaje mi się lepsza od dzisiaj i jutro. „Wspomnienie jest wolne od niebezpieczeństwa, może dlatego przeszłość wydaje się znośniejsza”, napisał w swoich dziennikach Mieczysław Jastrun.

Samemu też mi się zdarzało pisać dziennik ale wracając do niego po latach, odkryłem, że taki zapis nie ratuje dla mnie osobiście niczego istotnego z przeszłości. Wszystko co naprawdę ważne jest w pamięci lub gnije w nieświadomości. Dziennik po latach prawie nie pobudza pamięci, już bardziej zapach bijący z kuchni, czy dotyk czyjejś dłoni. Dlatego autorzy po latach czytają swoje dzienniki jak zapiski kogoś obcego.

Wojskowi, których spotykam, pułkownicy, kapitanowie, nie inaczej milicjanci w niskich i wysokich szarżach, jak niemowlęta, które roznegliżowano z pancernych pieluszek. Ci ludzie są teraz nadzy, żółwie pozbawione ideologicznej skorupy. W Polsce przegrał nie tylko komunizm, ale również stan wojenny, i przegrało prawo pięści. Ofiary nowej sytuacji pokazują dzisiaj swoje miękkie bezradne grzbiety. Garną się do wszystkiego co nowe i gdzie im się zdaje, że jest choćby trochę siły, lub przynajmniej składane są sprawnie słowa i potrafi się na myśli zawiązać krawat. Ci ludzie na ogół posiadają osobowości autorytarne, potrzebna im więc jest czyjaś siła, organizacja, cel, jak rybom niezbędna jest woda. Mogą stać się w przyszłości klientelą jakiegoś demagoga, ale jaki demagog przełamie bierność i sceptycyzm naszego społeczeństwa, również wobec demagogii.

Stara nomenklatura, cała nastroszona wysiłkiem by stać się nowym ciałem pełnym uczuć demokratycznych. Ten demokratyczny wysiłek powoduje, że ich oblicza cierpią na nieustanne wzdęcie. Niewiele tam twarzy, na ogół pyski, tak działała selekcja negatywna. I na tych pyskach do demokratycznego wzdęcia wlewa się lęk niepewności — zetną, czy nie? Cóż za bogactwo na jednym karku.

Nietrudno dowiedzieć się co mówili jeszcze dwa lata temu. Są sprzątaczkami, kierowcy, mali urzędnicy, oni pamiętają. Ten cały podrzędny personel, gdyby mógł, wydrapałby im oczy, za to, że pod ich pańską ręką kurwili się. A więc jeszcze dwa lata temu słuszną była tylko linia PZPR, a Wałęsa i spółka powinni wisieć. Teraz gdy słyszą Wałęsa, stają na baczność, gdy słyszą Mazowiecki, Kuroń, Bujak, stają na baczność. Nie pamiętają jak opijali złapanie Bujaka. Udają, że nie widzą konfliktu Wałęsy z Mazowieckim, oni zawsze na jednym dworze nie potrafią porazić sobie z podziałem nowego dworu na dwie części.

Wierni czciciele 1-majowego święta dzisiaj grzebią je z krzykliwym entuzjazmem. Nie czekając na jakże leniwe drukarnie sami wycinają z tektury korony i wkładają je orłom na głowy. Osobiście w pocie czoła przerabiają tony pism i dokumentów. Na własne oczy widziałem pisma, gdzie jakże pracowicie wykreślone zostało słowo propaganda, a wpisane długopisem

— informacja. Nowe teksty pisane są gorliwie. Problem w tym, że to jest ten sam język i ten sam zapach, ale w drugą stronę. Oto placówki dyplomatyczne otrzymały nową, jakże nową listę osób ze świata artystycznego, polecanych by je zapraszać. Wykonano ogromny wysiłek aby sprawdzić biografie twórców pod nowym kątem politycznym, im większy antykomunista, bardziej był w podziemiu, więcej miał kłopotów, tym większy artysta. Doprawdy należy zbierać te nowe dokumenty, są świadectwem jak nowy czas jest stary.

Wobec nielicznych Nowych, staronomenklaturowcy kurczą się w atencji. Stosują dwie taktyki. Jedni, liczniejsi, twierdzą, że owszem, skurwili się, czas był ciężki, szli na zbyt dalekie kompromisy, ulegli przemocy. Ale już od dłuższego czasu zorientowali się, że tak nie wolno, narażali się wcześniej niż inni, ba, w jakimś sensie, oczywiście tylko w jakimś, padli nawet ofiarą prześladowań. Nie porównują się do Nowego, ale...

Drugi typ oświadcza, że upadek był niewątpliwy, że za takie postępowanie należy się kara. Czekają na wyrok z pokorą. Są dobrymi fachowcami, mogą się przydać. Są do dyspozycji.

Jeden z częstszych mechanizmów obronnych, to niezwykle ścisłe przestrzeganie przepisów. Zachowują się jak dzieci, które wierzą, że nie nadeptując na łącza chodników zrealizują swoje marzenie, a ich marzenie — to przetrwać.

Obecne reformowanie urzędów, przez Nowych naszych ministrów, i wice... jest zabiegiem żałośnie delikatnym i amatorkim. Te urzędy są chore od korzenia, a ci Nowi nawet nie wiedzą o korzeniu.

Jedna rozmowa z kierowcą z urzędu dostarczy więcej materiału niż jakiegokolwiek inspekcje czy intuicje doktorów i profesorów prawa. Nikt jednak nie będzie z kierowcami rozmawiał, to poniżej klasy Nowych. Oni nie interesują się donosami. Dzięki swojej uczciwości wyluskując ze starej nomenklatury fachowców, będą często mianować ludzi, którzy powinni pójść siedzieć.

Większość społeczeństwa nie rozumie mechanizmów psychologicznych władzy, trującego działania jej miazmatów, nie pojmuje mechanizmów małej i wielkiej polityki, chociaż jeśli uważnie się przyjrzeć to elementy tej gry widać wśród dzieci w piaskownicy. Dlatego cała ta burza na szczytach dawnej „Solidarności” jest zjawiskiem niepojętym, budzi zabobonny lęk, jaki piorun musiał budzić wśród ludów pierwotnych. I tu trudno spodziewać się wyjaśnienia zjawiska w sposób racjonalny. Lud będzie doszukiwał się spisków, knoń tajemnych, pod powierzchnią sporów widzieć będzie podwodne góry lodowe. Jedni poczują gniew i przemożną chęć ukarania tych co ich zawiedli. Inni zajmą się po prostu swoim interesem, za nic mając interes

ogólny, skoro ci którzy tak wiele o interesie ogólnym mówili, wzięli się teraz za łby najwyraźniej z prywatnych powodów.

A oto jak rozmawiają ze sobą przywódcy „Solidarności”, wczoraj jeszcze legendarni przywódcy podziemia, połączeni wspólną walką z wrogiem.

— Pomysł rozwiązania komitetu to zdrada Polski — oświadcza Wałęsa.

— Dużo mówisz o sobie Lechu, a nie o Polsce — replikuje Frasiński, legendarny przywódca podziemia z Wrocławia — co to za instytucja, która za tarczą Solidarności, mając za herb węża Wałęsy przywala wszystkim (...) Lech Wałęsa mówił, że w Polsce nie ma Murzynów, to nieprawda. Ja byłem Murzynem przez lata, a teraz mam być w dworze despoty?

— Kto chce może tu być, kto nie, wolna droga — krzyczy Wałęsa spod wąsów.

— Proszę o lepszy styl — mówi legendarny przywódca hutników z Nowej Huty, Gil — gdyż ostatnia wypowiedź rzecznika rządu zdaje się świadczyć, że pani rzecznik była przeszkolona chyba u ministra Urbana. Arogancji było już dosyć w PRL.

— Porozumienie centrum uderza w reformy rządu — ubolewa wicemarszałek Senatu Andrzej Wielowieyski.

— Żądam dowodów, pan mnie oskarża, chcę żeby cała Polska słyszała! — krzyknął boleśnie Wałęsa.

Gdy wicemarszałek zasłonił się sondażami opinii publicznej, Wałęsa rzucił — stłucz pan termometr, nie będziesz pan miał gorączki.

Legendarny przywódca podziemnej Warszawy Zbigniew Bujak przeszedł z Wałęsą na Pan. Nawiązując do słów Wałęsy o zdradzie Bujak wpadł w ton patetyczny: — „Za zdradę stanu staje się na szafocie. Pan na pewno wygra. Mam więc jedną prośbę. Chciałbym aby w swojej dobroci i umiłowaniu demokracji, pozwolił mi Pan później na prawo ostatniego słowa”.

Tak oto wszyscy wspólnie, twórcy wielkiego mitu „Solidarności”, drą go dzisiaj na strzępy. I mam ochotę krzyknąć, bijcie się po mordach, ale „Solidarność” zostawcie, niech zamieszka wśród najpiękniejszych polskich mitów i poi nas czystą wodą przez stulecia.

Wałęsa jako wielki czyszciciel. — „Trzeba czyścić sprawę”. Konieczność czyszczenia była powtarzana wielokrotnie w różnych wariantach przez przewodniczącego. Nic dziwnego, że i wezwania Premiera i parlamentu do Stoczni nazwał zabiegiem higienicznym. Doszło więc do wielu publicznych lewatyw, i do publicznych efektów tego zabiegu. Upubliczniono prywatne listy, wypomina się przeszłość dalszą i bliższą, a nawet wspólne zdjęcia. Mazowiecki dowiedział się, że się nie nadaje na Prezydenta, tego samego dowiedział się Wałęsa od wielu, a od Wałęsy Hall dowiedział się, że się nie nadaje na ministra itd... Jednym słowem wielkie burzenie babek w piaskownicy. Szkoda tylko, że ta piaskownica to Polska.

Wałęsa i stoczniovcy wysyłają ultimatum do rządu i parlamentu by przybyli na spotkanie do źródeł, a więc do Stoczni. Premier nie chciał. W międzyczasie był dramat, kto ma pierwszy do kogo zadzwonić. Propozycja spotkania niejako w pół drogi u biskupa wzruszyła mnie, bo przypomina czasy średniowieczne. — Do źródła, do źródła — upierał się Wałęsa, na którym Kościół czyni coraz mniejsze wrażenie. Książd Jankowski, jego spowiednik i doradca odsunął nagle swoje ucho od ust przewodniczącego. Cóż za dramatyczny rozwój! Listy Papieża do Mazowieckiego i Wałęsy, między wierszami konwencjonalnej treści miały prośbę pojednania. Rzecznik prasowy Wałęsy podaje się do dymisji. To się jednak w coś układa, najbliżsi ludzie nie mogą z nim wytrzymać. Jak łatwo zapominamy przeszłość, zbyt byliśmy wtedy zajęci wojną z komunizmem, by patrzeć na siebie. Przecież Wałęsa wykoscił w czasie pierwszego wcielenia „Solidarności” wszystkich swoich współtowarzyszy broni, najlepszych przyjaciół. Głowy spadały równie gęsto jak w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, tylko, że u nas gilotyny były symboliczne.

Ale kto wie, czy nie najgorsze w tym wszystkim, że On Ma Teraz Wiele Racji. Tylko ta forma, która zatruwa treść!

Nie potrafię w tym sporze stanąć wyraźnie po jednej stronie. Nie lubię Wałęsy, a jego dwór wydaje mi się z kiepskiej zrobiony materii. Ale i druga strona chociaż o tyle bliższa i tyłu tam znajomych, drażni mnie swoim zachowaniem. Drażni tym przede wszystkim, co muszę określić słowem, którego używam niechętnie, bo zabrudzili je komuniści, stosując je do swych celów — tym słowem jest — arogancja. Arogancja ludzi inteligentnych, wysoko wykształconych, pewnych swej przewagi nad durniem. Nie wiem czy bez tej arogancji nie byłoby tego sporu, ale wiem, że ona właśnie doprowadziła go do białości. Do tego ci intelektualisci przy władzy są amatorami w polityce. Nie odbiegają w tym od reszty społeczeństwa. Niemożność, całkowita niemożność organizowania pracy zespołowej. System, który miał sekularyzować kolektyw, z Polaków, którzy zawsze byli indywidualistami uczynił superindywidualistów. Ale to też indywidualizm kaleki, indywidualizm, który w języku ulicy wyraża się słowami: — „Pan nawet nie wiesz kim jestem. Możesz mi pan naskoczyć”. Nie jest to indywidualizm inicjatywy i samodzielnego działania.

W stoczni Wałęsa zwymyślał posłów i senatorów od gamoniów, którzy gadają bzdety. Słucham relacji z tego spotkania, jadąc autostradą ze skalistej wyspy, gdzie przeciąga się w słońcu ta część świata, której się udało. Rano dramat, czy pływać żaglówką czy motorową łodzią. Chociaż to wyspa jest, na niej

sklep lepiej zaopatrzone niż wszystkie razem wzięte sklepy post-socjalistycznego świata i telefony, z których można się w ciągu sekundy dodzwonić wszędzie, oprócz postsocjalistycznego świata. Prom nie zabrał wszystkich samochodów, nasz został, więc przyjedzie specjalnie. Jeszcze mnie to wzrusza, że to wszystko działa, że nie jest się nigdzie intruzem. A przecież to miejsce na ziemi jeszcze kilkadziesiąt lat temu cierpiało biedę, której nie można porównać do naszej dzisiejszej. Więc dlaczego nasza pogoń za światem wydaje się niemal daremna? Jest jakiś powód.

Zamykam oczy i ryzykując wypadnięcie z trasy na pobocze obcego świata, próbuję odkleić tę stocznnię, którą pamiętam z ruchomego święta sierpnia, od stoczni dzisiejszej, gdzie Wałęsa jak karykatura Piłsudskiego wymyśla postom, a oni obnażają miękkie brzuchy.

Każda próba załatwienia czegośkolwiek w Polsce przypomina grzebanie bardzo długim i niestety zbyt miękkim patyczkiem w smole. Ale najpierw niebywała i doprowadzająca do szewskiej pasji próba nawiązania kontaktu z krajem. Smoła zaczyna wypływać przez otwór słuchawki gdy próbuje się z Zachodu do-dzwonić do Polski. Poczucie, że godzinami żłobi się tarczą telefonu dziurę w ścianie nie wiadomo jak grubej. Gdy w końcu jest się po tamtej stronie, głosy stamtąd dochodzące ujawniają swoją beznadność. Tego nie ma, a wszystko trudne i prawie niemożliwe. Beznadność w smole.

Dodzwoniłem się do W., pytam co się dzieje. Odpowiada cierpko, jak to wszyscy ze wszystkimi biorą się za łby. Twierdzi, że z nikim się nie utożsamia. Patrzy jak na spektakl. — „Staram się trzymać od tego z daleka, jak od trybów wielkich maszyn, które mogą zaczepić zębem i wciągnąć”. — Tu głos w słuchawce zaczął zamierać, słowa nagle wydłużyły się i ujawniły swoje włókna by zniknąć zupełnie. Próba ponownego dodzwonienia się do W. utknęła na elektronicznym murze, więc nie wiem czy W. został zmielony przez tryby politycznej maszyny, która podpełza pod niego na odległy Ursynów, czy tylko przewody telefoniczne zwężyły swoje chore gardła.

Nagle łapię się na przeświadczeniu, że dzwoniąc do kogośkolwiek w Polsce mam poczucie, że dzwonię do chorego. Jeśli słyszę w słuchawce zdrowy głos, myślę sobie, podejrzane, czemu ten biedak udaje rześkość. Traci energię, która może się przydać w nieszczęściu. Na ogół głosy nie są zdrowe. Najpowszechniejszy głos kobiety-urzędnika, wściekłość, że się przeszkadza, głos kobiety, która zmieniła się w babę, cechą baby jest stwardniała płeć. Baba jest zjawiskiem szczególnie rozpowszechnionym w Europie wschodniej. Kobieta zamienia się w babę na skutek działania czasu, który przyprawiony jest kolejkami, obieraniem

kartofli i nieświadomym poczuciem krzywdy. W Azji i w Europie zachodniej są różne odmiany starości, ale rzadko można spotkać babę.

Powroty dziesiątków znajomych z Polski. Jedni przerażeni — przerażeni, inni przerażeni — zachwyceni. Strumienie relacji próbują zlać w jedną rzekę. Najbardziej niepokoi naszych emigrantów zwiedzających ojczyznę — ulica. Ulica jak stary zaginiony pies, który ma świerzb, zepsute zęby, i może nagle nie wiadomo kiedy ugryźć. Uderza ogromna ilość żebraków, którzy nagle wypęzli na scenę spoza kotary wolności. Prawie wszyscy twierdzą, że mają Aids. Dramaty moralne, dawać im czy nie dawać, bo w większości to narkomani, którzy zbierają na narkotyki.

Taksówkarze mają w repertuarze tylko dwa dowcipy.

— Tylko jeden minister w polskim rządzie nie jest Żydem. Który? Syryjczyk.

— W polskim rządzie jest tylko dwóch nieobrzezanych ministrów. Jacy to? Niezabitowska i Cywińska.

Taksówkarze, niegdyś obok pijaków sumienie naszego narodu, niewyparzone gęby gwałcące wszelkie paragrafy i przepisy w kwestiach szeptanej i gadanej propagandy, roznosiciele plotek, które dodawały nam otuchy i dowcipów, które wyciskały łzy śmiechu w najsmutniejszych czasach.

To zapewne przez tych taksówkarzy na Zachodzie znowu pojawiają się głosy, że w Polsce jest antysemityzm. Nasz rząd jest innego zdania. Mimo nadmiaru pracy i ogólnie złego stanu zdrowia, co spowodowało zainicjowanie przez grupę lekarzy i psychoterapeutów akcji pt. ratujmy rząd — otóż ten rząd zauważył, że takie krzywdzące nas opinie pojawiają się. Dlatego rząd przystąpił do walki. Wszystkie placówki dyplomatyczne otrzymały nakaz by z tym posądzeniem walczyć. Uświadamiać świat będziemy przy pomocy materiałów propagandowych — przepraszam — informacyjnych. Przewiduje się rozesłanie druków — zaznaczono, że posiadamy niewielką ilość i należy gospodarować oszczędnie. Podkreślono iż są nadzieje, że znajdą się w archiwach jakieś filmy. Już widzę jak stare urzędasy myszkuje za tymi filmami. Będziemy szumnie jak nigdy obchodzić rocznicę powstania w getcie. A w ogóle to jest nakaz, by każdego Żyda kochać i okazywać mu miłość. Były czyny partyjne, były pięciolatki, teraz będzie czyn miłości do Żydów. Cała wolnomyślna Polska zaśpiewa w chórze — Kochamy Żydów — zaśpiewa oczywiście wielce niezgodnie, jak to się zdarza na naszych stadionach ze śpiewaniem hymnu, każdy sektor z osobna ciągnie zwrotki w swoją stronę. A po tym spektaklu, jak zmęczeni aktorzy, zejdziemy ze sceny by zmywać makijaż i

burzyć pod nosem — no patrz pan do czego nas znowu te Żydki doprowadziły.

W prasie zalew materiałów odslaniających kulisy 45 lat PRL. Codziennie mam w zasięgu ręki książkowe zwierzenia Edwarda Gierka, i moja dłoń nie może do nich dojść. Czytałem fragmenty, poczucie niesmacznej nudy. Nie inaczej czyta się setki tajnych listów, dokumentów, donosów. Kiedyś dałbym sobie zabrać pół życia, by zajrzeć za kulisy PRLu. Co za naiwność. Kulisy zbrodni i głupoty są banalne i nudne. Teraz bada się zbrodnie czasu niedawnego. Np. kto jest winien, że zastrzelono górników w kopalni Wujek. Okazuje się, że nikt nie wydał rozkazu, by strzelać, nikt strzelać nie chciał. Winne są same karabiny. Zostanie nakręcony film o kopalni i ma stanąć pomnik. Zbierane są w tym celu pieniądze. Na dworcu w Katowicach ustawiono wielką skarbonkę gdzie mieszkańcy Śląska mogli wrzucać datki na pomnik. Ale skarbonkę ktoś ukradł.

Za to do 15 sierpnia mają być z terenu Warszawy wykoszone wszelkie pomniki Marchlewskiego i Świerczewskiego, tak postanowili radni stolicy.

Trybuna drukuje fragmenty wywiadu z Włodzimierzem Sokorskim. *Trybuna* wyzwolona z *Ludu* stała się frywolna i pozwala 82-letniemu satyrowi biegać po swoich łamach na golasa. Sokorski obnaża tam swe marne członki, tak polityczne jak i erotyczne. „— Powiem otwarcie: cieszę się, że dożyłem końca komunizmu”. — oświadcza wieloletni minister z najgorszych i z nieco lepszych czasów komunizmu. Sokorski potrafi jak nikt łączyć politykę z erotyką, a współczesność z przeszłością. Widzi nawet podobieństwa między Gomułką i Wałęsą.

Listy kilku młodych ludzi, bardziej lub mniej znajomych, łączy je jedno, są z Polski a to gwarantuje, że mają w sobie wszelkie odcienie rozpacz. I wszystkie są w jakiś sposób fascynujące i piękne, bo młoda rozpacz ma w sobie coś z górskiego strumienia, który wylewa się z brzegów.

Agata lat 23, pisze, że nie znosi teraz pisać listów, a kiedyś „uwielbiałam pisać listy, bo wydawało mi się, że coś zmieniam na lepsze”. Pisze oczywiście o planach wyjazdowych na Zachód w celach zarobkowych, to oczywiste, że każdy młody człowiek w Polsce, jeśli ma głowę na karku, musi takie wyprawy odbywać. Dalej pisze: „Tutaj jest okropnie — wczoraj doszłam po raz kolejny do tego wniosku w tramwaju nr 4 na trasie Wolska-Stalowa — ale mimo tej okropności możesz sobie bez przeszkód wesoło ponarzekać i wszyscy cię rozumieją — i ludzie i młodzież i stocznicy; możesz pójść na wiec Międzymiastówki

Anarchistycznej („Balcerowicz stop”), albo na wesołe spotkanie z Kuroniem w domu kultury”.

W innych listach powtarzają się zdania. „W Polsce zrobiło się duszno, duszno nie do zniesienia”. Albo „Budzę się rano i myślę po co?”

To wszystko piszą ludzie w wieku 20 plus kilka lat. Jeśli młodzież jest przyszłością narodu, to wchodzimy w tę przyszłość tak obładowani pesymizmem, że nie obędzie się bez tragizmy. Czy to będzie niemiecki osilek?

Moje pokolenie, czyli 40-latkowie, pokolenie „Solidarności” to już frustraty skwaszone jak powojenne ogórki. Mój wybitny przyjaciel, artysta, pisze — „Zaczęła się walka polityczna przy otwartej kurtynie. Wałęsa i Centrum atakują, chamstwo wyłazi niestety. (...) Najgorsze, że każdy po trochu ma rację, Mazowieckiemu przydał się kopniak, nareszcie poleciało kilku ministrów (za mało) i rozbity został dogmat jego „drużyny”. Byle mniej osobistych ambicyjek, a więcej konkretnych propozycji. (...) Dużo się pisze o kulturze, ale to i tak zdechnie. Ja już nie biorę udziału w żadnych prorządowych akcjach. To co przy byle przedsięwzięciu rzuca się w oczy w tym kraju, to totalna amatorszczyzna i brak odpowiedzialności. Niestety”.

Niestety, każde z tych słów jest moim słowem.

Czym byłaby Polska gdyby nie wojna i kopnięcie nas w sowiecki worek? Kiedy byłem dzieckiem uwielbiałem bawić się w co by było gdyby było? Tępiłi to dorośli zabójczym zdaniem: „Co by było gdyby baba miała wąsy”. Spotkałem potem wiele wąsatych bab. Polska była przed wojną krajem zamożniejszym niż Hiszpania i Grecja. Myślenie o tym jaka byłaby dzisiaj Polska bez komunizmu jest bolesne. Nie mam odpowiedniego miejsca, by urodzić taką wizję. Natomiast szokuje mnie jak bardzo nie potrafię sobie wyobrazić Polski jako kraju czystych toalet, dobrej architektury, pełnych sklepów, uśmiechniętych, pogodnych ludzi. Nie potrafię sobie tego tak bardzo wyobrazić, że podejrzewam, że jestem produktem tych 45 przeklętych lat.

Górnicy ze Śląska, szukają polskiego konsulatu. Stoją skupieni wokół swoich rąk. Chcą jechać do RPA. To wyprawa zbiorowa i zbiorowa rozpacz. Narzekają. Na „Solidarność”, komunistów, Kuronia, Wałęsę... Im bardziej boją się nowego świata tym bardziej będą narzekać na to co opuszczają. Nie daliby rady bez tego narzekania. Nie potrafię nie patrzeć na ich ręce. Robotnicy tutaj nie mają już takich rąk. Te ręce dosypywały przez dziesięciolecie węgla do gasnącego pieca naszej gospodarki. Nie mam im nic do powiedzenia. Zupełnie nic.

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 454 — PAWEŁ SMOLEŃSKI

POKOLENIE KRYZYSU

Obraz współczesnego pokolenia młodych Polaków

Str. 136.

Cena F. 75,00.

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo*. — *Rozpad*. — *Odrzut organizmu*. — *Komunizm handlowy*. — *Kompromitacja praktyki*. — *Agonia komunizmu oraz Postawia*.

Str. 276

Cena F. 145,00.

TOM 457

POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA W LATACH 1926-1939

Na podstawie tekstów min. Józefa Becka
opracowała Anna M. Cienciąła

Str. 448.

Cena F. 220,00.

TOM 459 — BERNARD NOWAK

CZTERY DNI ŁAZARZA

Opowiadanie o podziemiu wydawniczym

Str. 144.

Cena F. 75,00.

Archiwum polityczne

Cóż dalej, Panowie Polacy?

NIKŁE SKUTKI SPOTKANIA W JABŁONNIE

Na wiosnę po spotkaniu w Jabłonie parlamentarzystów z Kijowa i Warszawy wydawało się, że współpraca polsko-ukraińska wyjdzie nareszcie z kręgu papierowych artykułów i stanie się przedmiotem konkretnej polityki. Ale zaczyna się jesień, a w stosunkach pomiędzy naszymi krajami taka sama pustka, jak dawniej. Z szumnych zapowiedzi i szlachetnych pomysłów pozostały tylko wspomnienia. A ponieważ wszystkie — i wzniosłe i przyziemne — plany układano na gębę, gdyż nikt ich nie zaprotokołował, mogą wkrótce ulec zapomnieniu. Okazuje się, że mieli rację ci doradcy i obserwatorzy, którzy podpowiadali politykom, aby się nie rozchodzili zanim nie zostanie powołana jakaś Komisja Mieszana lub Tymczasowy Komitet Współpracy Politycznej, aby taka nieformalna instytucja czuwała w przyszłości nad sprawą realizacji przynajmniej podstawowych zadań, o których z dużą dozą zaangażowania mówili senatorowie i posłowie obojga narodów.

A były to rzeczy ważne, jak na przykład utworzenie ośrodków kultury i nauki, polskiego w Kijowie i ukraińskiego w Warszawie, wymiana przedstawicielstw dyplomatycznych i konsularnych z tym, że w wypadku Polski należałoby po prostu podnieść rangę już istniejących przedstawicielstw w stolicy Ukrainy i we Lwowie, a odnośnie Republiki Ukraińskiej chodziłoby o powołanie nowych instytucji. Z obydwu tych jakże ważnych zagadnień dotychczas w praktyce niczego nie przedsięwzięto. Nawet po uchwale parlamentu ukraińskiego o suwerenności państwowej Ukrainy z dnia 16 lipca nikt w Polsce nie podjął inicjatywy celem podjęcia konkretnych kroków w sprawie nawiązania oficjalnych stosunków dyplomatycznych. Skończyło się na przyjęciu mdłej rezolucji w Senacie warszawskim, a publicystyka polska

nie wykazała na ten temat wielkiego zainteresowania. W sejmie sprawa Ukrainy w ogóle nie wzbudziła nawet cienia zaciekawienia, a jeśli tak, to raczej w sensie negatywnym.

W Jabłonnie i na równoległych spotkaniach w ministerstwie kultury i edukacji narodowej była mowa i o innych zagadnieniach, np. o ochronie pamiątek kultury narodowej i powołaniu mieszanej komisji do rewizji podręczników historii. Wiadomo, że w obydwu dziedzinach jest wiele do zrobienia. W Polsce od lat istnieje tylko syndrom Cmentarza Orląt i zbiorów Ossolineum. Ale kiedy spojrzeć na zdewastowane ukraińskie cmentarze poczynając od Chełma aż do Łemkowszczyzny, często zniszczone i wyrabowane w barbarzyński sposób, to skala nierówności leży gdzieś około stosunku jeden do pięciuset na korzyść Ukraińców. Ale liczby te nic już dzisiaj nie znaczą, bo prawosławnego cmentarza w Chełmie Lubelskim nikt na świecie nie jest w stanie odrestaurować. Tam powyrzucano na śmietnik nawet kości zmarłych! Stare grobowce po grabieżach świecą pustką. Krzyże poprzewracane i połamane, nagrobki porozbijane, cały cmentarz zarosły chwastami. Zbezczeszczeniu nie uległ tylko jeden jedyny grobowiec, a to chyba dlatego, że znalazła się rodzina zmarłego — zresztą zasłużonego działacza na polu zbliżenia polsko-ukraińskiego za czasów Piłsudskiego i Petlury. Chełm dla Ukraińców to nie przedmiot rewindykacyjnych żądań, ale miejsce tkwiące mocno w ukraińskiej historii jako gród założony przez naszą dynastię halicko-wołyńską i jako miejsce urodzenia słynnego autora dziejów Ukrainy Hruszewskiego. Nawiasem mówiąc w dzisiejszym Chełmie nie ma nawet jakiejś skromnej tablicy upamiętniającej nazwisko tego wielkiego historyka.

Jadąc szlakami dawnego pogranicza przez Chełmszczyznę, Hrubieszowszczyznę, Przemyskie i dawną Łemkowszczyznę, przybysz z niezbyt klerykalnego świata zachodniego nie wierzy własnym oczom. Tu na pół zrujnowane cerkwie, tam zdewastowane cmentarze, dalej wymazane z pejzażu dawne wsie, cerkwie przemienione w dziki sposób na kościoły, z których powyrzucano ikonostasy, jakby księża rzymskokatolicy nie mogli w dawnym cerkiewnym wystroju odprawiać swych modłów. Każdy niemal kilometr na tamtych ziemiach zadaje kłam szumnym deklaracjom z Rzymu i Częstochowy o ekumenizmie i wspólnocie Kościołów chrześcijańskich. Przypomina się powiedzenie starego księdza grekokatolickiego jeszcze sprzed drugiej wojny światowej. „Polacy to wielcy katolicy, ale żadni chrześcijanie”.

Dziwię, się, że Ukraińcy nie napisali i nie wydali dotychczas „Czarnej Księgi” o losach wiary grekokatolickiej i prawosławnej na tych Dzikich Polach, których nowi władarze po akcji „Wis-

ła” nie zdołali po dziś dzień zagospodarować. Zamiast tego, muzeum-skansen w Sanoku oszukuje rzesze zwiedzających Polaków i cudzoziemców wprost nieprawdopodobnymi fałszerstwami historii i etnografii, a w mauzoleum im. Świerczewskiego w pobliskich Jabłonkach — wybudowanym w okresie stanu wojennego za ogromne pieniądze, podobno na osobiste zlecenie Jaruzelskiego — leje się codziennie na liczne wycieczki krajowe i zagraniczne strumień propagandy antyukraińskiej w duchu narodowego faszyzmu. Przysłuchując się tej propagandzie nienawiści trudno pojąć, że tego ogniska kłamstw i oszczerstw nie zamknięto lub nie zamieniono na schronisko turystyczne. A przecież i o tym była mowa w Jabłonnie.

Nie ruszyła ani na włos kwestia rewizji podręczników szkolnych. A bez tego nie podobna zaczynać innych równie ważnych zadań w dziedzinie kultury, sztuki i wychowania.

Zdaję sobie sprawę, że tych wszystkich upiorów przeszłości nie można załatwić bez rozwiązania kluczowej sprawy: wydania werdyktu o zbrodniczym charakterze akcji „Wisła”, dokonanej na polecenie Osóbki-Morawskiego, Gomułki i Radkiewicza przez generałów: komunistę Korczyńskiego i nacjonalistę Mossora. I znowu wracam do spotkania w Jabłonnie, gdzie przewodniczący komisji spraw narodowościowych w Sejmie, poseł Wuttke, odczytał projekt uchwały parlamentu, która miała być przyjęta w najbliższych dniach. Ukraińcy czekają na ten akt podstawowej sprawiedliwości dziejowej po dziś dzień, na próżno. Otrzymali dotychczas jako namiastkę rezolucję Senatu, bez porównania łagodniejszą i niemalże neutralną w treści w porównaniu z odłożonym pod sukno projektem sejmowym.

Zamiast poparcia dla inicjatywy Senatu mniejszość ukraińska w Polsce uraczono powtórką znaną z poprzednich okresów o rzekomym udziale Ukraińców w tłumieniu Powstania Warszawskiego. Nie poskutkowały wyjaśnienia Borysa Lewickiego w *Kulturze* w latach sześćdziesiątych i jeszcze przedtem historyka prawicowych poglądów, Zygmunta Wojciechowskiego w warszawskich *Dziejach Najnowszych* i na kilku polsko-ukraińskich konferencjach naukowych na Zachodzie. Na dobitkę tę recydywę nacjonalistycznych przekręceń zaserwowała swym czytelnikom akurat *Gazeta Wyborcza*, udzielając głosu nowemu geniuszowi historiografii polskiej, niejakiemu Maciejowi Kledzikowi.

Wszystko to dzieje się na tle dziwnego nieporozumienia. Od czasu powstania „Solidarności” ukraińska mniejszość narodowa jest w porównaniu z wszystkimi innymi mniejszościami najbardziej pozytywnie nastawiona w stosunku do odrodzenia niepodległej Polski. Ta niespotykana dotychczas w dziejach Rzeczypospolitej lojalność nie znalazła choćby najmniejszej rekompensaty polityczno-prawnej. Nawet w nowym układzie między

państwem a Kościołem nie nadano równouprawnienia ukraińskiemu kościołowi greckokatolickiemu. Ukraińcy czekali cierpliwie od czasu zeszłorocznych wyborów, w końcu cierpliwość się wyczerpała. Wyrazem tego jest apel Zjednoczenia Ukraińskiego, skupiającego obywateli polskich narodowości ukraińskiej, do rządu Rzeczypospolitej w sprawie wyświeślenia zbrodni, dokonanych na Ukraińcach, przetrzymywanych w obozie koncentracyjnym w Jaworznie koło Krakowa w latach 1947-1949 i pociągnięcia do odpowiedzialności karnej winnych tych zbrodni, które jako przestępstwa przeciwko ludzkości nie podlegają przedawnieniu.

Apel ten stanowi nowy akcent, który jest wyrazem ocknięcia się mniejszości ukraińskiej z dotychczasowego odrętwienia, a jednocześnie chyba przejawem znicięciwości ogółu Ukraińców w Polsce z powodu opieślności czy jakiejś dziwnej obojętności kielkującej demokracji polskiej, jeśli idzie o losy mniejszości narodowych, które od końca drugiej wojny światowej były pozbawione wszelkiej osobowości prawnej. Miejmy nadzieję, że apel społeczności ukraińskiej nie zostanie zignorowany. Warszawa, ta oficjalna i ta opiniotwórcza, winna pamiętać, że prawa i przyślność mniejszości ukraińskiej w Polsce i polskiej na Ukrainie to dwie odnogi tej samej rzeki.

Tymczasem rozszwarzone w swych prowincjonalnych sporach obozy, koterie, grupy i osoby nad Wisłą straciły zdaje się zupełnie odwagę i fantazję do wytyczania własnej koncepcji polityki wschodniej. Zahipnotyzowana strachem przed zjednoczonymi Niemcami Warszawa skoncentrowała się na „obronie” swych interesów na zachodniej granicy, jak gdyby były one w jakiegokolwiek fazie poważnie zagrożone. Ulegając wczorajszym mitom endecko-komunistycznego chowu poszło się na wschodzie starymi wydeptanymi ścieżkami. Tuż za miedzą, na Litwie, Ukrainie, nawet na Białorusi, rozgrywają się dramatyczne przemiany na historyczną skalę, zmuszające Gorbaczowa do radykalnej zmiany polityki narodowościowej, a Rzeczpospolita aż przykucnęła z obawy, aby broń Boże Moskwa nie straciła do niej zaufania. Świat się zmienia z dnia na dzień, a polscy juryści orientują się nadal według drogowskazów, stanowiących dziwną mieszaninę zasad złożoną z przestróg Dmowskiego, Stommy i Kisielewskiego.

Sternicy współczesnej polityki zagranicznej Warszawy śnią o konstelacji podwójnego ubezpieczenia, rosyjsko-francuskiego. Ale ta inna Rosja, Rosja Borysa Jelcyna i sił demokratycznych, poszła dalej niż to sobie wyobrażali polscy neo-demokraci.

Taki a nie inny obrót sprawy doprowadził już dzisiaj do stanu rosnącego rozczarowania wobec współczesnej Polski w Wilnie, Mińsku i Kijowie. Stosunki ukraińsko-polskie na skutek

tych zawiedzionych nadziei Kijowa przypominają tragizm stonków polsko-czechosłowackich. Tak jak Ukraina zaczęła się umizgiwać bez skutku do Polski, tak Warszawa zalecała się przez dłuższy czas do Pragi i dostała kosza. Zresztą nie tylko Czesi, którzy z wielu względów — na podstawie wspomnień o Zaolziu, udziału Polaków w inwazji w roku 1968 i po nietaktach Wałęsy wobec prezydenta Havla — odrzucili oferty znad Wisły, ale nawet mitologiczny „bratanek” węgierski zareagował oziębło na oświadczenia polskie. W międzyczasie wymarzeni partnerzy z południa zdecydowali się na zupełnie odmienną formację wraz z Austrią, Włochami i Jugosławią. W międzyczasie zaś na wschód od Polski kielkuje idea współpracy bałtycko-czarnomorskiej, taki pas od republik przybałtyckich, z Białorusią, Ukrainą i Mołdawią — współpracujący gospodarczo z Rosją — to nie najgorszy pomysł.

Rozumiem, że Polacy są obecnie po uszy zajęci wewnętrznymi walkami i polityka zagraniczna mało ich obchodzi. Ale ten polonocentryzm i bierność lub wręcz niechęć wobec sąsiadów na Wschodzie może pewnego dnia Rzeczpospolitą jednego narodu drogo kosztować. Nadarżające się raz w stuleciu szanse nowych sojuszków można wygrywać lub przegrywać. Ukraińskiemu obserwatorowi współczesnej polityki polskiej zaczyna się coraz bardziej wydawać, że Polska jest na jak najlepszej drodze do nowej przegranej.

Bohdan OSADCZUK

Chińska mozaika etniczna

Procesy rozkładu systemu komunistycznego w Europie Centralnej i Wschodniej dokonały się, jak się zdaje, pod działaniem dwu sił społecznych. Jedną było rosnące niezadowolienie z sytuacji gospodarczej, drugą zaś narastające dążenia do odzyskania podmiotowości przez społeczeństwa, co włączyło oczywiście tak aspiracje demokratyczne jak odbudowę tożsamości narodowej. W krajach, w których nomenklatura zdominowana przez jedną nację rządziła innymi nacjaми, wiązało się to, rzecz jasna, z burzliwym rozwojem nacjonalizmów, szczególnie dramatycznym tam, gdzie w grę wchodziły również czynniki różnic religijnych. Te same prawidłowości występują także w Chinach. Znajomość ich problemów etnicznych jest zatem niezbędna dla

zrozumienia dynamiki dokonujących się tam przemian i prognozowania przyszłości. Casus chiński jest interesujący jeszcze i z tego względu, że prowokuje on do stawiania wielu pytań fundamentalnych dotyczących procesów narodotwórczych.

Należy do razu zastrzec, że sytuacja w Chinach różni się znacznie od tej w imperium sowieckim. Imperium Rosyjskie zaczęło się formować zaledwie trzy wieki temu, liczne terytoria weszły w jego skład dopiero w końcu wieku XVIII, lub w wieku XIX. Toteż ich odłączenie po rewolucji 1917 roku było niejako naturalne, a ich ponowna inkorporacja w latach dwudziestych i podczas II wojny światowej nie mogła wymazać aspiracji narodowych. Imperium chińskie natomiast ma ponad dwa tysiące lat i tylko jego najnowsze nabytki zostały inkorporowane w wieku XVIII. Mamy tam zatem do czynienia z o wiele starszą wspólnotą ludów i kultur. Imperium chińskie miało zarazem szczególną naturę: jego instytucje i ideologia opierały się na założeniu, iż jest to „państwo uniwersalne”, którego cesarz jest zwierzchnikiem politycznym, moralnym i religijnym rodzaju ludzkiego. Poza terytoriami więc administrowanymi bezpośrednio przez administrację cesarską, w jego skład wchodziły „terytoria wasalne”, których autonomia mogła być czysto nominalna, albo realna, były też takie, których zależność była nader iluzoryczna. A więc, na przykład, księstwa Mongolii Wewnętrznej były faktycznie kontrolowane przez Chiny, podczas gdy Księstwa Mongolii Zewnętrznej w stopniu dużo mniejszym, a północne regiony Buriacji i innych ziem były faktycznie niezależne. Podobnie uznawały *de jure* zwierzchność chińską Tajlandia, Birma, czy sułtany malajskie, będące w rzeczywistości państwami niezależnymi. Dopiero kontakt z Europejczykami naruszył ten pradawny wzorzec stosunków suwerena z wasalami *ex definitione*. Był to zarazem system dynamiczny; księstwa i królestwa leżące w pobliżu ulegały sinizacji, zacieśniały związki i następnie mogły być nawet inkorporowane. Trudniejsza była droga uniezależnienia: tylko Wietnam, Korea i Mongolia, będące poprzednio częścią imperium, zdołały się wybić na niepodległość.

Druga różnica fundamentalna wiąże się z typem podboju. Imperium Rosyjskie opierało swój rozrost na sile oręża i liczne z podbitych ludów reprezentowały wyższy poziom rozwoju cywilizacyjnego niż Rosja, brakło tam zatem nader często czynnika wyższości kulturalnej po stronie zdobywcy. Dotyczy to nie tylko republik bałtyckich, ale także regionu kaukaskiego, podczas gdy Azja Środkowa znajdowała się zapewne w okresie podboju na poziomie zbliżonym do Rosji, choć należała ona do zupełnie odmiennej cywilizacji islamu. Chiny natomiast górowały cywilizacyjnie nad ludami podbijanymi, były dla nich „centrum cywilizacji światowej”, jak starożytny Rzym dla Europy (choć tu

mieliśmy także Grecję i cywilizację Bliskiego Wschodu). Cywilizację chińską przyjmowano więc jako wyższą, nawet jeśli walczone w obronie niepodległości. Podboje militarne odgrywały wszakże rolę drugorzędą w rozszerzaniu terytorialnym Chin: główną rolę odgrywała powolna integracja kulturalna i gospodarcza, sinizacja elit rządzących, które akceptowały kulturę chińską i przynależne do niej wzorce instytucjonalne. Chiński zaś był „łaciną” Azji Wschodniej, Centralnej i Południowo-Wschodniej.

Następną istotną różnicą była specyficzna dwupoziomowość kultury chińskiej. Była tam kultura klasyczna, którą człowiek wykształcony musiał znać, szacowne księgi i fundamentalne wzorce organizacji polityczno-społecznej, powszechnie akceptowane. Na poziomie zaś niższym były kultury lokalne, dopełniające ją, choć różnorodne. Sinizacja nie likwidowała więc tożsamości etnicznej. Przynależność etniczna i język używany w życiu codziennym były sprawą prywatną, która nie miała większego znaczenia w życiu publicznym, na tyle, że jej nawet często nie zapisywano, i dziś nawet trudno jest ustalić, jakie było rzeczywiste pochodzenie wielu wybitnych poetów, pisarzy czy działaczy politycznych.

Imperium było nie tylko wieloetniczne, ale bywało i rządzone nawet przez nie-chińskie nacje. Co więcej, samo pojęcie, kto jest Chińczykiem, było nieostre. W skali elit pojawiło się właściwie dopiero w średniowieczu, a wśród ludu to kwestia wieku XX. Było się poddanym Cesarza, jak w Europie obywatelem rzymskim: nacja, język i religia nie znaczyły wiele. Warto też pamiętać, że sama kultura chińska była z natury swej ponadetniczna, trochę tak jak kultura szlachecka dawnej Rzeczypospolitej. Pismo chińskie, jako ideograficzne, było właśnie dostosowane do komunikacji międzyetnicznej. Tak jak my w Europie piszemy „1”, a czytamy jeden, *one, ein, adin*, tak Chińczycy pisali wszystkie słowa: każdy rozumiał je tak samo, choć wymawiać je mógł w dziesiątkach języków i tak zwanych dialektów. Obecna kultura chińska uformowała się w wyniku integracji najróżniejszych tradycji kulturowych, każdy więc z ludów odnajduje w niej coś sobie pokrewnego.

Dlatego nie tylko sami Chińczycy dzielą się na wiele grup etnicznych, mówiących często językami tak różnymi, jak włoski i polski, ale są też tam rozliczne grupy, które mogą być traktowane jako pośrednie między chińskimi i nie-chińskimi. Jednym z przykładów najjaskrawszych są Kejja, lub według ich wymowy: Hakka. Jest ich na kontynencie około 40 milionów, do nich należy duża część elity w Hong Kongu i na Tajwanie. Są znani ze swych talentów kupieckich i wojskowych, z nich także wywodzi się wiele rodów bankierskich. Jeszcze w okresie międzywojennym niektóre z encyklopedii chińskich wymieniały ich wśród „mniejszości narodowych”, choć teraz wątpliwości co do

ich pochodzenia chińskiego się nie zgłasza, także ze względów politycznych. Oni sami odrzucają z oburzeniem takie posądzenia o „barbarzyńskość”. Zapewne podczas ich emigracji z Chin północnych na Południe mieszały się z jakimiś ludami autochtonicznymi, przyjmując wiele z ich języka i obyczajów. Znany był casus z lat sześćdziesiątych, kiedy to jedna z grup etnicznych prowincji Yunnan zażądała statusu „mniejszości etnicznej”, odmówiono go jej na podstawie studiów historycznych, z których wynikało, że są to potomkowie wojsk chińskich wysłanych w średniowieczu do tej prowincji, choć w ich opinii z Chińczykami niewiele mają wspólnego.

Podczas więc gdy w Rosji mamy do czynienia z dość wyraźnym wyodrębnionym narodem rosyjskim, w Chinach mamy do czynienia z pluralistycznym etnosem chińskim, podzielonym wewnątrz i o silnym poczuciu swej tożsamości etnicznej grup lokalnych, w istocie zsinizowanych narodów antycznych, które w Pekinie na przykład mają swe odrębne cmentarze, przez wieki zawierały związki małżeńskie tylko wewnątrz swej grupy etnicznej, kultywują jej tradycje i związki ze swą ziemią ojczystą, gdziekolwiek by nie mieszkali. Właśnie intensywność i długotrwałość procesów integracji kulturowej wraz z pozostawieniem prawa do „kultury etnicznej”, przesądziły zapewne o ukształtowaniu narodu chińskiego jako najliczniejszego na kuli ziemskiej, liczniejszego dziesięć razy od innych wielkich narodów, co świadczy o jakościowo innej skali procesów integracyjnych.

Ten szeroko rozumiany etnos chiński obejmuje wprawdzie 93% ludności Chin, ale jego terytorium etniczne zaledwie 40% ich terytorium. Ogromne zatem terytoria, na ogół przygraniczne, są uznawane za ziemie mniejszości etnicznych z nominalną autonomią. Nawet jednak w tym morzu chińskim są liczne „terytoria wyspowe”, na ogół górskie, gdzie przetrwała ludność autochtoniczna, w różnym stopniu zsinizowana. Są także znaczne terytoria o ludności mieszanej, gdzie na ogół ludność chińska koncentruje się w miastach, podczas gdy wieś zamieszkiwane są przez autochtonów.

Owe grupy etniczne nie-chińskie można podzielić na pięć głównych typów. 1) Mniejszości etniczne, które mają swe centra kulturalno-państwowe za granicą (Mongolowie, Koreańczycy, Kazachowie, Kirgizi, nieliczni Wietnamczycy, itp.). 2) Ludy mające swe główne centra polityczno-kulturowe na terenie państwa chińskiego, ale mające swą odrębną „kulturę kanoniczną”, własną religię i literaturę (Tybetańczycy wyznający lamaizm i Ujgurowie wyznający islam). 3) „Narodowości niedorozwinięte”, które mają wprawdzie swe własne tradycje państwowe i literaturę w języku rodzimym, ale są w różnym stopniu zsinizowane (Mandżurowie, Naxi, Yi, Thai). 4) „Ludy chłopskie”, które ma-

ją swe języki mówione, wierzenia i kultury odmienne od chińskich, ale których elity przyswajały sobie pismo i kulturę chińską; niekoniecznie muszą to być ludy rolnicze, niektóre uprawiają hodowlę, rybołówstwo i łowiectwo. Można by je określić jako „ludy żyjące w symbiozie”. One to właśnie stanowią grupę najliczniejszą (około 60). 5) „Ludy marginalne”, których główne centra osadnicze są poza Chinami, ale które i tam także nie tworzyły własnych państw ani literatury (np. różne ludy syberyjskie). Są oczywiście liczne grupy pośrednie, których nie da się jednoznacznie przyporządkować do żadnej z powyższych grup, jak na przykład muzułmanie Hui (circa 8 milionów), zamieszkujący głównie w wielkich miastach Chin właściwych i mówiący po chińsku, w dialekcie ich regionu. Mongołów równie dobrze można by zaliczyć do kategorii pierwszej jak i drugiej, gdyż mają wprawdzie swe państwo, ale więcej ich mieszka w Chinach niż w Mongolskiej Republice Ludowej, i oddziela ich właśnie od Chińczyków religia lamaistyczna.

Już z tego przeglądu widać, że oficjalnie przyjęty podział na „Chińczyków” i „mniejszości etniczne”, zapożyczony z Europy, jest nieadekwatny do złożonej rzeczywistości chińskiej. Główna linia podziału zdaje się przebiegać między ludami, które mają odrębną kulturę kanoniczną a tymi, których elity zaakceptowały chińską. Dodać tu jeszcze trzeba, że nawet dla ich prostego ludu kultura chińska jest atrakcyjna, gdyż znajduje on w niej wiele elementów zbliżonych do kultury własnej. Wśród tych pierwszych rozdziły się łatwo ruchy nacjonalistyczne, i postulaty pełnego oddzielenia od Chin, podczas gdy te drugie żądały co najwyżej autonomii i poszanowania ich odrębności. Podczas gdy te pierwsze stwarzają problemy dla władz centralnych i powodują komplikacje w polityce międzynarodowej, te drugie przysparzają kłopotów głównie władzom prowincjonalnym.

Sytuacja każdego z narodów mających własną religię i tradycję państwową jest nieco odmienna. Tybetańczycy (circa 4 miliony) żyją nie tylko w Tybetańskim Okręgu Autonomicznym, ale i w prowincjach sąsiednich. Mają obecnie swe emigracyjne centrum religijno-polityczne w Indiach, z Dalaj Lamą jako niekwestionowanym przywódcą duchowym narodu. U końca lat pięćdziesiątych przeżyli swe wielkie powstanie stłumione krwawo, a od 1988 r. zaczęły się tam znowu pogromy Chińczyków i wystąpienia masowe. Ośrodkami ruchu oporu są obecnie klasztory, a otwarta rebelia jest powstrzymywana głównie obecnością silnych garnizonów wojskowych. Dalaj Lama żąda tylko rzeczywistej autonomii, zradykalizowana młodzież w Tybecie żąda jednak pełnej niezawisłości dla swego kraju. „Sprawa Tybetu” rzutuje na stosunki z Indiami, z którymi nierozwiązany pozostaje konflikt graniczny. Utrata władzy przez

Kongres, i oczywista niestabilność polityczna w Indiach, mogą mieć reperkusje w dalszym rozwoju sytuacji w Tybecie.

Drugim centrum niepokoju jest Xinjiang, czyli Chiński Turkiestan, zamieszkiwany głównie przez Ujgurów, należących do rodziny tureckiej. Mieli oni swe wielkie powstania w XIX wieku. W 1945 r., przy poparciu sowieckim utworzyli Republikę Turkiestańską (z której Stalin ostatecznie zrezygnował pod naciskiem Mao w 1950 r.). Od lat siedemdziesiątych wzmagają się tam znowu ruch narodowy, żądający pełnej niepodległości, mający swe oparcie w meczetach. Prowincja jest zarządzana przez Chińczyków, którzy pełnią wszystkie funkcje kierownicze, aż do szczebla najniższego. Ujgurzy pełniący jakieś funkcje kierownicze, niskiego szczebla, albo tylko dekoracyjne, należą do wyjątków i traktowani są podejrzliwie przez obie strony konfliktu. Podobnie jak w wypadku Tybetańczyków najfanatyczniejsi przywódcy ruchu niepodległościowego wywodzą się z absolwentów uniwersytetów chińskich. Polityka popierania małżeństw mieszanych, ożenków żołnierzy chińskich z miejscowych garnizonów z Ujgurkami okazała się fałszywa, gdyż synowie z nich zrodzeni, w większości identyfikują się z kulturą muzułmańską i biorą najczynniejszy udział w ruchu narodowym. Rewolucja irańska i wojna w Afganistanie zradycalizowały nastroje i dostarczyły broni. Region jest ważny dla Chińczyków, gdyż tu znajdują się ich centra atomistyczne i poligony raketowe, zasoby uranu i innych metali rzadkich, a także ropa naftowa. Tu także mieści się ich Archipelag Gułag. Wydarzenia w sąsiedniej Azji sowieckiej wzmagają jednak napięcie, które łatwo przerodzić się może w otwarty bunt. Rozwijają się kontakty ze światem persko-arabskim, dokąd wyemigrowało wielu Ujgurów w latach czterdziestych. Zapoczątkowane niedawno pielgrzymki Ujgurów do Mekki będą uzmacniać te związki i wzmacniać niezadowolenie z własnej biedy. Dodatkowym czynnikiem utrudniającym dla władz centralnych jest obecność muzułmańskich Hui w miastach północnych Chin. „Prześladowanie muzułmanów” łatwo może więc wywołać zamieszki i poza regionem Xinjiangu, jak też protesty krajów arabskich, z którymi Chiny starają się utrzymywać dobre stosunki.

Sytuacja w Mongolii Wewnętrznej jest odmienna. Ostatni ruch narodowy rozwijał się w okresie drugiej wojny światowej, kiedy to Japończycy lansowali koncepcję odrodzenia Wielkiej Mongolii. Kolonizacja chińska była tu masowa, i obecnie Chińczyków mieszka tu więcej niż Mongołów (których jest 4 miliony), Chińczykom udało się także bardzo osłabić religię lamaistyczną. Jednakże demokratyczne reformy w sąsiedniej Mongolii i tu wzmagają napięcie.

Czwartym regionem, gdzie może uformować się jakiś ruch

nacjonalistyczny są prowincje dalekiego Południa Guizhou i Guangxi, zamieszkiwane głównie przez dziesiątki ludów niechińskich, z których najliczniejszymi są Zhuang (circa 14 milionów), będący w istocie zespołem różnych etnicznych grup tajskich. Władze ze względów politycznych, by mieć jako najliczniejszą „mniejszość” lud nie wysuwający roszczeń niepodległościowych, potraktowały je jako jedną narodowość, co w rzeczywistości zaczęło je integrować. Mają one swe tradycje państwowe, choć tereny górskie nie sprzyjały tworzeniu wielkich organizmów, i były to raczej księstwa, które rzadko tylko jednoczyły się. Wraz ze stabilizacją położenia w Azji Południowo-Wschodniej, i z rozwojem tamtejszych państw ludów tajskich (Thajlandia, Laos, związkowe państwo Szan w Unii Birmańskiej) i tu mogą się pojawić dążenia niepodległościowe. Trzeba pamiętać, że granica nigdy tu nie była szczelna, handel przemytniczy ma długie tradycje, istnieją tu warunki i tradycja uprawy opium, będą się więc umacniać powiązania z pobratymcami z południa.

Problemy mniejszości etnicznych są powiązane wielorako z rozbudzeniem narodowym samych Chińczyków. Po upadku reżimu Mao, w okresie reform Deng Xiaopinga, nastąpiło tam wielkie ożywienie tendencji patriotycznych a nawet wręcz ruchów nacjonalistycznych, przy tym nie tylko ogólnochińskich ale także regionalnych. Trzeba zaś pamiętać, że Chiny wielokrotnie rozpadały się, istnieją tam zatem tradycje państwowości lokalnych, a nawet w okresach zjednoczenia poszczególne prowincje i regiony zachowywały *de facto* znaczną autonomię. Owe ruchy autonomistyczne najżywsze są w Chinach południowych, zamieszkiwanych właśnie przez najsilniej wyodrębnione chińskie grupy etniczne, których języki mówione są na tyle różne, że wykluczają wzajemne zrozumienie (podczas gdy dialekty północne różnią się tak jak język polski, słowacki czy ukraiński).

Z jednej strony mamy zatem ruchy nacjonalistyczne chińskie o orientacji konserwatywnej lub pro-zachodniej (te ostatnie postulują radykalną demokratyzację Chin i przewartościowanie ich tradycyjnej kultury), z drugiej zaś ruchy regionalne, odwołujące się do lokalnych tradycji państwowych i etnicznych. Uznaje się zatem w Chinach, że istnieje realne niebezpieczeństwo rozpadu państwa. W tym kontekście władze centralne obawiają się dania autonomii ludom niechińskim, gdyż to mogłoby spowodować reakcję łańcuchową podobnych żądań ze strony południowych prowincji. Doświadczenia z Tybetem, któremu w okresie reform zaczęto udzielać znacznej pomocy gospodarczej i zezwalać na rozwój rodzimej kultury oraz awans polityczny autochtonów, są także negatywne, gdyż zamiast zadowolić się swobodami osiągniętymi natychmiast zaczęto żądać dalszych. Tak autonomia jak i jej brak, tak pomoc w rozwoju gospodarczym

jak i utrzymywanie biedy, rokuje tylko dalszy rozwój nacjonalizmów. Rozwój nacjonalizmu chińskiego z kolei wzmaga nacjonalizmy ludów nie-chińskich i *vice-versa*, a zarazem nie sprzyja rozwiązywaniu problemów etnicznych, gdyż nawet „nacionaliści demokratyczni” nie chcą nawet słyszeć o jakimkolwiek respektowaniu żądań ludów nie-chińskich. Rząd centralny znajduje się zatem w sytuacji nie do pozazdroszczenia: jakkolwiek politykę by wybrał, każda jest zła i rokuje tylko dalsze komplikacje.

Dodatkowym czynnikiem, który spędza sen z oczu przywódców chińskich, jest zbliżające się zjednoczenie Hong Kongu (1997 r.). Na mocy układów z Wielką Brytanią ma on posiadać status autonomiczny i zachować system kapitalistyczny. Gdy znajdzie się on w ChRL trzeba go będzie w znacznym stopniu izolować, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się stamtąd dążeń demokratycznych i idei zachodnich: *ergo* musi to być autonomiczna i izolowana enklawa. Jej obecność zmieni jednak obecny centralistyczny system, stworzy precedens rzeczywistej autonomii. Łatwo więc mogą się nasilić i inne tendencje autonomistyczne, już dzisiaj silne w sąsiedniej prowincji Guangdong, i w trochę bardziej na północ leżących prowincjach Fujian i Zhejinag, a także parcie do podobnej autonomii w Tybecie i Xinjiangu. Tak więc lata dziewięćdziesiąte będą okresem wzrastających napięć również w Chinach, a żądania demokratyzacji będą się splecać z rewindykacjami typu etnicznego.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

Mniejszości etniczne Chin liczące ponad milion według spisu powszechnego 1982 r.)

Zhuang	13,378,000	Tujia	2,833,000
Hui	7,219,000	Buyi	2,120,000
Ujgurowie	5,957,000	Koreańczycy	1,764,000
Yi	5,453,000	Tong	1,425,000
Miao	5,031,000	Yao	1,403,000
Mandżurowie	4,299,000	Bai	1,131,000
Tybetańczycy	3,870,000	Hani	1,059,000
Mongołowie	3,412,000		

Główne chińskie grupy dialektalno-etniczne

Dialekty północne, tak zwane mandaryńskie (70% ludności):

- grupa północna (środkowa oraz dolna część basenu Rzeki Żółtej i Mandżuria);
- grupa północno-zachodnia (górną część basenu Rzeki Żółtej);
- grupa południowo-zachodnia, różniąca się znacznie (prowincje Yunnan, Sichuan, Guizhou);
- grupa centralno-wschodnia, także wyraźnie odmienna (tereny na południe od basenu Rzeki Żółtej do Rzeki Yangzi w jej dolnym biegu).

Dialekty południowe (południowe wybrzeże, południowa część basenu Rzeki Yangzi i basen Rzeki Perłowej):

- grupy dialektów Wu, Xiang, Gan, Hakka, Yue i Min (wewnętrznie bardzo zróżnicowane i nawzajem niezrozumiałe).

Konflikt konstytucyjny a przyszłość Quebecu

Vive le Quebec libre zawołał w 1967 r. w Montrealu generał de Gaulle. Jego nieoczekiwane wystąpienie spowodowało wówczas krystalizację nastrojów separatystycznych, nieco później doszło do kilku epizodów terrorystycznych i do ucieczki kapitałów z Quebecu do Ontario, po czym nastąpiło pewne uspokojenie: w 1980 r. ludność Quebecu odrzuciła w drodze referendum rozwiązanie zwane *souveraineté-association* w ramach konfederacji kanadyjskiej.

Wydarzenia z ostatnich miesięcy prowadzą jednak do wniosku, że rozpoczął się nowy rozdział w przeciągłym kryzysie państwowym Kanady. Dla jednych (przede wszystkim frankofonów) wzrosły nieco szanse sprawdzenia się wizji de Gaulle'a. Dla innych (przede wszystkim Anglosasów) przyszedł czas na obronę angielskich tradycji wolnościowych przed zakusami francuskiego elitaryzmu biurokratycznego. W kraju panuje wprawdzie całkowity spokój i życie płynie normalnie, rośnie jednak niepokój co do przyszłości konfederacji i podniósł się ton wypowiedzi publicystów i polityków.

Charakterystycznie dramatyczny przebieg miał w Ottawie pierwszy tydzień czerwca. Premier Kanady, Brian Mulroney, zaprosił na naradę premierów dziesięciu prowincji, by nakłonić

ich do ostatecznej ratyfikacji układu zawartego w Meech Lake w 1987 r., mającego położyć kres kryzysowi konstytucyjnemu. W prasie pojawiły się nagłówki w rodzaju „Ostatnia wieczerza”, „Ruletka konstytucyjna” czy „Wojna siedmiodniowa”. Trzykrotnie w ciągu tego tygodnia uczestnicy byli na progu porozumienia, dwa razy obrady prawie załamały się. W pewnym momencie premier Saskatchewan rozplakał się, premier Wyspy Księcia Edwarda obsypał premiera Nowej Ziemi niewybrednymi wyzwiskami a gdy premierzy Manitoby i Nowej Ziemi chcieli opuścić salę na znak protestu, potężnej budowy premier Alberta zatarasował im drogę i zmusił do niepysznego odwrotu.

Konferencja w Ottawie zakończyła się kompromisem i parogodzinym wspólnym wystąpieniem w telewizji wszystkich premierów, brzmiałym jak posiedzenie towarzystwa wzajemnej adoracji. Nic to nie pomogło. Parlamente Nowej Ziemi i Manitoby nie ratyfikowały poprawionego układu z Meech Lake w przewidzianym terminie, czyli do 23 czerwca, i cały kompromis upadł. Aby odpowiedzieć na pytanie: co teraz? — trzeba cofnąć się do źródeł obecnego przesilenia i spojrzeć na osobliwą sytuację konstytucyjną Kanady.

Podstawowym dokumentem konstytucji jest ustawa brytyjska z 1867 r. zwana *British North America Act*, ustanawiająca naczelne organy legislacyjne, wykonawcze i sędziowskie ówczesnego dominium. Pierwsze zasadnicze zmiany zostały wprowadzone do tej ustawy dopiero 8 lat temu. Były one dwojakie: 1) nastąpiła „repatriacja” konstytucji z Londynu, co oznacza, że odtąd zmian konstytucji dokonywać może już tylko parlament w Ottawie a nie parlament brytyjski; 2) uchwalono Kartę Praw i Swobód, wprowadzającą do konstytucji Kanady ochronę podstawowych praw ludzkich i obywatelskich. W tym momencie rozpoczęły się istotne trudności, czekające po dziś dzień na rozwiązanie. Rząd Quebecu odmówił mianowicie podpisania ustawy konstytucyjnej z 1982 r., twierdząc, że nie przewiduje ona zadowalającej ochrony interesów ludności frankofońskiej. Wszczęto więc kilkuletnie konsultacje by znaleźć wyjście z sytuacji, w której jedna siódma kraju (drugiego w świecie co do powierzchni po ZSSR) i jedna czwarta jego ludności znajdują się formalnie poza zasięgiem konstytucji.

W 1986 r. premier Quebecu, Robert Bourassa, wysunął 5 żądań, od spełnienia których uzależnił przystąpienie do konstytucji. Oto one: 1) uznanie odrębności społeczeństwa Quebecu; 2) udział w nominacjach do sądu najwyższego; 3) udział w określaniu polityki imigracyjnej; 4) ograniczenie prerogatywy rządu federalnego przy realizacji wspólnie finansowanych programów; 5) prawo weta dla Quebecu przy uchwalaniu poprawek do konstytucji. Żądania te warto przeanalizować, gdyż mimo

upadku kompromisu z Meech Lake, zawierają one istotę obecnego konfliktu.

Klauzula o odrębności społeczeństwa Quebecu na pierwszy rzut oka nie wprowadza niczego nowego. Quebec ma własny język (francuski) i własne prawo (oparte na prawie rzymskim a nie zwyczajowym). Jednakże koncepcja „odrębnego społeczeństwa” jest z punktu widzenia prawnego niesłychanie mglista i otwiera drogę do dowolnych interpretacji a nawet nadużyć. Dobrym przykładem tego niebezpieczeństwa jest ustawa parlamentu Quebecu z 1978 r. ustanawiająca, że napisy firmowe w prowincji mogą być tylko w języku francuskim. Na jej podstawie zakazano pewnej cukierni w Montrealu wywieszania napisu „witajcie” w sześciu różnych językach. Kiedy sąd najwyższy Kanady obalił tę ustawę jako niekonstytucyjną, Quebec natychmiast odpowiedział, że pozostaje ona w mocy zgodnie z artykułem 33 Karty Praw i Swobód. Artykuł ten głosi, że ustawy poszczególnych prowincji mogą być prawomocne nawet jeśli naruszają Kartę. Trudno o bardziej otwarte zaproszenie do manipulacji prawnych i o lepszy sposób podważania autorytetu sądu najwyższego. Słusznie zarzuca się Quebecowi, że z jednej strony przeforsował zasadę dwujęzyczności na terenie całej Kanady, z drugiej strony natomiast prowadzi na własnym terytorium asymilacyjną politykę ekskluzywności języka francuskiego. Dwujęzyczność wydaje się ponadto coraz większym dziwołogiem w kraju, w którym liczba rodowitych anglofonów i frankofonów stale się kurczy. W Ontario najliczniejszą mniejszością są Włosi, w Saskatchewan Ukraińcy a w Kolumbii Brytyjskiej Chińczycy. W okresie kiedy rząd federalny zabiegał o ratyfikację układu z Meech Lake, przekonywano opinię publiczną, że odrzucenie żądania „odrębności” wysuwanego przez Quebec utoruje drogę do secesji tej prowincji. Jak się zdaje, przyjęcie go w przyszłości może mieć dokładnie ten sam efekt.

Drugie żądanie Quebecu, dotyczące udziału w nominacjach do sądu najwyższego, jest stosunkowo najmniej kontrowersyjne. Sąd istnieje od 1875 r. a od 1949 r. jest rzeczywistym sądem najwyższym gdyż od tego czasu nie ma już możliwości ostatecznego odwołania się do przybocznej Rady Królewskiej (*Privy Council*) w Londynie. W dziewięćcioosobowym sądzie Quebec ma już teraz trzy zarezerwowane dla siebie miejsca, trzy dalsze ma Ontario, prowincje zachodnie dwa, prowincje morskie (czyli wschodnie) jedno miejsce, co mniej więcej odpowiada proporcjom ludnościowym. System ten, choć nieformalny, wydaje się dobrze funkcjonować. Sędziowie są mianowani przez rząd federalny po konsultacjach z palestrą, a więc na podstawie fachowości a nie przesłanek politycznych.

Sprawa imigracji natomiast jest dla całej Kanady a szczególnie

dla Quebecu niesłuchanie istotna ze względu na negatywny przyrost naturalny. Do końca lat sześćdziesiątych polityka w tej dziedzinie była selektywna i preferencyjna: faworyzowano tradycyjne źródła imigracji czyli anglofonów, frankofonów i inne kraje europejskie. Od tego czasu polityka ta uległa „uniwersalizacji”. Punkty do imigracji otrzymuje się za wykształcenie, kwalifikacje, uzyskanie z góry kontraktu pracy, znajomość języków oficjalnych i posiadanie własnego kapitału. Mimo tych wytycznych, najliczniejsza kategoria imigrantów pochodzi z łączenia rodzin, typowa bowiem rodzina azjatycka czy afrykańska może się składać z kilkudziesięciu osób, które po kolei przybywają do Kanady, często bez fachowych kwalifikacji. Kiedy dawniej proporcja imigrantów ze źródeł tradycyjnych wynosiła 90%, dziś spadła do jednej trzeciej, a już tylko dwie trzecie ludności jest pochodzenia anglosaskiego lub francuskiego. Pociąga to za sobą daleko idące konsekwencje kulturowe, wyznaniowe i społeczne. Gdy chodzi o Quebec, układ Cullen-Couture z 1978 r. daje mu prawo do selekcji osiedlających się tam imigrantów. Quebec chce jednak więcej: ustalony odsetek wszystkich imigrantów (co najmniej jedną czwartą) oraz prawo do organizowania we własnym zakresie świadczeń integracyjnych (nauka języka, asymilacja kulturowa). Jest to miarą zależności całego kraju, a zwłaszcza Quebecu, od imigracji. Jest też miarą chęci Quebecu przeciwdziałania większej popularności Ontario jako ostatecznego punktu docelowego dla imigrantów. Zauważmy tu na marginesie, że imigracja z Polski do Kanady znacznie wzrosła w ciągu ostatniego dziesięciolecia ze względu na sytuację polityczną i gospodarczą w kraju. W ubiegłym roku osiągnęła rekordową liczbę prawie 16 tysięcy (drugie miejsce po Hong Kongu). W sumie, w ciągu lat osiemdziesiątych osiedliło się w Kanadzie prawie 72 tysiące Polaków, co niewątpliwie przyczynia się do wzmocnienia ciężaru politycznego Polonii kanadyjskiej.

Postulat Quebecu dotyczący ograniczenia kompetencji rządu w Ottawie w dziedzinie wspólnie finansowanych programów idzie również po linii zwiększenia prerogatyw prowincji francuskiej. Programy te (np. służba zdrowia, wyższe wykształcenie, zapomogi socjalne) mają na celu ujednoczenie świadczeń społecznych i zapewnienie względnie równej ich dystrybucji zważywszy, że są finansowane z kieszeni podatnika. Jednakże Quebec wywalczył już sobie własny system emerytalny i zabiega o dalsze ustępstwa tego typu w imię zachowania kontroli nad realizacją polityki społecznej i gospodarczej na własnym terytorium. Jak się zdaje, decentralizacja w tym zakresie uszczupli potencjał integracyjny polityki społecznej w skali całej konfederacji, natomiast nie da gwarancji zredukowania ogromnego zadłużenia władz federalnych, prowincjonalnych i lokalnych wynikającego w dużej mierze z tych programów (w sumie ponad 500 miliardów dolarów kanadyjskich).

Mnóstwo kontrowersji wzbudziło ostatnie żądanie Quebecu, dotyczące prawa weta przy uchwalaniu poprawek do konstytucji. Obecnie potrzebna jest aprobata rządu federalnego i siedmiu prowincji pod warunkiem, że reprezentują co najmniej 50% ludności Kanady. Wprowadzenie zasady jednomyślności może mieć groźne konsekwencje gdyż sparaliżuje próby przystosowania konstytucji do nowych potrzeb (np. reforma Senatu, zapewnienie proporcjonalnej reprezentacji ludności w Izbie Gmin, ustanowienie nowych prowincji itp). Niektóre z tych spraw przybrały ostatnio na aktualności. Reformy Senatu domagają się przede wszystkim prowincje zachodnie, które czują się niewystarczająco reprezentowane w tej izbie. Od początku swego istnienia Senat Kanady pochodzi z nominacji dokonywanych przez rząd federalny. Senat ma te same obowiązki co Izba Gmin, tyle że nie może inicjować ustawodawstwa finansowego. Wprowadzenie zasady wybieralności senatorów uczyni ich odpowiedzialnymi wobec wyborców i usunie element protekcji politycznej z izby wyższej parlamentu. Ilustracją impasu istniejącego w tej dziedzinie były zeszłoroczne wybory w Albercie dla wypełnienia wakansu w senacie, mimo że nie ma żadnych podstaw konstytucyjnych do takiego głosowania. Wynik wyboru został potwierdzony przez Ottawę po roku chociaż rząd federalny wcale nie był do tego zobowiązany. Coraz większą aktualność ma też kwestia nadania statusu prowincji Yukonowi i Terytorium Północno-Zachodnim, chociażby dlatego, że są one zamieszkałe głównie przez tubylców, zasługujących bardziej niż inne na miano „odrębnego społeczeństwa”. Obecnie obszary te są administrowane bezpośrednio przez rząd federalny a ich mieszkańcy mają bardzo ograniczone prawa polityczne i nie mają kontroli nad znacznymi bogactwami naturalnymi swych regionów. Indian i Eskimosów nazywa się elegancko w oficjalnej terminologii „pierwszymi narodami” ale trzyma się ich nadal pod ścisłą kurtelą. Zmiana tego stanu rzeczy w dobie walki z dyskryminacją etniczną stanie się jeszcze trudniejsza w razie przyjęcia zasady jednomyślności przy uchwalaniu poprawek konstytucji.

Wszyscy w Kanadzie a także koła polityczne poza jej granicami zadają sobie teraz pytanie: co dalej po upadku układu z Meech Lake? Wydarzenia czerwcowe były porażką dla premiera Quebecu Bourassy gdyż zostały zrozumiane jako odrzucenie jego pięciu postulatów. Uaktywniła się zarazem nacjonalistyczna Partia Quebecu, która widzi nowe nadzieje na powrót do formułki „stowarzyszonej suwerenności” lub nawet na lansowanie hasła niepodległości. Dając przykład „ucieczki do przodu”, Bourassa wydał wspólnie z Partią Quebecu komunikat, zapowiadający powołanie komisji parlamentarnej z zadaniem opracowania do przyszłego roku nowej konstytucji dla prowincji francuskiej.

Znamienne są przy tym słowa premiera, że tylko dwie sprawy nie będą na porządku obrad komisji: kontynuacja obecnego stanu rzeczy i przyłączenie się do Stanów Zjednoczonych.

Sprawa narodowa Quebecu zasługuje niewątpliwie na zrozumienie, które zresztą znajduje we wpłyowych niefrancuskich kołach w Kanadzie, o czym świadczą ustępstwa Ottawy w minionych latach w takich kwestiach jak dwujęzykowość. Przez blisko dwa stulecia prowincja francuska żyła w stanie łagodnego ale obcego zaboru a swą tożsamość narodową uratowała w znacznej mierze dzięki działalności kościoła katolickiego. Stąd jednak daleko jeszcze do twierdzenia, że klucz do rozwiązania konfliktu leży w proklamacji niepodległości. *Establishment* polityczny w Quebecu i cała jego ludność musi się wprawdzie zastanowić, czy niezależny byt jest praktyczną możliwością.

Quebec jest krajem zamożnym. Wytwarza jedną czwartą produkcji przemysłowej Kanady (przoduje w produkcji papieru, aluminium i azbestu), ma wielkie złoża mineralne (zwłaszcza rudy żelaznej ale także miedzi, cynku, złota, ołowiu, niklu, tungstenu i tytanu), ogromny potencjał hydroelektryczny oraz bogate rolnictwo i rybołówstwo. Ale mimo powstania ambitnej rodzimej kadry menadżerskiej po szoku separatystycznym z lat siedemdziesiątych i po ucieczce kapitałów do Ontario, bieżąca sytuacja ekonomiczna nie jest różowa. Wskaźnik wzrostu jest niższy od przeciętnej kanadyjskiej, znacznie wyższe natomiast od tej przeciętnej są wskaźniki bezrobocia i bankructw przedsiębiorstw. Niezależny Quebec byłby narażony na przemożną konkurencję amerykańską, przed którą łatwiej mu się obronić teraz w ramach konfederacji, nie tylko w sferze gospodarczej ale też kulturowej. Nie wiadomo w jakim stopniu mógłby polegać na pomocy Francji, która — w odróżnieniu od czasów de Gaulle'a — zachowuje teraz dyplomatyczną dyskrecję. Nie wiadomo czy mógłby sobie pozwolić na własne siły zbrojne, struktury państwowe i świadczenia społeczne, własny korpus dyplomatyczny itp. pewne jest natomiast, że secesja byłaby klęską dla Kanady, zwłaszcza dla prowincji wschodnich, które byłyby odcięte od reszty kraju. Przykład Quebecu może się okazać zaraźliwy. Już teraz rząd w Ottawie został osłabiony z jednej strony ustępkami na rzecz Quebecu (premier federalny jest Anglosasem z Quebecu), z drugiej zaś eskalacją równoległych żądań ze strony innych prowincji.

Kryzys konstytucyjny został w Kanadzie narzucony przez historię i geografę. Nie jest to ani pierwszy taki konflikt, ani zapewne, ostatni. Jego długotrwałość osłabia jednak stale idee narodową Kanady.

Andrzej KRZECZUNOWICZ

czerwiec-lipiec 1990

Budowanie nowej Europy

'Budowanie nowej Europy', czyli szukanie odpowiednich dróg w kierunku zjednoczenia całej Europy, było tematem jednodniowej międzynarodowej konferencji pod egidą brytyjskiego Federal Trust¹, w londyńskiej placówce Wspólnoty Europejskiej pod koniec czerwca br. Na porządku obrad znalazły się różne aspekty procesu zjednoczeniowego Europy, a więc sprawa wchłonięcia zjednoczonych Niemiec do Europy, sprawa konsolidacji demokracji w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, ich ewentualnego włączenia do Wspólnoty Europejskiej, jak również sprawa bezpieczeństwa zbiorowego w Europie, w świetle kończącej się konfrontacji zimnowojennej w stosunkach Wschód-Zachód. W gronie prelegentów znalazło się wiele znaczących osobistości z establishmentu Wspólnoty Europejskiej, NATO oraz znanych instytucji międzynarodowych. W charakterze zaproszonych gości wystąpili przedstawiciele Czechosłowacji, Węgier, Polski i ZSSR.

W centrum obrad dominowały dwa kluczowe zagadnienia: sprawa przyszłej Unii, czy też Federacji Europejskiej, oraz sprawa przyszłego układu bezpieczeństwa zbiorowego w Europie. Zasadniczy referat, naświetlający koncepcję przyszłej federacji ogólnoeuropejskiej, wygłosił Dr Ch. Layton z Federal Trust. Zaczął on od stwierdzenia, iż nadrzędnym zadaniem stojącym dziś przed Europą Zachodnią jest znalezienie skutecznego sposobu dla jak najszybszego włączenia krajów Europy Centralnej do reszty rodziny europejskiej. Nie widzi on sprzeczności między równoległym „pogłębianiem”, tzn. utrwalaniem struktur polityczno-gospodarczych Wspólnoty Europejskiej, a stopniowym „poszerzaniem” Wspólnoty o nowych członków. Koncepcja tzw. „odśrodkowego” poszerzania Wspólnoty (ang. tzw. *con-centric circles' theory*), zakładająca centralną rolę dla Wspólnoty Europejskiej a peryferyjną dla reszty krajów europejskich, może być dobra na dziś, lecz nie do przyjęcia na dłuższą metę. Głównym i ostatecznym celem jest stworzenie równoprawnej Federacji Europy, od Atlantyku do granic ZSSR, a więc z wyłączeniem Rosji. Odpowiednio zreformowany Związek Sowiecki (nadal pod wielkim znakiem zapytania) może jednak stać się, poprzez sieć bliskich powiązań gospodarczych, partnerem przyszłej Federacji Europy. Koncepcja „federalizmu” dla Europy bynajmniej nie oznacza próby stworzenia jednolitego „narodu europejskiego”, tak jak to jest wciąż mylnie rozumiane, a przyjmowane z oporem i niechęcią,

1. „The Federal Trust for Education and Research” — zał. w r. 1945 instytut wspierający dążenia zjednoczeniowe/federalistyczne wśród wolnych krajów europejskich. Konferencja „Building a New Europe: The Way to Wider Union” została zorganizowana we współpracy z Brukselską Komisją WE.

w Wielkiej Brytanii. W rzeczywistości chodzi tu o decentralizację, tzn. okleszczenie mocy rządów centralnych na rzecz większej autonomii dla bloków regionalnych, poprzez granice państw. Zniesienie kontroli granicznych między państwami oznacza również większy zakres swobód i samorządu terytorialnego dla różnych ugrupowań mniejszości narodowych. Wystąpienia innych prelegentów, jak również tok debaty w trakcie konferencji zdają się wskazywać iż koncepcja federacji europejskiej zyskuje coraz większe poparcie w Europie Zachodniej. Ma ona swe niewątpliwe zalety, jak np. to, iż może oznaczać „naturalne” rozwiązanie dwóch problemów, nurtujących dziś polityków zachodnich: właściwego umiejscowienia zjednoczonych Niemiec w Europie, oraz powstrzymania wzmagających się fermentów nacjonalistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej. Innymi słowy, stworzenie szerszego systemu federalnego dla całej Europy, z nieskrępowaną swobodą dla „bez-granicznego” przepływu ludzi i towarów, może usunąć niebezpieczeństwo przyszłych, potencjalnych sporów granicznych w Europie. Praktyczną realizacją już na dziś takiej koncepcji federalistycznej jest polityka wspierania współpracy regionalnej, o szczególnym znaczeniu dla Europy Centralnej (Polska, Czechosłowacja, Węgry). Stworzenie „wolnej strefy” handlowej, a więc większej „przestrzeni gospodarczej” w tym rejonie przyspieszy nie tylko przyływ kapitału zachodniego, lecz również integrację tych krajów do reszty Europy.

Sprawę nowego systemu bezpieczeństwa w Europie omówił Dr M. Palmer² (sekretariat Parlamentu Europejskiego), przedstawiając koncepcję przeobrażenia procesu KBWE (Konferencja o Bezpieczeństwie i Współpracy w Europie, ang. CSCE) w permanentną instytucję, nadzorującą stworzenie nowego, ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa. Zakłada ona rozwiązanie, pod egidą KBWE, obu układów wojskowych w przeciągu 5-10 lat, oraz ich zastąpienie na wspólny pakt bezpieczeństwa zbiorowego. Celem ostatecznym jest przejście pełnej odpowiedzialności za bezpieczeństwo w Europie przez przyszłą Federację Europy, z odpowiednimi układami współpracy z USA i ZSSR. Koncepcja ta przewiduje tylko minimalny stan uzbrojenia w Europie, a więc stawia na pokój, a nie kłótnie i spory w przyszłej federacji europejskiej. Oszczędności z cięć budżetów zbrojeniowych byłyby przeznaczone na specjalny Fundusz Rozwojowy dla rejonu Europy Centralnej, celem jak najszybszego zwężenia olbrzymiego zróżnicowania technologicznego między obu częściami Europy.

Naszkicowany tu plan Palmera ma być przedłożony do szczegółowego rozpatrzenia w czasie przyszłego szczytu KBWE w Paryżu w grudniu br. Zawiera on sporo ciekawych i dobrych myśli, lecz

2. M. Palmer, „An East-West Institutional Framework”. Referat ten opiera się na uprzednim, obszerniejszym opracowaniu pt. „An All-European Security System: Eight Models with Comments”, które zostało przedłożone do rozpatrzenia Podkomisji do Spraw Bezpieczeństwa i Rozbrojenia Parlamentu Europejskiego w lutym br.

również wiele niedociągnięć. Fr. Heisbourg, dyrektor prestiżowego IISS (International Institute for Strategic Studies) w Londynie, widzi wprawdzie możliwość większej roli politycznej dla KBWE w kształtowaniu nowego systemu bezpieczeństwa zbiorowego w Europie, lecz nie w sensie strategiczno-militarnym, jako namiastka NATO. W tym też właśnie, czysto militarnym wymiarze, projekt ten okazuje się nie do przyjęcia przez NATO. Jak długo istnieje niepewność co do przyszłego rozwoju wewnątrz-politycznego w Rosji, tak długo potrwa racja bytu NATO jako jedyne, skutecznego gwaranta pokoju i bezpieczeństwa w Europie. KBWE natomiast może i powinno być w dalszym ciągu główną płaszczyzną współpracy w rokowaniach zbrojeniowych, w kierunku uzyskania minimalnego, lecz odpowiednio zbalansowanego układu sił w Europie. W tym sensie NATO może zgodzić się na większą rolę instytucjonalną KBWE, co zresztą zostało potwierdzone w czasie ostatniego szczytu NATO początkiem lipca br.

Wygląda więc na to, iż sprawy bezpieczeństwa zbiorowego w nowej, jednoczącej się Europie będą jeszcze długo przedmiotem debat i sporów w kołach politycznych Wspólnoty Europejskiej i NATO. Stworzenie właściwej „infrastruktury bezpieczeństwa” jest zapewne ważne dla pokojowego budowania federacji europejskiej, lecz co najmniej w takim samym stopniu, w poniekąd odwrotnym ujęciu, przyspieszenie federalizacji Europy może okazać się najmniejszym gwarantem trwałego rozładowania napięć i pokoju na naszym kontynencie.

Janusz MONDRY

Widziane w Tiranie

Czteropiętrowy hotel „Tirana” o mdłej fasadzie i z odlejakającymi się wykładzinami podłogowymi jest jednym z dwóch hoteli miasta, gdzie kwatrują cudzoziemców. Leży on w śródmieściu Tirany nieopodal przynębiającego placu Skanderbeg, wokół którego rozstawione są gmazyska pałacu kultury, muzeum i banku narodowego. Płoną one w nocy zielonkawym światłem lunaparkowych neonów głosząc odwagę i mądrość partii i jej przywódcy Enver Hodży. Grób Nauczyciela Narodu na wzgórzu za miastem jest w dalszym ciągu obowiązkowym punktem programu wszystkich wycieczek. Z wystawy „Albania dziś” można się wymknąć.

Turystów indywidualnych do kraju się nie wpuszcza, podobnie jak i duchownych (Albania jest jedynym oficjalnie ateistycznym państwem świata), Amerykanów i dziennikarzy.

Każda osoba przybywająca z wycieczką turystyczną na wizę grupową jest wcześniej sprawdzana przez przedstawicielstwo konsularne Albanii.

Ruch kołowy w stolicy to ławicami nadciągające rowery, sporadycznie pojawiające się samochody, głównie furgonetki wojskowe, i piechurzy używający ulic jako ścieżek, bowiem wąskie chodniki okupuje tłum. Spokojne, zdyscyplinowane grupy ludzi stoją wokół sklepów, pod murami, w cieniu drzew. Ciche rozmowy. Turystę prowadzi baczne spojrzenie, zdaje się ani przyjacielskie, ani wrogie, ciekawość, ale nikt nie podchodzi, nie zagaduje, krok w ich kierunku i zgromadzenia rozwiązują się, trafia się w próżnię, tłum rozstepuje się nagle, najbardziej uparci gapiowie pierzchają niczym przed zadżumionym.

Dzieci są bardziej bezpośrednio. Często niedomyte, lichy ubrane, podbiegają do nas na postojach, żebrzą o pieniądze, cukierki, ołówki.

Postoje naszego autobusu są starannie wybrane przez Albańczyków. Zatrzymujemy się przed głównymi hotelami miast, na obfity lunch w jakiejś leśniczówce w Lerhe, nocujemy w kurorcie adriatyckim Dürres, w hotelu strzeżonym przez wojsko.

Miasta opuścić nie mogą (bilety na dworcu kolejowym są, ale nie dla turystów). Wychodzę jednak z hotelu i spaceruję swobodnie po ulicach cały wieczór.

Kolejek przed sklepami nie ma, bo chleb, makarony, konserwy mięsne rozchwytywane są natychmiast. Oficjalni przewodnicy albańscy (studenci anglistyki i germanistyki), przydzielani obowiązkowo każdej wycieczce, twierdzą, że średnia płaca to 500 leke (cudzoziemiec dostaje 7 leke za dolara). Chleb kosztuje 4 leke, butelka wina 6-10, skarpetki 20, plastikowe klapki, na których epidemię z jakiegoś powodu cierpi lipcowa Tirana — pomagają w skokach (parkany ambasad?) — 45 leke, rower kosztuje 750, telewizor (czarno-biały) 5-6 tys. Tych ostatnich nie widziałem, na półkach natomiast kohorty rżniętych w marmurze popielniczek (30 leke), herbatniki, stopy ręczników, kompoty i kosze z wikliny.

Tirana składa się dwóch części: dzielnicy budynków reprezentacyjnych (urzędów) w betonowym, posępnym stylu pompacyjnym, przy którym E.U.R. Mussoliniego wydaje się być uroczym zakątkiem oraz szaroburych, klockowych osiedli mieszkaniowych, obwieyszonych suszącą się bielizną, a poprzedzielanych brudnymi placami z wyschniętymi klombami.

Drogi są złe, nawet te pomiędzy ważnymi miastami jak Dürres czy Skhoder. Panują na nich ograniczenia szybkości, czasem do 20-15 km/godz. Komunikacja jeszcze gorsza, czego dowodem tabuny pieszych wypełniających szosy.

Symbolem kraju mógłby być bunkier. Rozróżnić tu dałoby się co najmniej trzy typy. Najpopularniejszy przypomina wyglądem skandynawskie ciastko *semla* lub eskimoskie igloo z maskującą czapą-kwietnikiem. Setki ich widziałem z okiem autobusu, szeregi

przycupnęły pod wioskami, na polach między zagonami, albo też królują samotnie na dziedzińcu jakiegoś PGR-u czy boisku szkolnym. Większość, zbudowana po wystąpieniu Albanii z Układu Warszawskiego w 1968 r., już się rozsypuje. Wiele prosperuje jednak jako schrony przed spiekotą dnia i toalety.

Odwiedzamy jeszcze częściowo odkopany, częściowo zalany cementem amfiteatr rzymski pod Dürres, przejeżdżamy obok lasu anten Radia Tirana i ponurego, zipiącego w skwarze popołudnia monstrum — fabryki chemikaliów w Schocher i już żegna nas skrzywiony wartownik albańskiej straży granicznej. Właściwie to nie on, a plansza z jedynym niealbańskojęzycznym tekstem jaki widziałem w kraju. Są to słowa Enver Hodży: „Nawet gdybyśmy mieli głodować, my Albańczycy nie zdradzimy zasad marksizmu-leninizmu”.

Peter ZRALEK

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00
natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept
krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. •
Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

nych, analfabetów i nieszczęśliwych. Dlatego liczba ich wyznawców rośnie. Ocenia się ich na 40 milionów na tym kontynencie, a wśród nich 16 milionów w samej tylko Brazylii. Dlatego od kilku lat około 600 tysięcy ludzi rocznie opuszcza katolicyzm.

Nieprzewidziana reakcja

Te nowe i potężne wpływy stały się prawdziwym zmartwieniem dla Watykanu. „Oddaję w ręce Najświętszej Dziewicy z Gwadelupy przeznaczenie ewangelizacji Ameryki Łacińskiej” — oświadczył Jan Paweł II, lądując 6 maja w Meksyku, a rzecznik prasowy kurii, Joaquim Navaro-Valle, dodał: „Nowe sekty protestanckie wzrosły o 500 % na tym kontynencie i Ojciec Święty musi szybko wzmocnić Kościół”. Jeszcze nie tak dawno papież i kuria były zainteresowane wzmocnieniem wpływów brazylijskich biskupów konserwatywnych dla przeciwstawienia ich biskupom postępowym. Dzisiaj Konferencja Biskupów składa się z 378 członków, a wśród nich 118 biskupów postępowych, 200 umiarkowanych i tylko 60 konserwatywnych. Ale zaszła tu reakcja absolutnie niespodziewana. Oto masy biedaków wołają raczej wysłuchiwać nowych pastorów protestanckich niż zwracać uwagę na retorykę księży wyznających Teologię Wyzwolenia. Teologia Wyzwolenia opierała się na popieraniu ochrony praw ludzkich i dlatego przy wielu okazjach łączyła się z lewicowymi partiami politycznymi, aby wspólnie znaleźć możliwość współzycia marksizmu z doktryną rzymskokatolicką. W zeszłorocznych wyborach powszechnych ultralewicowa Partia Pracy odniosła zwycięstwo właśnie przy pomocy „lewicowych” księży, choć dalsza współpraca w walce z szalejącą w tym kraju niesprawiedliwością społeczną nie była możliwa ze względu na konieczność koligacji z komunistami, jak również przez zagadnienie przerywania ciąży.

Dr Rose Saldiva, profesor socjologii na uniwersytecie w Sao Paulo, widzi rosnący wpływ różnych sekt religijnych w całym świecie i tłumaczy to rosnącą skłonnością do mistycyzmu. Ludzie gorączkowo szukają zmian w swych wyznaniach, chcą się religijnie identyfikować przed zbliżającym się przy końcu tego tysiąclecia — jak wierzą — końcem świata. Tego rodzaju zjawiska doktryna Kościoła rzymskokatolickiego odrzuca, podobnie jak doktryna zborów ewangelickich, ale brutalnie je propagują pastory „elektroniczni”, uprawiający swe kaznodziejstwo przy pomocy telewizji i radia. Narzucają oni program o wiele ciekawszy, prostszy i bardziej atrakcyjny, wskazując na łatwą możliwość polepszenia życia na ziemi, już teraz, przez zwiększenie własnego bogactwa. „Ludzka nędza jest dziełem szatana, a bogactwo darem Boga” — wołają bezustannie, a ich domy modlit-

O religii bez namaszczenia

Wybuch protestantyzmu w Brazylii

Siła religijnej eksplozji wielu sekt ewangelickich w Brazylii w ciągu ostatnich dziesięciu lat zaskoczyła intelektualistów i licznych teologów, a Narodowa Konferencja Biskupów Brazylijskich po prostu nie zdawała sobie sprawy z powagi tego zjawiska. Dopiero ostatnio katolicka hierarchia kościelna, zaniepokojona ogromem tej prawdziwej rewolucji religijnej, zrozumiała, że zdumiewający rozwój sekt ewangelickich jest o wiele szybszy i o wiele większy, niż początkowo oceniano. Aby zrozumieć ogrom tego religijnego wybuchu, trzeba pamiętać, że pastory ewangelicy od przeszło stu lat prowadzą w Ameryce Łacińskiej swoje prace misyjne, głównie wśród ludzi najbardziej potrzebujących, żyjących poza nawiasem nowoczesnego życia. Jest to misjonarstwo uczciwe, wpajające doktrynę chrześcijaństwa bez konfliktów z Kościołem rzymskim. Są to luteranie, kalwiniści, metodyści, adwentyści, baptyści, prezbiterianie i anglikanie, potomkowie różnych schizm na przestrzeni wieków. Nie o nich mowa, gdy pisze się o eksplozji protestantyzmu. W latach trzydziestych roztaczali oni swe wpływy nad dwoma milionami ludzi. W roku 1950 mieli około 2.300.000 wyznawców, w roku 1960 było już ich 3.000.000. Są to ewangelicy historyczni (taką nazwę przybrali) a ich liczba nie jest wielka biorąc pod uwagę 145-milionową ludność Brazylii.

Ale nowoczesny styl życia doprowadził do rewolucyjnych przemian. Przybyli nowi pastory, młodzi i śmiali, pełni entuzjazmu dla szybkich podbojów religijnych. Są to pastory zdobywający tłumy muzyką, śpiewami, widowiskami, obietnicami lepszego życia, cudownymi uzdrowieniami chorych w imieniu Ducha Świętego, który posiada nieodpartą siłę odpędzania diabła. Są to szalbierstwa, które z łatwością podbijają ludzi ciem-

wy są wiecznie przepelnione, bo w nich trwa hasło „Świętej Wojny ze Złem”.

Teologia Wyzwolenia traci wpływy

Traci swój prestiż. Kiedy powstawała w roku 1968 w Medellin, wydawała się doktryną rewolucyjną, chcącą pogodzić marksizm z doktryną Watykanu. Dzisiaj David Martin, angielski badacz zagadnień religijnych, w książce pod tytułem „Języki ognia — eksplozja protestantyzmu w Ameryce Łacińskiej” pisze: „Dziś Medellin jest już tylko siedzibą kartelu kokainy, a nie siedzibą doktryny”. A więc nie Teologia Wyzwolenia i nie historyczni protestanci stanowią tragedię dla Kościoła. Prawdziwą tragedią są ci nowi protestanci, nazywający siebie *Crentes* (po portugalsku Wierzący). Zasadniczą różnicą doktrynalną z protestantami historycznymi jest interpretacja Biblii w sposób dosłowny. Wierzą w Ducha Świętego jako w dobrodzieja świata i gwarantują, że można z Nim mówić bezpośrednio, w taki sam sposób jak się rozmawia z kolegą w pracy. *Crentes* są zielonoświątkowcami (*Pentecôte*) w aluzji do święta Zielonych Świątek, kiedy to zgodnie z Biblią w 50-tym dniu po Zmartwychwstaniu Duch Święty objawił się apostołom. *Crentes* są rozbici w wielu sektach, ale zjednoczeni w potrójnej walce z Kościołem, z Teologią Wyzwolenia z i Kościołami wyznającymi protestantyzm historyczny, jest to powszechna *Guerra Santa!* *Crentes* zachowują się z nieopisaną agresywnością, rzucając dziesiątki milionów dolarów. Kiedy jeden z kanałów telewizyjnych w Rio de Janeiro zorganizował program dyskusyjny na tematy religijne, zaproszeni goście, ksiądz katolicki, rabin i deputowany komunistyczny, ateusz — nie mogli zabrać głosu, gdyż tłum *Crentes* wrzaskami i gwizdami doprowadził do takiego zamętu, że program musiał być przerwany.

Dominikanin, ksiądz Carlos Alberto Libanio Cristo, najbardziej znany jako Brat Betto, najbardziej zapalony obrońca Teologii Wyzwolenia, skierował pismo do Watykanu, rzucając ostrzeżenie: „Jeśli Kościół w najbliższym czasie nie podejmie energicznej reakcji, to nasze świątynie znajdują się w sytuacji podobnej do starych kościołów w wielu krajach Europy i będą odwiedzane jedynie przez turystów, z tym jednak, że nasze kościoły nie posiadają tak wielkich walorów sztuki”.

Wśród wielu sekt zielonoświątkowców może najbardziej upodobnione do tradycji chrześcijaństwa są „Kongregacja Chrystusowa”, „Zgromadzenie Boże” oraz „Ewangelia Szczerości” pochodzenia amerykańskiego (oryginalna nazwa *Quadruple Gospel*), natomiast dwie największe i najpotężniejsze sekty, „Uniwer-

salny Kościół Królestwa Bożego” i „Bóg jest Miłością” tylko przy najlepszej dobrej woli mogą być zaliczone do kongregacji religijnych. Na czele Kościoła Uniwersalnego stoi „biskup” Edir Macedo, 45 lat. Jest on dawnym urzędnikiem loterii państwowej, a następnie pracownikiem zakładu pogrzebowego, w którym założył swój pierwszy dom modlitwy. Postanowił stać się pastorem dopiero przed siedmiu laty, a dziś jest „właścicielem” pół miliona *Crentes*, modlących się w 850 świątyniach. Cztery inne kościoły stworzył w Stanach Zjednoczonych, a niedawno doszedł do szczytu potęgi kupując za 45 milionów dolarów (*sic*) sieć telewizyjną „Record” w Sao Paulo, składającą się z czterech kanałów i czterdziestu stacji radiowych. Macedo chwali się, że za kilka lat „Record” stanie się największą siecią telewizyjną w Brazylii. W tym celu „ksiądz biskup” wprowadza dalsze inwestycje, a w tym roku zakupił najnowocześniejszy sprzęt za sumę ośmiu milionów dolarów. Macedo z żoną i dziećmi mieszka stale w Ameryce, a do Brazylii dojeżdża sporadycznie, mając tu dobrze zorganizowany sztab pastorów i sekretarzy. W styczniu tego roku zorganizował seans masowej modlitwy pod gołym niebem z udziałem 5.000 *Crentes*. Zachęcony takim powodzeniem wynajął w kwietniu tego roku stadion Maracana w Rio de Janeiro, największy stadion sportowy na świecie, liczący 180 tysięcy miejsc siedzących. Stadion zapelniał do ostatniego miejsca i przez cztery godziny jego „Wierzący” w zachwycie asystowali pokazom magii, czarodziejstwa i szarlataństwa, wykonywanym przez biskupa Macedo i kilku jego pastorów. Kiedy zachwyt publiczności doszedł do zenitu, wystąpił pastor Carlos Alberto de Assis, pomocnik biskupa, i przy stłumionych dźwiękach nastrojowej muzyki zaczął dramatyczną licytację zbiórki pieniężnej dla Ducha Świętego: „Kto ma tysiąc cruzeirów? Kto ma choć 500 cruzeirów dla Chrystusa?” i tak schodząc potem do sum najskromniejszych, bo przyjmowane są każde sumy, zaczął grzmieć: „Na szatana macie pieniądze, na alkohol i na zabawy znajdują się pieniądze, ale skąpicie dla Chrystusa! To wstyd, to hańba, to grzech!” Datki są zbierane przy każdej zbiorowej modlitwie, niezależnie od dziesięciny czyli 10% od wszystkich zarobków. Dziesięcina służy na pokrycie wydatków Kościoła Uniwersalnego w jego misji „przyspieszenia szczęścia na ziemi” a dobrowolne składki idą do kas właścicieli sekty. Po widowisku na stadionie Maracana reporter telewizji zdołał nakręcić scenę, kiedy kilku pracowników kościoła wynosiło na plecach worki z pieniędzmi.

Pastor Silas Malafaia, 31 lat, kieruje od sześciu lat najbardziej popularnym „Zgromadzeniem Bożym”, liczącym miliony wyznawców. Zgromadzenie utrzymuje 32 tysiące domów modlitwy w całym kraju i prowadzi codzienny program religijny w

telewizji, atakując Teologię Wyzwolenia oraz tradycyjne sekty protestanckie. Po latach czarodziejskich egzorcyzmów i cudów znachorstwa zbliżyło się filozoficznie do kultu ewangelickiego, choć nadal upiera się przy odpędzaniu diabła, co wymaga ofiar pieniężnych. Natomiast sekta „Świadków Jehowy” wierzy, że ciało zamiera wraz z duszą, nie ma więc żadnego zbawienia po śmierci. Ale przy końcu wszystkich czasów Bóg wróci na ziemię i wtedy dusze wszystkich ludzi sprawiedliwych zmartwychwstaną. *Crentes* uznają potrzebę zbierania funduszy pieniężnych. Niezależnie od obowiązkowej dziesięciny konieczne są składki zbierane w dniach specjalnych, kiedy Duch Święty czyni cuda. W ciągu tych specjalnych dni wyznawcy są bombardowani groźbami nieszczęścia, gdyż Duch Święty może przynieść szczęście jedynie kiedy będzie hojnie wynagradzany. Tego rodzaju gmatwanina wierzeń i rytuałów zwiększa się przez nieustanny ruch pastorów przenoszących się z jednej sekty do drugiej. Byłoby przesadą sądzić, że ta migracja jest spowodowana względami teologicznymi — są to raczej względy dotyczące kalkulacji zarobków. Pastorzy grup Zielonych Świątek wcale nie ukrywają swych wysokich dochodów, pozwalających im żyć w luksusie. Zdarzają się jednak przypadki skarg składanych w sądach przez ofiary ich wyzysku, które potraciły pieniądze, a nie doczekały się obiecanego szczęścia.

Komplikacje nie kończą się na różnorodności w rytuałach zielonoświątkowców. Jednocześnie rosną wpływy religii orientalnych, mieszaniny buddyzmu i chrześcijaństwa. Sekta „No-Ié” nie identyfikuje się z żadnym wyznaniem religijnym, uważa się raczej za system filozofii opartej na wdzięczności, wybaczeniu i miłości bliźniego. Sekta „Nitiren Shoshu” wierzy w życie pozagrobowe, a sekta „Perfect Liberty” kieruje się 21 przykazaniami, żądającymi medytacji, wierności małżeńskiej i walki ze słabościami jak materializm i sentymentalizm. Wszystkie te sekty pochodzenia japońskiego i koreańskiego przyszły tranzytem ze Stanów Zjednoczonych, prawdziwego królestwa różnorodnych sekt religijnych, które przynoszą bająnskie dochody.

Na czym opiera się widoczny wzrost sekt zielonoświątkowców? Dr Antonio Gouveia Mendonça, profesor nauk religijnych w Instytucie Metodystów w Sao Paulo, naucza że tego rodzaju rozrost nie opiera się jedynie na krasomówstwie pastorów i na ich zdolnościach narzucania zbiorowego iluzjonizmu. Centralnym czynnikiem rozwoju jest fakt, że miliony nędzarzy opuszczają swe wie i miasteczka, przenosząc się do wielkich miast w poszukiwaniu pracy. Są tam zupełnie opuszczeni, wyobcowani i pierwszy gest opieki i pierwszy talerz gorącej zupy znajdują w domach modlitwy. Mogą tam wypłakać swój tragiczny los, otrzymać cenne wskazówki, a nawet możliwość uzyskania pracy,

a więc wyzwolenia z nędzy i możliwość przesłania paru zarobionych groszy żonie i dzieciom pozostawionym na dalekiej wsi. Pastor Paulo Lutero de Mello e Silva, lider sekty „Brazylia dla Chrystusa”, jest dumny z rozwoju, a czarne owce zdarzają się i w innych zborach religijnych. Pastor Jaime Wright broni *Crentes*. Mówią oni językiem ludzi prostych, tak jak omawiają mecze piłki nożnej czy karnawał i dlatego ich wiara jest przyjmowana z zaufaniem. Pastor Wright napisał wstrząsającą książkę pod tytułem „Brazylia — nigdy więcej”. Jest to dokument tortur stosowanych w czasach wojskowej dyktatury. W książce pastor wyjaśnia, że prezbiterianie i metodyści byli jedynymi protestantami, którzy prowadzili nieustanną walkę przeciw wojskowej dyktaturze w latach 1964-1986.

Reakcja Kościoła rzymskokatolickiego

Stolica Apostolska, zaniepokojona zmniejszającą się liczbą rzymskich katolików w Brazylii, rozesała kwestionariusz dla zbadania prawdziwych przyczyn takiego zjawiska. W odpowiedzi na ten kwestionariusz ksiądz Felix Neefjes, kierownik działu gospodarczego Brazylijskiej Konferencji Biskupów, oświadczył, że rozwój sekt protestanckich jest dziełem CIA. Zaintrygowany tego rodzaju twierdzeniem Watykan zainterpelował ks. biskupa Luciana Mendesa de Almeidę, ówczesnego generalnego sekretarza Konferencji Biskupów. Jego odpowiedź jeszcze bardziej dołała oliwy do ognia: „Nie wiem, ale CIA jest silnie podejrzana”. Powołał się przy tym na prezydenta Roosevelta, który miał powiedzieć, że „proces asymilacji Ameryki Łacińskiej ze Stanami Zjednoczonymi będzie długi i trudny tak długo, jak długo będą w niej przebywać katolicy”. Ten epizod miał miejsce przed pięcioma laty, a liczebność *Crentes* nadal rośnie. Brat Betto jest innego zdania: we wszystkich religiach chrześcijańskich na czoło wysuwa się osoba Boga, pocieszyciela tych, którzy w Niego wierzą. Dziesiątki milionów brazylijskich nędzarzy przestaje wierzyć w opiekę boską i z łatwością przyjmuje każdą opcję szarlatanstwa, obiecującego szczęście już zaraz.

Sytuację Kościoła w Ameryce Łacińskiej komplikuje fakt, że nie stanowi on monolitu. Polemiczny socjolog Michel Loewy, sympatyk trockizmu i Teologii Wyzwolenia, musiał przyznać rację Janowi Pawłowi II, który opierał się angażowaniu kleru w politykę w Ameryce Łacińskiej. Ten kler nie posiada żadnej doktryny. Biskupi argentyńscy dali wyraźne błogosławieństwo oficerom, którzy popełniali zbrodnie ludobójstwa w okresie wojskowej dyktatury. Biskupi brazylijscy od roku 1970 stanowili główną siłę protestu przeciw dyktaturze, choć w roku 1964 walnie

dopomogli do jej powstania. Biskupi chilijscy odegrali poważną rolę w powrocie do demokratyzacji kraju, twardo wypowiadając się przeciw dyktaturze Pinocheta, a kler nikaraguański, który najostrzej zwalczał dyktaturę Somozy, przeszedł potem na autorytatywne pozycje sandinizmu. Kościół brazylijski jest daleki od jednolitości. W konfrontacji z sektami pantekostalnymi Kościół jest wyraźnie rozdwojony. Z jednej strony wielu księży, ściśle związanych z rytuałami ołtarza, nie zwraca uwagi na codzienne życie wiernych, na ich troski dnia powszedniego i, co najważniejsze, nie próbuje dojąć powodów ich zmartwień. Z drugiej strony, wielu księży i zakonników często odrzuca sutanny i idzie w lud, aby uczyć religii. Między tymi dwiema grupami sytuują się księża głęboko zaniepokojeni ucieczką wiernych. Najrozsądniejsze wydaje się oświadczenie biskupa Sinesio Bohna z Rio Grande do Sul, odpowiedzialnego za problemy ekumeniczne w Konferencji Biskupów: „Upieranie się przy twierdzeniu, że niektóre sekty religijne opierają się na jednoznacznym szarlatanizmie nie ma żadnego praktycznego znaczenia. Ważne jest, aby nasz Kościół zmienił systemy pracy ewangelizacji. Tamci zaczęli się ruszać przed trzydziestoma laty, a my jesteśmy o tych trzydziestu lat spóźnieni”.

Pod osobistym przewodnictwem kardynała Józefa Ratzingera, prefekta św. Kongregacji d/s Doktryny Wiary, odbył się w końcu lipca w Rio de Janeiro tygodniowy kurs przeznaczony wyłącznie dla biskupów. Biskup sufragan w Rio de Janeiro, D. Karl Josef Romer, główny organizator kursu, wyjaśnił, że między sprawami jakie miały być dyskutowane poważne miejsce zajmuje zmniejszająca się w całym świecie wiara, a rosnąca niestannie ilość agnostyków oraz obojętność w sprawach religijnych. Na ten kurs zapisało się 95 dygnitarzy kościelnych, kardynałów, arcybiskupów i biskupów brazylijskich, czyli trzecia część całego episkopatu. Nadeszły też listy biskupów, którym brak funduszy z powodu konfiskaty depozytów bankowych przez rząd uniemożliwił podróż do Rio de Janeiro.

Dyskutowano sprawy różnego rodzaju teologii i różnorodnych praktyk pasterskich, jakie dzieli Kościół rzymskokatolicki. Tym razem kardynał Ratzinger, który uchodzi za członka skrzydła konserwatywnego, nie atakował Teologii Wyzwolenia, tłumacząc że ta teologia byłaby fałszywa, gdyby chciała się opierać na pozycjach socjalnych i politycznych, zamieniając się w partię polityczną, podczas gdy działa ona rozumnie, wyznając konieczność zjednoczenia całego Kościoła. Kardynał znalazł nawet kilka sympatycznych słów dla franciszkańskiego mnicha Leonarda Boffa, jednego z głównych teoretyków Teologii Wyzwolenia i którego przed kilku laty ukarał milczeniem. Ostatniego dnia kardynał Ratzinger odwiedził rabin Henry Sobel,

koordynator Komisji Dialogu Katolicko-Żydowskiego w Sao Paulo. Rabin prosił o wstawienie do wszystkich programów seminaryjnych w całym świecie tematu Holocaustu, zwłaszcza w Zjednoczonych Niemczech.

Kardynał Ratzinger, uchodzący za człowieka nieprzystępnego i ponurego, tym razem okazał się człowiekiem sympatycznym i wesółym. Wydaje się, że pomysł kursu miał cel widoczny, mianowicie organizację wspólnego frontu przeciw sektom *Crentes*, którzy w sposób barbarzyński atakują wszystkich, Watykan, zbory ewangeliczne i Teologię Wyzwolenia. Podczas pożegnalnego obiadu prymas Brazylii, kardynał Lucas Moreira Neves, wygłosił mowę, w której podkreślił, że w sprawach ważnych panuje zjednoczenie, a w sprawach wątpliwych panuje wolność. Swą mowę zakończył żartem: podział na kler konserwatywny i kler postępowy jest niesłusznym wynalazkiem dziennikarzy — wszyscy jesteśmy postępowi, bo postępowy jest świat w jakim żyjemy. Nuncjusz apostolski D. Carlo Furno oficjalnie ogłosił, że papież Jan Paweł II odwiedzi Brazylię w przyszłym roku.

Black is beautiful

Istnieją w Brazylii rytuały afrykańskie, przywiezione przez dawnych niewolników, potomków królów Nigerii, Senegalu i Dahomeyu (dziś Benin). Candoblé i Umbanda, rytuały tańców, śpiewu i powrotu duchów, przyswoiło sobie wielu białych intelektualistów w stanie Bahia, prawdziwym „watykanie” starych religii afrykańskich. Wiara w spirytyzm w niczym nie zmienia ich wiary w doktryny katolicyzmu i we wszystkich spisach ludności deklarują się jako rzymscy katolicy. Wobec mądrej polityki Kościoła, który uznał tak zwany synkretyzm religijny, tzn. prawo do wyznawania katolickiej liturgii w wydaniu afrykańskim, wzajemne stosunki są oparte na głębokim szacunku. W tym miejscu, dla nabrania oddechu przy lekturze tak poważnych tematów, mała dykteryjka z Salvadoru, stolicy Bahii. Przed kilkoma laty zawiozłem tam Andrzeja Wajdę, który interesował się twórczością największego powieściopisarza brazylijskiego, Jorge Amado, jednego z wyznawców Umbandy. Wajda chciał otrzymać prawa autorskie na nakręcenie w Polsce filmu opartego na jednej z jego powieści. Amado przyjął Wajdę z otwartymi ramionami, a Wajda miał zapewnione kredyty w Polsce. W swej młodości Jorge Amado był działaczem komunistycznym, ale przed wieloma laty odesłał czerwoną legitymację. Niestety, po powrocie do Warszawy Wajda dowiedział się, że tow. Starewicz z Komitetu Centralnego już wie, że Amado nie jest żadnym ko-

munistą. Kredyty zostały wstrzymane. Książka i film przestały być interesujące.

Ewangelizacja 2000

Niedawno powstał ambitny projekt przeciwstawienia się agresywnej i drapieżnej retoryce zielonoświątkowych pastorów. Projekt pod nazwą „Ewangelizacja 2000”, sformułowany przez amerykańskie i holenderskie zgrupowania katolickie i poparty przez Watykan, ma już w swym posiadaniu fundusz 130 milionów dolarów, które będą zainwestowane w trenowanie laickich katolików w niesieniu słowa Bożego przy najrozmaitszych okazjach, na ulicach, w parkach, w miejscach pracy, wszędzie. Od drzwi do drzwi, dokładnie za przykładem kaznodziejów sekty „Słowa Bożego”. Ten projekt już istnieje w wielu krajach, ale obecnie jego głównym celem jest natychmiastowa ofensywa w Brazylii. Adecio Sartori, odpowiedzialny za projekt, przypomina, że katolicy raczej rzadko spotykają się w kościołach, „a my chcemy zmobilizować armię katolicką w działaniach codziennych, najbardziej nieprzewidywanych”. Rząd poparł prośbę kardynała Jose Feire Falcao, arcybiskupa stołecznej Brasillii, dając mu koncesję radiową, która w swych programach będzie rozwijać nauki ewangelizacji. Nowy program ma być również odpowiedzialny na wersje pastorów „Zgromadzenia Bożego”, którzy przy każdej okazji powtarzają, że „kościół katolicki odpycha biednych ludzi przez swą wspaniałość i że księża katolicy uważają się za wysłanników Boga i dlatego należy ich traktować z szacunkiem, ale zawsze na odległość, podczas gdy nasi kaznodzieje są naszymi bliskimi przyjaciółmi, a nasze świątynie są naszymi domami rodzinnymi”. A na dowód prawdziwości tych słów zawsze dodają, że przecież liczba katolików zmniejsza się z każdym rokiem, a *Crentes* zdobywają coraz większe zaufanie. Krucjata „Ewangelizacji 2000”, będzie trwać dziesięć lat. W tym czasie spodziewa się odzyskania tych, którzy opuścili rzymski katolicyzm, oraz wydatnego zmniejszenia zwolenników Teologii Wyzwolenia. Jest to więc program czysto konserwatywny, a w swym założeniu gigantyczny i polegający na zjednoczeniu wszystkich katolików do roku 2000 i pozyskaniu 51% ludności świata dla Kościoła rzymsko-apostolskiego.

Czy ten plan jest wykonalny? Czy jest wykonalny w Brazylii? Już podniosły się pierwsze głosy ze strony duchowieństwa postępowego, które ocenia „Ewangelizację 2000” jako pomysł nielegalny i szkodliwy, bo wdzierający się kuchennymi drzwiami bez zapytania o pozwolenie gospodarzy. Projektodawcy ewangelizacji odpowiadają: to Teologia Wyzwolenia, mająca na celu

względy polityczne a nie duchowe, jest fałszywa. Aby jeszcze bardziej podnieć opinię publiczną, generalny sekretarz Narodowego Ruchu Obrony Praw Ludzkich, dr Augustino Veit, rzucił dwa oskarżenia: raz, że to jest typowy projekt superkonserwatywny, oparty na wzorach kontrwywiadu, który dziś utracił swe wpływy w Brazylii i chce się „odegrać” na drodze religii, a dwa, że projekt wyraźnie imituje programy zielonoświątkowców w agresywnych metodach.

Oficjalna inauguracja dekady ewangelizacji jest przewidziana na grudzień tego roku, to jest po dziesięciu latach od tysiącletniej rocznicy narodzenia Chrystusa.

Piętrzą się komplikacje

Na zaproszenie brazylijskich organizacji feministycznych przyjechała pani Frances Kissling, lat 45, wierząca katoliczka i gorąca obrończyni prawa do sztucznych poronień. Pani Kissling należy do amerykańskiego zgrupowania pod nazwą „Katolicy z własnego wyboru” (*Catholics for a free choice*). W Sao Paulo wygłosiła parę odczytów, podkreślając w nich, że wierzy w Boga, wierzy w życie pozagrobowe i wierzy niezachwianie w Jezusa Chrystusa, ale jednocześnie rzucając wyzwanie pod adresem Watykanu, domagając się zasadniczych zmian w szkolnictwie i w instytucji małżeństwa i twardo stojąc w obronie prawa kobiet do decyzji narodzenia lub poronienia dziecka. Odbieranie kobiecie prawa do tej decyzji jest grzechem. W Brazylii, gdzie zgodnie ze stwierdzeniem Światowej Organizacji Zdrowia notuje się cztery miliony nielegalnych poronień, głos pani Kissling jest przyjmowany z zainteresowaniem przez pastorów protestanckich, a uważany przez zielonoświątkowców za druzgocący argument wskazujący na hipokryzję w obecnej polityce Kościoła.

Ostatnie wypowiedzi biskupa Macedo są bardziej lekceważące. Atakuje w nich absolutnie wszystkich: Kościół rzymski, Teologię Wyzwolenia, historycznych protestantów oraz afrykańskie rytuały kultów Umbandy i Candoblé. W czerwcu biskup Macedo zorganizował nowe widowisko na plażach Copacabany w Rio de Janeiro. Był to jakby wielki wiec, przygotowujący swych wyznawców do powszechnych wyborów w dniu 3 października. Na ten wiec potrafił zgromadzić ponad 50 tysięcy ludzi, zapelniając cztery kilometry plaży i instalując serię silnych mikrofonów co 200 metrów. Po raz pierwszy wyjawiał nazwiska swych czterech pastorów, którzy będą kandydować do parlamentu i do stanowego sejmiku w Rio de Janeiro. Macedo nie prosił o głosy zgromadzonych na plaży, ale po prostu wezwał ich do oddania głosów na te cztery nazwiska, przypominając im, że

ten wybór daje wszystkie gwarancje zwycięstwa dzięki 300 tysiącom *Crentes*. W swym cynizmie Macedo liczy na co najmniej 50 nowych posłów federalnych i stanowych, którzy będą mieli absolutną wolność w głosowaniu, w imieniu jakiegokolwiek stronnictwa politycznego, od prawicy do lewicy. Wy tłumaczył także, że tego rodzaju rozproszenie partyjne stanowi „wysocę pozytywny element dla naszego kościoła, gdyż chodzi nam przecież o oczyszczenie kraju ze złych wpływów, wykazując solidarność ze strony najrozmaitszych ośrodków politycznych”.

Już teraz, na plaży Copacabany, wydał swym wiernym obowiązującą instrukcję, mianowicie że nie tylko każdy poseł zielonoświątkowy, ale i każdy *Crente* musi przy swych występach publicznych zawsze mieć w rękę Biblię. Wszystkie egzemplarze Biblii będą miały na okładkach wydrukowane hymny, śpiewane w domach modlitwy. W ten sposób Kościół Uniwersalny będzie rozpowszechniany wśród milionów ludzi. Podobne przygotowania są organizowane i w innych stanach, przy czym wyborcom tłumaczy się, że nie muszą upierać się przy namawianiu ludzi do głosowania na kandydatów Kościoła Uniwersalnego, gdyż każdy wyznawca religii Zielonych Świątek jest mile widziany.

W obecnym kongresie *Crentes* posiadają 30 posłów, należących do różnych kongregacji. Mają oni absolutną wolność w pobieraniu decyzji we wszystkich sprawach ustawodawczych z jedynym (niepisanym) zastrzeżeniem wierności dla spraw interesujących zielonoświątkowców.

Historyczni protestanci (luteranie, kalwiniści, metodyści, baptyści i inni) mogą liczyć maksymalnie na 20% wyborców-ewangelików. Ale też nigdy nie brali udziału w wyborach zgodnie ze swą przynależnością religijną, lecz zawsze jako lojalni obywatele biorący udział w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym swego kraju.

Komplikacje pojawiają się także w świecie biskupa Macedo. Komplikacje dotąd niedostrzegalne. Na wniosek naczelnej prokuratury policja federalna rozpoczęła śledztwo w celu przygotowania procesu sądowego przeciw biskupowi i jego 68 pastorom, oskarżając ich na podstawie trzech artykułów kodeksu karnego; z art. 171 (oszustwo), z art. 283 (szarlatanstwo) i z art. 284 (nielegalne uprawianie medycyny). Prokuratura jest już w posiadaniu danych dotyczących działalności Kościoła Uniwersalnego, który w ciągu zaledwie 13 lat swej historii stał się prawdziwym imperium, posiadającym sieć radiową i telewizyjną, własną firmę budowlaną, własną nowoczesną drukarnię i 500 domów modlitwy w Brazylii oraz pięć domów w Stanach Zjednoczonych i jeden w Urugwaju. Ponieważ nieszczęścia zwykle pojawiają się seriami, do dyrektora departamentu podatkowego w ministerstwie

ekonomii wpłynął donos o udziale zielonoświątkowców w nielegalnym przeliczaniu czarnych dolarów za granicę.

Jakby te wszystkie komplikacje nie były wystarczające i nie budziły troski w kurii, trzech łacińskich arcybiskupów stworzyło nowy problem, tym razem z powodu nowego i modnego tańca lambada. Kolumbijski kardynał z Medellin, don Alfonso Lopez Trujillo, zwrócił się do papieża z prośbą o ogłoszenie dokumentu potępiającego ten erotyczny taniec. W dramatycznych słowach kardynał zaklinał papieża: Kościół musi w sposób jasny i nie ulegający wątpliwości wypowiedzieć się przeciw tej manifestacji diabła. Kardynał Trujillo jest członkiem kongregacji Doktryny Wiary, ale nie jest jedynym przeciwnikiem modnego tańca. Don Carlos Gonzalez, przewodniczący konferencji biskupów w Chile oraz don Prospero Penado del Branco z Gwatemali przesłali do Rzymu podobne skargi, a arcybiskup Rio de Janeiro, kardynał don Eugenio Sales, stwierdził, że ten erotyczny i wyuzdany taniec jest przedmiotem jego troski. Wydaje się, że ta zbiorowa akcja nie przyniesie żadnych efektów. Watykan zawsze unikał ograniczania wolności wiernych, a nakazy moralności różnił się w zależności od kraju. Postępowi biskupi brazylijscy przypominają synkretyzm religijny, czyli tolerancję rytuałów afrykańskich, jako najworniejszy objaw takiej wolności. Problem nie jest nowy. Oto w początkach tego wieku argentyński biskup miał się zwrócić do papieża Piusa XI z prośbą o potępienie rozwydrzonego tańca, jakim jest niewątpliwie tango. Papież, który nie znał się na choreografii, miał podobno zaprosić do Watykanu parę argentyńskich tancerzy, którzy zademonstrowali mu podstawowe ruchy tango. Taniec się spodobał i otrzymał wyrok uniewinniający. Brat Betto zareagował pismem, w którym oświadczył, że warto czytać Ewangelię, aby zdać sobie sprawę, że niezliczone grzechy, masowo popełniane, są czymś o wiele groźniejszym od pary tańczącej lambadę. Najprawdopodobniej Jan Paweł II przyjmie taką właśnie interpretację. Świat się zmienia i z każdym nowym pokoleniem zmieniają się obyczaje. Kiedyś w porównaniu z powłóczyстым polonezem oberek czy kujawiak mógł uchodzić za taniec nieprzyzwoity. Dlatego chęć rzucania pod nogi papieża spraw tak błahych nie zasługuje na uwagę.

Wśród wszystkich komplikacji, i tych groźnych i tych błahych, wielki dramat polega na starciu dwóch zasadniczych postaw, czyli na walce między Wiarą i Oszustwem. Być może, że nazywanie tego konfliktu „wybuchem protestantyzmu” jak to czynią uczeni brazylijscy, nie dość wyraźnie określa istotę zagrożenia ze strony sekt religijnych pozostających wyłącznie na usługach biznesu. Te sekty określają się jako kongregacje religijne, należące do „Wierzących Protestantów” czy też *Crentes*, nie są

jednak nimi, gdyż nie opierają się na programach religijnych, rezerwując wiele miejsca dla zagadnień materialnych. Co więcej, cele materialne osiągają przy pomocy religii. Ich wzrastająca siła polega na budzeniu ekstazy i fascynacji obietnicami bliskiej realizacji snów, o jakich marzą wielkie gromady ludzi. Taka jest różnica między sektą i Kościołem.

Crentes nieustannie atakują katolików, protestantów i wyznawców innych wyznań chrześcijańskich, oskarżając ich o „całkowitą obojętność dla codziennych kłopotów i trosk ludzkich”. A więc autorami i aktorami dramatu są ci „wierzący protestanci” zgrupowani w setkach najrozmaitszych i często między sobą konkurujących sekt. Są to ofiary ciemnoty i wyzysku ze strony przywódców. Wierzą w czary i w cuda, które w rzeczywistości napychają kieszenie ich pastorów i kaznodziejów dziesiątkami milionów dolarów. W myśl ich cynicznych nauk Zło można zwalczyć jedynie bogactwem, które wszystkim przyniesie Duch Święty. Wystarczy w niego wierzyć. A za to szczęście należy się hojne wynagrodzenie. Czterdzieści milionów Latynosów, a wśród nich szesnaście milionów Brazylijczyków w to szczęście wierze, modli się, śpiewa hymny oraz oddaje swe ostatnie grosze.

Maciej FELDHUZEN

Rio de Janeiro, w sierpniu 1990 roku

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA STODIECK'S BUCHHANDLUNG

Wydawnictwa w języku polskim. • Beletrystyka, słowniki, przewodniki.

Przekłady na język niemiecki.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

Adres: Richard-Wagner-Str. 39

D-1000 Berlin-10

Tel.: (030) 341 10 40

Metro: Richard-Wagner-Platz

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Po dwumiesięcznej przerwie trudno jest wybrać to, o czym należałoby pisać. Wydarzenia toczą się w oszołamiającym tempie, historia mknie jak oszałały koń, nie wiedzieć dokąd. Takie w każdym razie odnosi się wrażenie przy lekturze sowieckich gazet, czy też — co dziś jest ściślej — gazet wychodzących na terenie ZSSR. Gazet i czasopism jest coraz więcej i nierzadko nazwa „sowieckie” jest dla nich obelgą...

Nie wiadomo, czy nagromadzone przez dwa miesiące wiadomości należy zaliczyć do dobrych, czy do złych. Uchwalono ustawę prasową — fakt niewątpliwie pozytywny, choć ustawa — co też bezsporne — doprowadzi do zmniejszenia liczby nieformalnych publikacji, które zresztą będą musiały się zarejestrować i w ten sposób staną się legalne. Borys Jelcyn wystąpił z partii, a Jegora Ligaczowa usunięto z kierownictwa partyjnego. Generał KGB Kaługin został pozbawiony tytułu i odznaczeń, ale jest kandydatem w wyborach deputowanych ludowych. Deputowany RSFSR Wiktor Mironow zebrał 50 podpisów, niezbędnych do wdrożenia postępowania parlamentarnego, i zażądał zbadania sprawy obalenia „prawomocnego rządu demokratycznej Republiki Syberyjskiej w 1917 r. i roli w wydarzeniach lat 1917-1918 partii bolszewickiej z W.I. Leninem na czele”. Prezydent ZSSR przywrócił Aleksandrowi Zinowiewowi, Władimirowi Maksimowowi i Żoresowi Miedwiediewowi obywatelstwo sowieckie. I tak dalej... Nie komentuję tych wiadomości, pozostawiam osąd czytelnikom.

Ocena ekonomicznej sytuacji Związku Sowieckiego nie budzi żadnych wątpliwości: jest ona z dnia na dzień gorsza. Wyniki pierwszej połowy 1990 roku nie dają powodów do radości. „Odrodzenie gospodarcze nie miało miejsca — stwierdza melancholijnie TASS. — Kryzys gospodarki narodowej pogłębił się”. Następują liczby: produkcja spadła o 1%, wydajność pracy o 1,5%, budownictwo mieszkaniowe o 6% itp. W tym samym okresie odnotowano 8 milionów bezrobotnych, a strajki wyniosły 10 mln dni roboczych...

Gospodarce socjalistycznej, jak zły baletnicy, szkodzi nawet rąbek u spódnicy. Opatrzność sprowadziła tego lata na ZSSR urodzaj, jakiego dawno nie było. Z góry jednak wiadomo, że ze spodziewanego zbioru ok. 300 mln ton zboża co najmniej 40 mln ton przepadnie — chłopi nie zdążą zebrać, a na to, co zbiorą zabraknie silosów itd. Przepadnie też bogaty urodzaj jarzyn i owoców. Rząd — jak zwykle — zwrócił się do obywateli z apelem o pomoc — mają jechać na wieś pomagać w zbiorach. Ale urodzaj przepadał i dawniej, tak jak przepadnie dziś. Przecież istota systemu — mimo morza słów — pozostała ta sama. Nikt np. nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego na początku sierpnia zniknęły nagle z kiosków sowieckich papierosy. Ścisłej mówiąc, wyjaśnienia płyną szeroką strugą, jedno bardziej przekonywujące od drugiego, a papierosów jak nie było, tak nie ma. W wielu miastach wybuchają prawdziwe „bunty papierosowe” pod hasłem: „Partio, daj zapalić!”

Kiedy piszę, że istota systemu się nie zmieniła, mogę powołać się na autorytatywne oświadczenia ekspertów, którzy jeszcze wczoraj niezłomnie weń wierzyli, a dziś uporczywie powtarzają, że nastąpił krach, ponieważ system się nie zmienił. Członek-korespondent Akademii Nauk ZSSR Siergiej Aleksiejew podsumował XXVIII zjazd partii: zjazd pominął milczeniem „najważniejsze, kluczowe zagadnienie systemu — kwestię własności”. Akademik twierdzi: „Nadal niepodzielnie panuje absolutnie scentralizowana, monopolistyczna własność państwowa, znajdująca się w niekontrolowanym władaniu centralnych, republikańskich i regionalnych... urzędów i struktur”. Po czym objaśnia: bez likwidacji własności państwowej nie może powstać rynek, niemożliwa jest zatem radykalna reforma gospodarki (*Sowietskaja kultura* z 21.7.90). Jurij Czerniczenko, znany dziennikarz, w swoim czasie korespondent *Prawdy* i znawca gospodarki sowieckiej, obecnie deputowany ludowy pisze: „Potrzebna jest prywatna własność ziemi, niezależna partia chłopska... rynek, ustawy antymonopolowe, akcje...” Jurij Czerniczenko pisze to w zbiorze „Przez ciernie”, wydanym w Moskwie w lipcu 1990. Około dwu lat temu ukazał się pierwszy zbiór z tej serii pt. „Innego wyjścia nie ma”. Gorący zwolennicy *pieriestrojki*, liberalni dziennikarze, historycy, pisarze i ekonomiści zapewniali, że „jawność, demokracja, socjalizm” wyprowadzą — pod przewodnictwem M.S. Gorbaczowa — kraj z kryzysu. Dziś, dwa lata później, liczni autorzy pierwszego zbioru odnaleźli się w drugim z ponurym przekonaniem, że *pieriestrojka* się nie udała, Gorbaczow nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Wasilij Sielunin, najbardziej kompetentny z „lewicowych” ekonomistów, domagających się stworzenia prawdziwego rynku, nazywa generalnego sekretarza i prezydenta „wielkim mistrzem kompromisu” i dodaje: „bezpłodność pozycji centrowej wyszła na jaw w przeobrażeniach gospodarczych wcześniej niż w innych dziedzinach”.

Dnia 27 lipca odbyło się na Kremlu — by użyć oficjalnej nazwy — „robocze spotkanie prezydenta Gorbaczowa z dziennika-

rami i uczonymi, zajmującymi się problemami gospodarki...” Na dwa elementy tego spotkania należy zwrócić uwagę. Po pierwsze, na Kreml zaproszono „lewicowców”, w tym wspomnianych wyżej J. Czerniczenkę, W. Sielunina a także N. Szmielewa, I. Klamkina i innych. Po drugie, trzech uczestników zrelacjonowało przebieg spotkania słuchaczom radia Swoboda, przy czym Sielunin i Klamkin zrobili to ze studio w Monachium, a Anatolij Strielanij nadał swoją relację przez telefon ze swojego moskiewskiego mieszkania. Tekst relacji ukazał się w paryskiej *Russkoj mysli* (10.8.90).

Wypunktuję z długiej rozmowy (prezydent przetrzymał gości pięć godzin bez obiadu) to, co wydaje mi się najistotniejsze. Przede wszystkim stwierdzenia Igora Klamkina: „W gruncie rzeczy w naszych strukturach politycznych dominuje jedna siła... Realnie dominuje aparat partyjny ze swoimi grupowymi korporatywnymi interesami. Czym jest zjazd deputowanych ludowych? Dominacją interesów aparatu partyjnego. A więc aparat partyjny nie rządzi, ale będąc w rzeczywistości najpotężniejszą siłą polityczną... zachował sprężynę wpływu na kształtowanie organów wybieralnych”.

Wszyscy uczestnicy spotkania mówili o tym, że rząd Ryżkowa powinien pójść do dymisji, ponieważ zaproponowany przezeń program gospodarczy jest tylko pozorem reformy. A. Strielanij powiedział, że rzecz nawet nie w samym Ryżkowie: „zapowiedziany przewrót (Strielanij zdaje się weń wierzyć — A.K.) powinien być dziełem nowego człowieka, nowej ekipy, niezwiązanej z błędami i porażkami przeszłości”. Igor Klamkin, mistrz celnych sformułowań powiedział prezydentowi: „Istnieje coś takiego jak czas polityczny, który nie jest rozciągliwy. Polityczny czas rządu Ryżkowa upłynął. Przedłużać go można tylko kosztem czasu prezydenta, który też nie jest rozciągliwy”. Ktoś z obecnych na sali opowiada: „Gorbaczow zmilczał, nie odpowiedział ani słowem, tylko na moment zastępnął mu twarz”.

W odpowiedzi na argumenty zwolenników rynku Gorbaczow streścił artykuł z *Sowietskaj kultury* o Polsce: bardzo ciężka sytuacja, bezrobocie, wzrost cen, spadek produkcji, niezadowolenie ludności. Wasilij Sielunin przyznaje, że nieuprzejmie przerwał prezydentowi w pół słowa, mówiąc, że był w Polsce i może stwierdzić że jest wielka inflacja i wysokie ceny. Z jego punktu widzenia jednak najważniejsze jest to, że Polakom udało się nasycić rynek towarami.

Szczególnie ciekawe były chyba wypowiedzi Gorbaczowa o jego nadziejach i zamiarach. W centrum gorbaczowskiej strategii leży zachodnia pomoc dla Związku Sowieckiego (nie jest to żadne odkrycie, widać to gołym okiem). Przez wszystkie minione lata — mówił zebranym prezydent — starałem się przekonać „głównych właścicieli świata”, „główne osobistości polityczne”, z którymi (nie licząc Japończyków), zdołałem znaleźć wspólny język, że „głębokie przekształcenie Związku Sowieckiego w normalne państwo jest nie mniej potrzebne Zachodowi jak nam samym, ani o jeden procent mniej”. Prosił Zachód o „niewielkie sumy”, 20 mld dolarów, „aby

zatkać największe dziury, uspokoić naród". Gorbaczow uważa, że Amerykanom, Niemcom, Japończykom nie żal pieniędzy, tylko po prostu „nie udało się dotąd zdobyć ich zaufania”. Usiłował postraszyć Busha przez telefon: „Możemy się bez was obejść, ale wówczas trzeba będzie przykreć śrubę, zwolnić rytm *pieriestrojki*, tak że jeśli chcecie, aby sprawę toczyły się szybko, zmieńcie stanowisko”. Prezydent poinformował zebranych, że we wrześniu przyjedzie do Moskwy Baker z gronem ekspertów przypatrzeć się, „jaką to reformę wysiedzieliśmy”.

I wreszcie pytanie, które zadawali sobie zebrani: po co nas wezwał? Widzieli doskonale, że Gorbaczow nie zamierza obrać kursu na lewo. W takim przypadku zaprosiłby mera Leningradu Sobczaka, mera Moskwy Popowa, Jelcyna — działaczy politycznych. Tymczasem wezwał ludzi pióra, propagandystów, którzy tłumaczą narodowi sens sytuacji ekonomicznej w kraju. Gorbaczow tłumaczył swoje zaproszenie tym, że zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakim jest dla *pieriestrojki* niezadowolenie narodu. Uprzedził też, że o wszystkim zadecydują najbliższe miesiące i nie chciałby rozłamu w „ośrodku lewicy”.

Michaił Gorbaczow, jak zwykle, troszczy się szalenie o naświetlenie jego poczynań w mass-mediach. Kierowanie propagandą jest dziś nieco bardziej skomplikowane niż w szczęśliwych czasach, kiedy wystarczały dyrektury KC, ale wciąż jest możliwe. Być może dzięki ilości partii i nieformalnych grup. Londyński *Economist* (26.5.90) opublikował krótki „Przewodnik po sowieckiej demokracji”. Wymienione są w nim najważniejsze zarejestrowane partie. W tym miejscu należy zrobić zastrzeżenie, którego nie robi autor „Przewodnika”, mianowicie że mowa tu o partiach założonych w Rosji, choć niewykluczone, że niektóre z nich mają komórki w innych republikach.

Konfederacja anarcho-syndykalistyczna. Założona w maju 1989. 1 tys. członków. Bez przywódców. *Partia demokratyczna*. Założona w styczniu 1989 r. 2 tys. członków. Przywódcy: Lew Ubożko, Rostosław Siemionow. *Prawosławna partia konstytucyjno-monarchistyczna*. Założona 19 maja 1990 (w dniu urodzin Mikołaja II). Liczba członków nieznana. Przywódcy: C. Jurkow-Engelhardt, Nela Murawiowa. *Partia konstytucyjno-demokratyczna*. Założona w maju 1990. Członków 500. Przywódca: Leonid Podolskij. *Liberalni demokraci*. Założona w marcu 1990. 3-4 tys. członków. Przywódca: Władimir Żyrynowskij. *Partia wolnej pracy*. Założona w lutym 1990. Liczba członków nieznana. Przywódca: Igor Korowikow. *Związek chrześcijańsko-demokratyczny*. Założony w kwietniu 1989. 2,5 tys. członków. Przywódca Aleksander Ogorodnikow. *Rosyjska Kompartia w KPSS*. Założona w styczniu 1990. 2 tys. członków. Przywódcy: Borys Gidaspow, Nina Andriejewa. *Partia socjalistyczna*. Zjazd założycielski w czerwcu 1990. 1 tys. członków. Przywódcy: Borys Kagarlickij, Władimir Makonow, Lew Wołowik. *Związek demokratyczny*. Założony w maju 1988. 2 tys. członków. Przywódców nie ma. *Rosyj-*

ski front narodowy. Założony w grudniu 1988. Ok. 40 tys. członków. Przywódcy: Władimir Iwanow, M. Skurlawtow. *Socjal-demokratyczna partia Rosji*. założona w maju 1990. 5 tys. członków. Przywódcy: Oleg Rumiancew, Nikołaj Titow. *Marksistowska platforma KPSS*. Założona w kwietniu 1990. Liczba członków nieznana. Przywódcy: Jegor Ligaczow, Wadim Bakatin. *Zjednoczony front robotniczy*. Założony w październiku 1989. Ponad 5. tys. członków. Przywódca: Wieniamin Jarin. *Demokratyczna platforma KPSS*. Założona w styczniu 1990. 500 tys. członków. Przywódcy: Wiaczesław Szostakowski, Gawrił Popow, Borys Jelcyn. *Rosyjska partia narodowa*. Powstał komitet organizacyjny. Przywódcy: Nikołaj Trawkin, Jurij Afanasjew.

Przeczyłem listę w całości, bo mówi ona sama za siebie. Nie figurują na niej grupy parlamentarne typu Grupy Międzyregionalnej, a także Stowarzyszenie *Pamiat'*, które przedstawiło swoich kandydatów na wyborach, ale nie zarejestrowało się jako partia.

Michaił Gorbaczow szuka poparcia, gdzie tylko może. Poprzedni przegląd zakończyłem wiadomością o ogłoszeniu w *Prawdzie* wywiadu z Aleksandrem Zinowiewem. Zacytowałem m.in. proctwo pisarza i logika: „Nie wyobrażam sobie Rosji innej niż sowiecka”. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. 30 czerwca pojawiła się w *Izwiestiach* wiadomość: „celem usunięcia niesprawiedliwości, jakiej dopuszczono się w stosunku do pewnych osób, pozabawionych obywatelstwa sowieckiego, kierując się humanizmem i dobrą wolą, prezydent ZSSR rozpatrzył propozycję Komisji d/s obywatelstwa i uchwalił przywrócenie obywatelstwa ZSSR pisarzom Aleksandrowi Zinowiewowi, Władimirowi Maksimowowi i Żoresowi Miedwiediewowi. Badania materiałów dot. przywrócenia obywatelstwa trwają”.

„Humanizm” i „dobra wola” władzy sowieckiej objęły dotychczas Mścislawa Rostropowicza, Galinę Wiszniewską i Jurija Lubimowa. Zapłata dla Żoresa Miedwiediewa (trudno inaczej nazwać gest Gorbaczowa, który bardzo selektywnie naprawia wyrządzone niesprawiedliwości) jest więcej niż zasłużona. Andriej Sacharow opisywał w swych wspomnieniach m.in., jak Żores Miedwiediew organizował na Zachodzie kampanię protestu przeciwko kandydaturze Sacharowa do pokojowej nagrody Nobla. Trudniej natomiast wytłumaczyć, dlaczego wyróżniono dwóch — wydawałoby się — najbardziej aktywnych i konsekwentnych przeciwników komunizmu. Aleksander Zinowiew i Władimir Maksimow z uporem podkreślają, że nie prosili o przywrócenie obywatelstwa sowieckiego. Nie ma powodu, aby im nie wierzyć. W wywiadzie dla radia „Swoboda” Zinowiew oświadczył, że wiadomość go zaskoczyła: „Muszę przyznać, że była to radosna niespodzianka. Uważam te decyzje za przyznanie, że nie byłem wrogiem mojego narodu i nie popełniłem wobec niego żadnego przestępstwa... Myślę, że decyzja ta jest pierwszym krokiem na drodze mojego powrotu do sowieckiej kultury, do rosyjskiej kultury...” (*Russkaja mysl* z 6.7.90). Autor „Przepast-

nych wyżyn” wylicza swoje zasługi i m.in. przypomina: „... Stworzyłem w swoim czasie oryginalną szkołę logiczną... Specjaliści na pewno o tym dobrze wiedzą”. Mnie, nie będącemu specjalistą, trudno zrozumieć logiczną konieczność tego, aby wola prezydenta ZSSR decydowała o tym, czy książki jakiegoś pisarza zawierają, czy nie zawierają elementów przestępstwa, i czy pisarz (muzyk, malarz) należy czy nie należy do kultury. Władimir Maksimow w odpowiedzi na pytania wysłannika „Swobody” oświadczył, że przywrócenie mu obywatelstwa sowieckiego nie zmieni niczego ani w jego życiu, ani w treści redagowanego przezeń czasopisma *Konty-nent* (*Russkaja mysl* z 13.7.90)

Zdenek Mlynar, jeden z przywódców partii czechosłowackiej w epoce Praskiej Wiosny, a potem emigrant, udzielił niedawno wywiadu *Prawdzie* (jak wszyscy, chciałoby się powiedzieć). Był członkiem Biura Politycznego KPCz napisał w swoim czasie wspomnienia pod poetyckim tytułem „Od Kremla zimnem wieje”. Wywiad w *Prawdzie* zatytułowany jest „... Znam zimno i ciepło Kremla”. Jak tu nie pozazdrościć ludziom, którzy wszystkiego zaznali...

Adam KRUCZEK

12.8.1990

Rozmowa z Litwinem

P.: — *Dość dużo mamy na Zachodzie wiadomości na temat blokady ekonomicznej Litwy, lecz ciekawią nas restrykcje związane z możliwością wyjazdu poszczególnych osób z Litwy. Czy Pan ma paszport litewski czy sowiecki, a jeśli sowiecki, to kto go wydaje?*

L.: — Paszport wydały mi władze Republiki Litewskiej, lecz jest to paszport sowiecki. O wydaniu paszportu i wizy wyjazdowej decyduje wyłącznie rząd litewski, jak dotychczas, te dokumenty są honorowane przez władze sowieckie. Nie miałem problemów na lotnisku w Moskwie, choć odmówiono mi prawa zakupu dewiz za ruble. Przejazd z Wilna do Moskwy nie podlega restrykcjom. Mogę przejechać z Kowna do Władywostoku bez problemów, pojechać na Łotwę czy do Estonii. Trudniej było z dostaniem wizy do Grecji, na którą musiałem czekać dość długo.

P.: — *Jeśli władze regionale litewskie wydają paszporty i są one*

respektowane, to znaczy, że rząd litewski aktualnie sprawuje władzę.

L.: — Tak, choć sytuacja jest ambiwalentna. Np. z Moskwy został przysłany prokurator, lecz wszyscy, którzy powinni mu podlegać, odmówili posłuszeństwa. Prokurator, mianowany przez prezydenta Landsbergisa, musiał się przenieść do innego budynku, lecz to on wykonuje swoje obowiązki przy pomocy podległego i lojalnego mu personelu.

Wiele budynków jest okupowanych przez armię czerwoną, lecz z tego nie mają żadnych korzyści, bo np. w okupowanej drukarni partyjnej nie można wydawać żadnych czasopism, bo personel odmówił wykonania rozkazów. Prasa litewska, niezależna od dyktatów Kremla, wychodzi normalnie choć ma trudności z dostawami papieru gazetowego. Problem został rozwiązany w ten sposób, że wysokojakościowy papier używany normalnie na encyklopedie sowieckie a produkowany na Litwie, po odpowiedniej przeróbce został skierowany na druk czasopism.

Porządek jest utrzymywany przez milicję podporządkowaną prezydentowi. Był moment, że wielu krasnoarmiejców zostało poprzebieranych w mundury milicji, lecz natychmiast poznano ich po butach. Teraz niektórzy żołnierze sowieccy są ubrani po cywilnemu i rząd litewski przestrzega ciągle przed prowokacjami.

Na każdym kroku widzi się żołnierzy sowieckich w mundurach i ocenia się, że jest ich około 300 tys. Zdarza się, że przyjaźnie traktowani przez Litwinów, łącznie z wciąganiem ich do wspólnych zabaw, nie zdają sobie w ogóle sprawy, po co ich przysłano na Litwę.

Mimo tej ilości wojska, administracja i normalne funkcjonowanie urzędów należą ściśle do władz litewskich. Wyjątek stanowią niektóre fabryki, które są zarządzane bezpośrednio z Moskwy.

P.: — *Wobec blokady ekonomicznej przez zmniejszenie dostaw gazu i przerwanie dostaw ropy naftowej i wielu surowców, czy Litwa nie może wstrzymać również dostaw do Rosji niektórych artykułów produkowanych na Litwie?*

L.: — Początkowo nie chcieliśmy tego robić, aby nie zaognić bardziej sytuacji. Dalej nie ograniczamy transportu do enklawy sowieckiej w Królewcu. Przestaliśmy jednak dostarczać mięso i inne produkty, lecz te pociągnięcia są raczej konsekwencją polityki sowieckiej, a nie naszą chęcią odwetu. Litwa może się wyżywić zupełnie dobrze bez pomocy zza granicy czy innych republik sowieckich, a w tym okresie roku ogrzewanie mieszkań nie jest potrzebne. Efekt jest taki, że na Litwie mamy mięso, a

w Moskwie go nie ma. Poza tym wstrzymanie dostaw np. kompresorów produkowanych prawie wyłącznie na Litwie, bardzo ujemnie wpłynęło na całą gospodarkę sowiecką.

Mamy już sporo bezrobotnych z powodu zamknięcia fabryk i rafinerii, lecz społeczeństwo dzieli się z nimi poborami. Sam premier oddaje co miesiąc połowę swojej pensji na rzecz zwolnionych z pracy.

P.: — *Ostatnie wiadomości radiowe są przerażające, bo rząd litewski ogłosił, że jest zmuszony do zamknięcia wszystkich elektrowni opalanych ropą naftową.*

L.: — Brak paliwa bardzo dezorganizował nam transport, ale ludność daje sobie radę, bo z samochodów przesiadła się na rowery.

Na Niemnie jest elektrownia wodna, niestety o małej mocy 90 MW, natomiast elektrownia atomowa ma około 1200 MW i dostarcza energii elektrycznej na Łotwę, do Estonii i innych republik. Jak się rozwiąże ten problem, nie wiem, lecz ludność jest zdeterminowana do poświęceń.

P.: — *Czy władze litewskie mają podobne podejście?*

L.: — O anulowaniu deklaracji niepodległości mowy nie ma. Sajudis wygrał wybory na platformie ogłoszenia niepodległości. To był właśnie rodzaj referendum, którego żąda Kreml. Na pewno, gdyby zarządzono referendum, ludność opowiedziałaby się w absolutnej większości za niepodległością, lecz zaszkodziłobyśmy Łotwie i Estonii, które mają poważne trudności z dużą ilością napływowej ludności rosyjskiej, choć na pewno część Rosjan głosowałaby za niepodległością tych krajów. Sajudis jest popierany przez 50% Rosjan.

P.: — *Lecz Polacy często są przeciw odłączeniu się Litwy od ZSSR.*

L.: — Tak, ale mały procent. Polskiej inteligencji jest na Litwie mało, a chłopstwo, słabo wykształcone i z brakiem rozeznania, i w dodatku, które będzie zmuszone do nauczenia się języka litewskiego, jest ustosunkowane negatywnie. Niemniej 70% Polaków popiera Sajudis. Trudno wymagać jednomyślności, więc nie mamy żalu do ogółu Polaków, także do stanowiska mniejszości polskiej. W czasie ostatniej wizyty w Wilnie Geremek dostał długie brawa po wygłoszeniu referatu. W południowej części Litwy można zupełnie dobrze odbierać program telewizyjny

polskiej. Widzieliśmy w niej pierwszomajowy incydent na Placu Czerwonym, jak Gorbaczow uciekał z trybuny, choć ten fragment telewizja sowiecka obcięła. Dzięki telewizji rozumiem po polsku, choć mówię słabo. Sprawa języka jest dość kardynalna, bo nie wiadomo jak będzie z ruchem niepodległościowym na Białorusi. Na Litwie większość zna litewski, na uniwersytetach prowadzi się wykłady po litewsku, a dzieci Polaków, które nie znają litewskiego zmuszone są do uczęszczania na ograniczoną ilość wykładów w języku rosyjskim. Język białoruski nie jest wystarczająco rozwinięty i nie jest na tyle powszechnie znany, aby był czynnikiem łączącym ludność Białorusi. Sytuacja na Ukrainie jest o wiele lepsza, bo ruchy niepodległościowe są dość zaawansowane, a Kościół unicki jest dość dobrze zorganizowany.

P.: — *Czy popiera ogłoszenie niepodległości na Litwie?*

L.: — Część zachodnia Ukrainy bezwzględnie tak, lecz część wschodnia jest albo niechętna, albo obojętna. W części zachodniej od dawna istnieje szeroko rozbudowane podziemie unickie z dużą liczbą tajnych seminariów. W tej chwili na Litwie są dwa seminaria, do których mogą uczęszczać Litwini i Polacy. Powołań jest bardzo dużo. W Rydze jest seminarium z językiem wykładowym rosyjskim. Ponieważ były trudności w dostaniu się do seminariów katolickich, utworzyło się dużo nielegalnych. Seminarzyści pracowali w fabrykach, lecz większość czasu spędzali na studiowaniu. Mój znajomy ksiądz przygotował do wyświęcenia dwudziestu księży. Gdy kiedyś na przesłuchaniu oznajmiono mu, że jego działalność jest nielegalna, odpowiedział, że propagandę prowadzili również komuniści.

Życiorys tego księdza jest dość typowy. W 1949 roku został aresztowany i skazany na 20 lat więzienia za to, że był szpiegiem Watykanu. Po śmierci Stalina zmniejszono mu karę do 10 lat, lecz 3 dni przed zwolnieniem — tak jak to było wtedy w normie — skazano go powtórnie na 15 lat. W 1956 roku został zwolniony ze stwierdzeniem prokuratora, że siedział o 6 lat za długo. Ostatnio został zrehabilitowany przez prokuratora litewskiego lecz na wniosek Moskwy. Znał Wyszyńskiego i dwa razy był na audiencji u papieża, który zapytał go, czy ma dla niego znaczenie fakt, że obecny papież jest z Polski. Odpowiedział, że bezwzględnie tak, bo zna problemy tego bloku. W rewanżu zapytał, czy papież nie ma jakichś związków z Litwą, bo nazwisko Wojtyła-Wojdyła ma jakieś powiązania litewskie. Jan Paweł przyznał, że ma trochę krwi litewskiej po babce.

P.: — *Są plany wizyty papieża na Litwie. Czy są szanse, aby odwiedził również Łotwę i Ukrainę?*

L.: — Ukrainę tak, specjalnie ze względu na rozwój sytuacji dotyczącej unitów, lecz Łotwa nie miała i nie ma tak silnego Kościoła, a poza tym jest on ostrożny i nastawiony do Moskwy dość służalczo. Trochę lepsza jest sytuacja z hierarchią Kościoła prawosławnego na Litwie. Nowy zwierzchnik tego Kościoła oświadczył, że musi być lojalny w stosunku do Litwy. Sam rząd litewski daje zupełnie wolną rękę Kościołowi, a nawet ustalił, że do parlamentu powinno wejść, bez konieczności kandydowania w wyborach, siedmiu księży, w tym jeden prawosławny i reszta katolickich. Obecnie jest w budowie na Litwie 16 nowych kościołów. Na miejscu Komsomołu, który z dnia na dzień przestał istnieć, powstało wiele związków młodzieżowych łącznie z harcerstwem. Na Białorusi dużo kościołów zostało oddanych parafianom, lecz odczuwa się poważny brak kleru. Księżom na Litwie, którzy jadą na Białoruś, jest trudno wygłaszać kazania dla miejscowych Polaków, bo o ile starsi mówią jeszcze po polsku, to młodzież mówi już tylko po rosyjsku.

Na Litwę dostarczono ostatnio 150 000 Biblii *via* Polska.

P.: — *Stosunek do Kościoła uległ ostatnio dużej zmianie na terenie całego ZSSR, kontakty omal że dyplomatyczne, co może być powodem takiej zmiany?*

L.: — Nie można posądzać Kremla o jakieś przesłanki ideologiczne, po prostu chodzi o propagandę i kuszenie Zachodu. Gdy żołnierze sowieccy wdarli się do szpitala w Wilnie, aby aresztować „dezertorów”, podeptali flagę Czerwonego Krzyża. Było straszne zażenowanie w Moskwie, bo zdjęcia i filmy z tych ekscesów poszły w świat. Zażądano opuszczenia Litwy przez dziennikarzy, lecz Waszyngton zapowiedział, zgodnie z logiką dyplomatyczną (Litwa to jeszcze ZSSR), że w odpowiedzi zażąda wycofania wszystkich dziennikarzy rosyjskich ze Stanów. Zarządzenie anulowano, zresztą rząd litewski na swój sposób rozwiązał tę sprawę, dając wszystkim dziennikarzom pochodzenia litewskiego paszporty litewskie, ściślej sowieckie, wydane przez Litwę. Stąd wiadomości, co dzieje się na Litwie, rochodzą się na cały świat ku utrapieniu Zachodu, który o wielu rzeczach nie chce wiedzieć. My zresztą nie liczymy na Zachód, bo dla Busha najważniejszą rzeczą jest, aby móc robić spotkania na szczycie, a jak będzie chaos spowodowany reakcją łańcuchową wszystkich republik dążących do otrzymania wolności, to taką okazję straci. Namibia ma prawo do niepodległości, bo łatwo i bezpiecznie to

popierać, lecz Litwę można poświęcić, bo ważniejsze są rozmowy z Gorbaczowem. Zachód nie potrafi sobie wyobrazić bałaganu i głodu jaki panuje w Rosji i tego, że ZSSR jest już w stanie ostatecznej agonii, którą Zachód usiłuje przedłużyć za wszelką cenę. Zachód nam nie pomoże, jest wygodny i za bardzo podsyty tchórzostwem, liczy więcej na zmiany w samej Rosji.

P.: — *Informacje zachodnie są bardzo nieprecyzyjne, raz twierdzą, że Gorbaczow żąda unieważnienia, potem zawieszenia, a w rzeczywistości chodzi mu o anulowanie deklaracji o niepodległości. Gdy parlament uchwalił, że zawiesi na jakiś czas ustawy wydane na podstawie statusu niepodległości Litwy pod warunkiem, że rozpoczną się negocjacje, prasa i radio zbyły ten warunek milczeniem lub nie sprecyzowały wyraźnie o co chodzi. Jakie jest aktualne stanowisko rządu?*

L.: — Są pewne różnice w samym rządzie, przy czym trzeba zaznaczyć, że elita składa się z pełnych poświęcenia i wysoko kwalifikowanych osób. Prezydent Landsbergis, wywodzący się *nota bene* z polskiej rodziny szlacheckiej, stoi twardo przy deklaracji niepodległości i stosowaniu konstytucji litewskiej a nie sowieckiej na terenie Litwy, bez względu na konsekwencje. Wierzy, że obywatele litewscy swoją determinacją osiągną to, co zamierzają, a więc pełną suwerenność. Nie jest przekonany, aby poważniejsze ustępstwa mogły poprawić sytuację ekonomiczną, a więc odblokowanie portów morskich, których strzeże marynarka sowiecka i powrót do normalnej wymiany towarowej itd. Premier Litwy, pani Prunskiene, wierzy natomiast w możliwość jakichś układów i ma nadzieję, że może wpłynąć na zmianę stanowiska Zachodu w sprawie litewskiej. Na razie kontakty z państwami skandynawskimi, Bushem i Mitterrandem nie przyniosły pozytywnych wyników. Ci mężowie stanu dalej obsesyjnie są zachwyceni Gorbaczowem, a Kohl boi się, że może się on sprzeciwić zjednoczeniu Niemiec. Niewykluczone, że najbardziej konkretny w sprawie niepodległości byłby sam Gorbaczow, gdyby nie sowiecka klika wojskowa.

P.: — *Zgoda na waszą niepodległość musi kiedyś przyjść, lecz zostaje pytanie, kiedy w końcu nastąpi wyzwolenie spod okupacji sowieckiej?*

L.: — Nigdy dobrowolnie nie przyłączyliśmy się do Związku Sowieckiego i to jest okupacja. Nie musimy więc prosić o wystąpienie zgodnie z konstytucją ZSSR, tym bardziej, że paragrafy dotyczące warunków oderwania się zostały uchwalone po

naszej deklaracji niepodległości. Nie ma kraju, który by stosował prawa retroaktywnie.

Jak dalej potoczą się wypadki, nikt z nas nie wie. Czy nasza ekonomia załamie się do tego stopnia, że nie będziemy mogli przeżyć, też nie wiemy. Jedno jest pewne, że olbrzymia większość społeczeństwa popiera deklarację niepodległości.

List z Berlina

Samo życie zmusza niemieckich polityków do nagłej korektury starego kalendarza zjednoczeniowego. Decyduje o tym nie polityka, bo ta nie ma się czego wstydzić. Dotychczasowe tempo rokowań politycznych zarówno wewnątrzniemieckich jak też z aliantami i z Polską odbywało się bez komplikacji i pozwalało utrzymywać tempo, które było przewidziane w ogólnym politycznym rozkładzie jazdy aż do końcowej stacji — zjednoczenia Niemiec. Ale te uporządkowane szyki zburzyła ostatnio gospodarka. Okazało się, że nawet w tak solidnie zorganizowanym społeczeństwie jak NRDowskie czkawka pokomunistyczna jest poważniejsza, niż to sobie wyobrażali teoretycy połączenia obydwu systemów gospodarczych po wprowadzeniu marki zachodniej. Ta siła napędowa nie zdołała pokonać ani trudności strukturalnych, ani zmienić nagle mentalności ludzkiej, obciążonej kompleksami komunistycznego etatyizmu i zglajchszaltowania albo używając żargonu wschodniego, „urawniłowki”. W Niemczech Wschodnich mimo bliskości kapitalizmu i silnych wpływów zachodnich mass-mediów, zwłaszcza telewizji — recydywa etatyizmu i oglądanie się na interwencję władz zamiast rozwijania własnej inicjatywy, są nawet — jak się obecnie okazuje — silniejsze niż na przykład w Czechosłowacji czy na Węgrzech. Nie zapominajmy, że tu etatyizm rozpoczął się nie od planowej gospodarki komunistów, lecz od planów państwowych wprowadzonych już w 1934 roku przez Göringa.

I jest jeszcze jeden ważny czynnik psychologiczny. Z NRD w ciągu dziesiątków lat uciekło na Zachód wiele tysięcy najzdolniejszych ludzi, a na miejscu pozostało zbyt dużo ludzi pasywnych, opieszłych i nierozgarniętych. To jednak nie jest zasadniczym elementem powstałej nagle katastrofalnej sytuacji gospodarczej, która wymaga radykalnych środków zapobiegawczych w postaci niezwłocznego albo rychłego zjednoczenia oby-

dwu państw niemieckich. Doszło do tego sporo innych czynników. Zbyt wielkie nadzieje przywiązywano do automatycznego przeniesienia cudu gospodarczego z Zachodu na Wschód. Okazało się, że były to iluzje.

Dalszym elementem powstałej sytuacji, grożącej nagłym kolapsem gospodarczym, jest przeliczenie się w ocenach napływu kapitału zza Łaby. Wbrew pochopnym sądom dziennikarskim i poczciwym nadziejom obydwu Kościołów, ewangelickiego i katolickiego, na temat patriotyzmu i ofiarności wielkiego pieniądza zachodniemieckiego, rzeczywistość temu zaprzeczyła w kategorięczny sposób. Po krótkiej euforii, a nawet pewnego otwarcia kies, nastąpił nagły impas. Potok kapitałów ustał, gotowość do przejmowania i sanacji podupadłych koncernów państwowych zanikła, a to znowu wpłynęło ochładzająco na zamiary przedsiębiorców zagranicznych.

Wszystko to doprowadziło do obecnego kaca. Strategia zjednoczeniowa stanęła w obliczu konieczności przyspieszenia wszystkich trzech terminów, a mianowicie aktu połączenia, wyborów do landów w NRD i wreszcie pójścia do urn celem wybrania ogólnoniemieckiego parlamentu. Chadecy znad Renu, Izary i Szprewy poszli na ten kurs wiedząc, że piętrzące się trudności gospodarcze mogłyby po dłuższym upływie czasu zagrozić oczekiwaniu zwycięstwu. Wiedzą o tym oczywiście też socjaldemokraci i usiłują zwolnić tempo strategii przyspieszania terminów. Toczy się więc jeszcze dodatkowo wewnętrzno-partyjna walka przedwyborcza.

Przyglądają się temu zwycięzcy z drugiej wojny światowej, wciąż jeszcze sprawujący suwerenną władzę w Berlinie. Patrzą na ten dramatyczny niemiecki letni teatr polityczny w milczeniu i nie odważają się dopingować czy powstrzymywać żadnej ze stron. Są milczącymi statystami. Zresztą w poufnych rozmowach coraz częściej zadają sobie pytanie, jak długo jeszcze pozostaną tutaj nad Szprewą i do czego wrócą w domu.

BERLIŃCZYK

UCHWAŁA SENATU RP z dnia 27 lipca 1990

*Do Narodu Ukraińskiego
z okazji proklamowania suwerenności państwowej Ukrainy*

Stojąc na gruncie praw narodów do samostanowienia z radością witamy ogłoszoną 16 lipca 1990 r. deklarację suwerenności państwowej Ukrainy — wyraz dążenia narodu ukraińskiego do wolności.

Polacy, którzy wolność i niepodległość Ojczyzny uczynili podstawowymi wartościami, w pełni rozumieją ten przełomowy moment w historii Ukrainy — sąsiada, z którym pragniemy żyć jako równe i bliskie sobie narody oraz rozwijając współpracę we wszystkich dziedzinach.

Nasza epoka otwiera nową kartę w dziejach Europy. Życzymy Narodowi Ukraińskiemu, aby mógł swobodnie kształtować własne oblicze i warunki życia, odsłaniać i umacniać korzenie swojej tysiącletniej tożsamości i bogatej duchowości, oraz zmierzać do pomyślniejszej przyszłości.

UCHWAŁA SENATU RP z dnia 3 sierpnia 1990

*Do Narodu Białoruskiego
z okazji proklamowania suwerenności państwowej Białorusi*

Stojąc na gruncie prawa narodów do samostanowienia z radością witamy ogłoszoną 27 lipca 1990 r. deklarację suwerenności państwowej Białorusi — wyraz dążenia narodu białoruskiego do wolności.

Polacy, dla których wolność i niepodległość ojczyzny są podstawowymi wartościami, w pełni rozumieją ten doniosły moment w historii Białorusi — sąsiada, z którym pragniemy żyć jako równe i bliskie sobie narody. Po obu stronach naszej granicy żyją obywatele pochodzący z narodów polskiego i białoruskiego. Mamy nadzieję, że nasze współzycie będzie układało się zgodnie z najlepszymi tradycjami dawnej Rzeczypospolitej, jej tolerancji i współzycia wielu kultur. Pragniemy rozwijać z Białorusią współpracę we wszystkich dziedzinach życia.

Życzymy narodowi białoruskiemu, przez wieleset lat pozbawionemu własnej państwowości, aby mógł swobodnie kształtować własne oblicze i warunki życia, oraz zmierzać do pomyślniejszej przyszłości.

Sprawy i troski

Odchodzą w przeszłość

Budownictwo cerkiewne występujące na obszarze wschodniej i częściowo południowej Polski, tworzy interesującą grupę pięknych budowli, których rozwój został już zakończony; przeszedł do historii, nieodwracalnie i systematycznie zanika z naszego krajobrazu.

Piękno tych budowli to wynik ich powstania na styku dwóch kultur, wschodniej i zachodniej. Ta cecha spowodowała ich degradację po II wojnie światowej.

Cerkwie były niezwykłym dziełem samorodnej sztuki budowlanej, charakteryzującej się różnorodnością form architektonicznych. Dzieje ich były zależne od sytuacji politycznej, narodowościowej, wyznaniowej a także często od dobrej woli ludzi sprawujących władzę na różnych szczeblach.

Historia, chociażby na przykładzie regionu rzeszowskiego, może dostarczyć smutnych refleksji.

Jak wykazują dotychczas opracowane statystyki do roku 1939, cerkwi zabytkowych było 311 (263 drewniane, 48 murowanych). W latach 1939-1956 zniszczeniu uległo 101, ale tylko 6 (!) w czasie działań wojennych.

Kolejny spis zabytków architektury z roku 1964 wykazuje istnienie 191, ale już w roku wykonywania spisu miano skreślić 20 jako nieistniejące.

Wynika z tego, że w ciągu jednego roku zniknęło z krajobrazu statystycznie 5,5 cerkwi.

Czasem apokalipsy dla tych cennych obiektów był rok 1947, czyli okres masowego wysiedlania z tych terenów ludności ukraińskiej. Można zaryzykować twierdzenie, że prowadzona wówczas polityka wobec mniejszości narodowych i ich kościołów była kontynuacją niechlubnej tradycji okresu zaborów, zmuszania unitów do przejścia na prawosławie.

Opuszczone przez wiernych cerkwie z braku ochrony i zabezpieczenia, zostały narażone na powolny upadek i zniszczenie zwłaszcza, że rady narodowe (miejskie czy gminne) były całkowicie obojęt-

ne. Proces destrukcji rozpoczął się od ograbienia wnętrz.

Ikonostasy, ołtarze, ikony i inne przedmioty związane z kultem religijnym po niefachowej rozbiórce przewieziono w stanie niekompletnym do Łañcuta lub też, o ile było to możliwe, po prostu rozkradziono pojedyncze ikony oraz fragmenty dekoracji rzeźbiarskiej i handlowano nimi nielegalnie lub wywożono za granicę. Zdzierano nawet pokrycia dachowe zabierając blachę do wtórnego wykorzystania, zabierano też drewno na opał lub inne gospodarskie potrzeby.

Opustoszałe, ograbione i kalekie obiekty nie spełniające już swej funkcji sakralnej, zostały w wielu przypadkach wykorzystane jako magazyny dla PGR-ów (np. Oleszyce czy Ciechanów pełnią te funkcje nadal).

Pozostałe, pozbawione częściowo lub całkowicie zadaszenia, zostały narażone na działalność wody opadowej, która przyczyniła się do powstania grzybów i pleśni, spowodowała inwazję drewnojadów a tym samym korozję biologiczną materiałów organicznych. Obiekty pozostawione własnemu losowi popadały w ruinę toteż samowolnie zaczęto je rozbierać. Były to lata powolnej, ale skutecznej dewastacji, nie zawsze świadomej, często wynikającej z lekceważenia, lekomyślności i niewiedzy, co w żadnym wypadku nie może być usprawiedliwieniem.

W latach 1956/57 nastąpiła pewna poprawa sytuacji. Przystąpiono do konserwacji bardziej cennych obiektów (Radróż, Czerteż, Piątkowa, Jarosław), powstał skansen w Sanoku.

Część obiektów przekazano do użytkowania kościołowi katolickiemu, co uchroniło architekturę od zniszczeń i dewastacji, ale oznaczało użytkowanie niezgodne z historycznym przeznaczeniem i bez poszanowania unickiej liturgii.

Przekazanie ikonostasów do muzeum (np. do magazynów Łañcuta, gdzie poza specjalistami nikt ich nie ogląda) lub całkowite ich zdemontowanie i po konserwacji zawieszenie luźne (Lubaczów — muzeum) są dowodem bezmyślności w działaniu i braku wyczucia estetycznego, albowiem wyrwanie z całości struktury wnętrza obiektu zmienia wyraz artystyczny dzieła, burzy jego treści i unicestwia jego styl jako dzieła sztuki.

Zdarzały się również wypadki co najmniej kontrowersyjnego wykorzystania wnętrza cerkwi, np. Bazylianie w Przemyślu na archiwum wojewódzkie.

Szokującym pomysłem było przerobienie kaplicy seminarium duchownego w Przemyślu na salę gimnastyczną.

Wielu ludzi w Polsce poświęca się ratowaniu dóbr kultury; zdają sobie sprawę z tego, że cerkwie unickie są nie tylko miejscem modlitwy ale zarazem dobrem kultury obu narodów; jest jednak też niestety wielu takich, którzy na ten temat nic nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć, cechuje ich brak zainteresowania kulturą a nawet niechęć do tego typu zabytków i dlatego też proces zniszczenia trwa nadal.

Nie można dalej patrzeć obojętnie jak znikają z krajobrazu świadkowie naszej wspólnej przeszłości, aby ustępować miejsca nieporadnym twórcom budowlanym naszych czasów.

I chyba tylko temu, że „cerkiewki na oba uszy zaciągają kopułki i nie dają się ruszyć” — zawdzięczamy ich istnienie do dziś.

Jadwiga STYRNA-NAWROCKA

Pieniądze społeczne tematem tabu

Pomoc do Polski z USA przychodzi przede wszystkim z National Endowment for Democracy. Nie jest to fundacja rządowa, ale jej budżet pochodzi w całości ze Skarbu Państwa. Przyznawany jest przez Kongres USA z budżetu Departamentu Stanu (jako część budżetu Amerykańskiej Agencji Informacyjnej — USIA). W br. m.in. Fundacja Gospodarcza NSZZ „Solidarność” otrzymała 74 tys. dolarów, Fundacja Obywatelska — 676 tys. dolarów, Fundacja Demokracji — 100 tys. dolarów, *Zeszyty Literackie* — 24 tys., POLCUL — 15 tys., Uncensored Poland News Bulletin — 20 tys., Fundacja Demokracji Lokalnej — 300 tys. dolarów, Spółka „Agora” (wydawca *Gazety Wyborczej*) — 150 tys. dolarów. Poza N.E.D. jest w Stanach masa różnych fundacji i towarzystw dających pieniądze na Polskę. Na ten temat są tylko wrywkowe informacje. Tak np. Oddział Stanowy A.F.L.-C.I.O. w Illinois przekazał przez Biuro Brukselskie „Solidarności” 129 tys. dolarów zebrane podczas uroczystego obiadu w listopadzie 1989 r. w Chicago na cześć Lecha Wałęsy. Tenże sam Oddział Stanowy w Michigan podarował p. Zofii Kuratowskiej kwotę 50 tys. dolarów i samochód osobowy. W dalszym ciągu nie ma rozliczeń z pieniędzy zebranych na wybory do Sejmu i Senatu oraz na wybory samorządowe. Są to niedobre obyczaje obecnego obozu rządowego, który z rosnącą arogancją odnosi się do opinii społecznej. ■ Brak jawności, jeśli idzie o pieniądze społeczne, dotyczy nie tylko kraju, ale również emigracji. Nie ma np. rozliczeń ani sprawozdania, jak wygląda Polish Benevolent Found — fundusz założony przez ks. infułata Staniszewskiego, rektora Polskiej Misji Katolickiej w Anglii. Fundusz ten jest właścicielem ośrodków kościelnych i kościołów polskich w W. Brytanii. Tak samo nic nie wiadomo o założonej w ub. roku w Londynie Fundacji Prymasa Glempa. Nie ma również sprawozdania Rządu Polskiego na uchodźstwie z udzielanej pomocy dla Kraju. ■ Jest jednak

poprawa, a mianowicie Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Londynie otrzymało od premiera Mazowieckiego zarówno potwierdzenie otrzymania sumy £120.000, jak również komunikat zawierający sprawozdanie Funduszu wspierania inicjatyw społecznych i gospodarczych, zwanego potocznie Funduszem Premiera Mazowieckiego, na który wpłynęło od września 1989 r. 24.810.245 tys. zł., 399.502 dolarów US, 8.800 rubli oraz różne dary, jak biżuteria, obrazy etc.; rozdysponowano 19.260 mln zł, 228 tys. dolarów US i 8.800 rubli. Na koncie pozostało około 1.700 mln zł i 22 tys. dolarów US. Pieniądze zostały rozdysponowane przez komisję powołaną przez Premiera, pod przewodnictwem podsekretarza stanu Waldemara Kuczyńskiego. W szczegółowym sprawozdaniu podano, że przeznaczono pomoc na 1) zdrowie i opiekę społeczną, 2) oświatę i wychowanie, 3) fundusz telefonizacji wsi, 4) kulturę, 5) dotację dla banku inicjatyw społeczno-ekonomicznych oraz dla fundacji „Rodzina nadziei” w Sopocie, na życzenie ofiarodawców, na zakup budynku na dom dziecka. ■ Amerykańska instytucja National Endowment for Democracy przyznała Funduszowi IDEE, zarządzanemu przez Irenę Lasotę, 90 tys. dolarów na pomoc dla czasopism i wydawnictw w Polsce. Wyłoniona przez p. Lasotę komisja otrzymała 135 wniosków (93 od redakcji pism, a 42 od wydawnictw). Suma, o którą wystąpiono, wynosiła łącznie 590 tys. dolarów. Dotacje otrzymały:

Almanach Humanistyczny (Warszawa) — 1000, *BIS* — samorząd KUL (Lublin) — 300, *BIS-Tygodnik Akademicki* (Lublin) — 400, *Brulion* (Kraków) — 3000, *Czas Kultury* (Poznań) — 5000, *Ex Libris* (Warszawa) — 600, *Forum* (Konin) — 500, *Dwutygodnik Szprotawski* (Szprotawa) — 300, *Gazeta Grodziska* (Grodzisk) — 800, *Gazeta Krasnostawska* (Krasnystaw) — 1000, *Gazeta Krzeszowicka* (Krzeszowice) — 150, *Gazeta Nowa* (Zielona Góra) — 2000, *Gazeta Słupcka* (Słupca) — 300, *Gazeta Witkowska* (Witkowo) — 500, *Głos Łukowa* (Łuków) — 400, *Głos Świebodziński* (Świebodzin) — 500, *Informator Pomorski* (Starogard Gd.) — 500, *Jorik* (Częstochowa) — 300, *Karta* (Warszawa) — 2000, *Kresy* (Lublin) — 1000, *Ku wspólnocie* (Bielsko-Biała) — 300, *Kurier Poranny* (Białystok) — 5000, *Listek Dębowy* (Poddębice) — 500, *Mokotów* (Warszawa) — 800, *Nasza* (Miłanówek) — 1500, *Nasz Czas* (Siedlce) — 1000, *Noetern* (Warszawa) — 1000, *Nowe Pismo* (Starachowice) — 2000, *Nowiny Radomskie* (Radom) — 3000, *Nowy Kurier Średzki* (Środa) — 1000, *Obserwator Wielkopolski* (Poznań) — 5000, *Obserwator Namysłowski* (Namysłów) — 300, *Orientacja na Prawo* (Warszawa) — 2000, *Opoczyńskie Wieści* (Opoczno) — 1000, *Orędownik Ostrowski* (Ostrów Wlkp.) — 1500, *Pismo Wołomina* (Wołomin) — 600, *Po prostu* (Warszawa) — 5000, *Pryzmat* (Olsztyn) — 200, *Przeszyska Niezależna* (Przasnysz) — 1000, *Przegląd Liberalny* (Opole) — 1000, *Res Artis* (Wrocław) — 500, *Solidarność Dolnośląska* (Wrocław) — 1500, *Solidarność Nauczycielska* (Lublin) — 700, *Solidarność walcząca* (Wrocław) — 2000, *Spojrzenia Przemyskie* (Przemyśl) — 600,

Strych Kultury (Przemyśl) — 300, *Sumienie* (Wrocław) — 300, *Sztumska Solidarność* (Sztum) — 1500, *Tumult* (Kraków) — 1500, *Tygodnik Gdański* (Gdańsk) — 5000, *Tygodnik Białostocki* (Białystok) — 5000, *Tygodnik Literacki* (Warszawa) — 4000, *Tygodnik Podhalański* (Zakopane) — 2000, *U nas* (Tarczyn) — 500, *Wola* (Warszawa) — 2500, *Wolne Słowo* (Toruń) — 3000, *Wulkan* (Żnin) — 500, *Zielone Brygady* (Kraków) — 500, *Ziemia Garwolińska* (Garwolin) — 300, *Ziemia Kłodzka* (Nowa Ruda) — 1000.

Dla wydawnictw pozostało 2550 dolarów. IDEE uzupełniło tę sumę o 45.350 dolarów z nie rozdysponowanych środków Konsorcjum Wydawnictw z roku 1989, zdając sobie sprawę, że potrzeby wydawnictw są wielokrotnie wyższe niż możliwości Funduszu.

IDEE przyznało następujące dotacje: *Archiwum Solidarności* (Warszawa) — 3000, *Baza* (Warszawa) — 3000, *CDN* (Warszawa) — 2000, *FIS* (Lublin) — 3000, *Kolegium Otryckie* (Warszawa) — 1000, *Krąg* (Warszawa) — 3000, *Most* (Warszawa) — 3000, *Niepodległość* (Warszawa) — 2000, *Niezlomni* (Warszawa) — 2000, *Oficyna Śląska* (Katowice) — 1000, *PEN* (Warszawa) — 3000, *Pokolenie* (Warszawa) — 3000, *Pomost* (Warszawa) — 3000, *Poprzeczna oficyna* (Łódź) — 1500, *Profil* (Wrocław) — 3000, *Przedświt* (Warszawa) — 2000, *Rytm* (Warszawa) — 2000, *Volumen* (Warszawa) — 2000, *Wydawnictwa Głosu Śląsko-Dąbrowskiego* (Tarnowskie Góry) — 2000, *„X”* (Kraków) — 2000, *Zebra* (Warszawa) — 500.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TAGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Kronika kulturalna

O podróżach

Bacon w eseju „O podróży”, wyliczając co należy koniecznie zobaczyć i czemu należy się uważnie przyglądać, wymienia obok dworów książąt, trybunałów, bibliotek i wykładów, fortyfikacje, porty handlowe i wojenne, zbrojownie, arsenały, ćwiczenia wojskowe. Zawsze pamiętałem, by nie stosować się do tych zaleceń. Nakładając drogi, omijałem w miastach budynki wojskowe, odwracałem głowę na widok pojazdów i unikałem zawierania znajomości z osobami umundurowanymi. Opisując w listach do przyjaciela miasto, w którym zamieszkałem, pomijałem milczeniem fakt, że są w nim koszary 126 pułku piechoty, chociaż tablica informująca o tym numerze była dla wszystkich widoczna. Mimo moich starań nie unikałem bycia świadkiem sceny z marginesów życia wojskowego. Wędrując przez Bordeaux zdałem sobie sprawę, że droga do części miasta z moją ulubioną ulicą Ducha Praw, na której miałem ochotę się znaleźć, jest odcięta przez defilujące z okazji 14 lipca oddziały wojskowe. By ich nie widzieć, schroniłem się w Ogrodzie Publicznym. Miałem ze sobą książkę i czas mi się nie dłużył. W końcu jednak zbliżyłem się na skraj Ogrodu, by sprawdzić, czy parada jeszcze trwa. Zobaczyłem przy głównej bramie, lecz jeszcze wewnątrz parku, oddział specjalny złożony z 81 wilków, zastygłych na przednich łapach, wszystkie w identycznej pozycji. Przed każdym psem stała jednakowa miseczek z wodą, za nim zaś przydzielony do niego żołnierz. Jakkolwiek wygląd żołnierzy także sprawiał wrażenie przynależności do jakiejś elitarnej jednostki, to jednak nie umieli oni zachować równie doskonałej dyscypliny jak psia część formacji. I wtedy z głębi parku wyszła jakaś jejmność z psem tej samej rasy. Pies cywilny wyrwał się swej pani i w radosnych podskokach zaczął zbliżać się do neruchomej gromady. Różnicy płci wypada zapewne przypisać następujące w mgnieniu oka całkowite załamanie dyscypliny. Powszechne szcze-

kanie zagłuszyło dobiegające przedtem z ulicy dźwięki marsza, a żołnierze nie mogli już sobie zupełnie poradzić ani z rozszalałymi wilczurami, ani nawet z własną nieopanowaną potrzebą śmiechu.

Nie stosując się do wskazówek Bacona starałem się wędrować śladami innego, wybranego przeze mnie autora. Po raz pierwszy zdarzyło się to, gdy mogłem zwiedzić *das Goethehaus*, dom rodziców Goethego we Frankfurcie nad Menem. „Są tam — pisał w r. 1951 Jerzy Stempowski — meble, książki, instrumenty muzyczne, kilkadziesiąt obrazów, liczne przedmioty domowego użytku, których sens zrozumiąły jest tylko w miejscu ich pierwotnego przeznaczenia. Razem wzięte, przedmioty dają pojęcie o wychowaniu i wykształceniu Goethego, o wczesnym wykszoleniu jego wrażliwości artystycznej i różnorodności zainteresowań.

Jak w wielu dawnych domach frankfurckich, uderza tam jakość starych mebli z XVIII w. Każdy z nich jest indywidualnym tworem artystycznego rzemiosła. Dzieci wyhodowane w takich wnętrzach muszą posiadać inną wrażliwość, inny stosunek do świata niż dzieci, które wyrosły otoczone fabryczną tandetą”.

Oglądając wnętrze domu na Grosser Hirschgraben nie doznałem rozczarowania. Odtąd lata poprzedzające następne wędrowki chętnie spędzałem na czytaniu opisów przyrody. „Polskie podróżopisarstwo romantyczne” Stanisława Burkota, PWN W-wa 1988, przypomina mi o tych lekturach. Jest to książka uczona: na 450 stron 45 zajmują przypisy, których jest 553. Powagi przydawałby jej też fakt przytaczania tytułów w obcych językach, gdyby autorowi udało się nie popełnić błędów przy przepisywaniu ich z dostępnych polskich przekładów. Próba stylu akademickiego: „Osiadłość jako opozycja do wędrowania, nawet z chwilą wytworzenia się nowych struktur cywilizacyjnych...” rychło ustępuje językowi potocznemu z PRL: „Jedni, jak Jan Potocki w relacji z wyprawy do Turcji i Egiptu, stawiali na świeżość wrażeń”.

Zamiarem autora było opisanie podróży jako szczegółowego gatunku literackiego. Wprowadza rozróżnienie między pamiętnikiem a podróżą. Ma zamiarowanie do tworzenia teorii. „Narrator w podróży może wprawdzie dysponować pewną wcześniejszą wiedzą o opisywanych miejscach i przedmiotach, jak w pamiętniku, lecz nie przeszłość, a terażniejszość wyznacza zasadniczą perspektywę...”. Przypominając sobie najważniejsze z moich lektur, nie sądzę, by ten pogląd dało się podtrzymać. W „Dzienniku podróży do Austrii i Niemiec” pod datą 22 listopada 1945 Jerzy Stempowski tak opisywał Monachium: „Na północ od dzielnicy muzeów... kilkadziesiąt ulic stoi na pozór całych. Są to jednak tylko szkielety domów. Przez wszystkie okna

widać wewnątrz niebo. Na rogach ulic można gdzieniegdzie czytać jeszcze ich nazwy, martwe jak na nagrobkach. Mimo południowej pory pustka całkowita.

Przez całą godzinę wędruję po znajomych niegdyś ulicach. Mieszkało tu zamożne mieszczaństwo, abonenci monachijskiej *Jugend*, czytelnicy Ottona Juliusza Bierbauma, kolekcjonerzy obrazów i mebli, posiadacze prywatnych bibliotek. Niemcy nie znały kryzysów mieszkaniowych i ludzie zamożni posiadali nie-raz bardzo obszerne mieszkania, wypełnione gromadzonymi od kilku pokoleń meblami. Objaśnia mi to, czemu właśnie ta dzielnica padła od razu pastwą płomieni.

Zupełnie inaczej wyglądają gęsto zaludnione dzielnice robotnicze... Każdy dom z jego łatanym dachem i okopconymi facjatami jest tu świadectwem walki ludności o swe mieszkanie”.

I jeszcze jeden fragment „Dziennika”. Dziś może szczególnie wart przypomnienia. Stempowski znajduje nocleg w zbiorowej sali obozu UNRRA w częściowo ocalałym gmachu Deutsches Museum. Kłopoty sprawia mu umywalnia. „W mokrej sali nie ma ani jednego gwoździa lub kołka, na którym można by powiesić ubranie. Z trudności tych znajduję wreszcie wyjście. Do umywalni przychodzę pierwszy, o świcie i wieszam ubranie na jednym z dwu zamykających się szczelnie kranów. Mam wrażenie, że niewielu tylko korzysta z tak niewygodnej umywalni.

Raz znajduję w niej starszego bruneta, który stojąc w kalesonach, przy pomocy kawałka mydła, uparcie i zawzięcie pierze w lodowatej wodzie czarne wełniane ubranie. Myjąc się przyglądam się mu ukradkiem. Jego czysto ogolona twarz jest pogodna. Potęga mieszkającego w nim marzenia o czystości i porządku, o zamiecionej i umytej izbie, izoluje go od tłumu i nadaje jego postawie i ruchom dyskretną dystynkcję dygnitarza incognito. Szukam długo w pamięci, skąd znam to marzenie.

— Czy dawno wyjechał pan z Litwy?

— Równo przed rokiem.

1907-9: najbardziej ubogie i zaniedbane prowincje imperium rosyjskiego, rządzone przez niemiecko-petersburskich baronów przy pomocy niemieckiej policji. Czarne wsie ukryte w lasach. Kurne chaty. *Village nègre*. Gdzieniegdzie zglišcza wsi spalonych.

1919-20: Jeszcze więcej zglišzcz. Zdewastowane lasy. Miasta w ruinie. Całe dzielnice puste. Martwe domy bez drzwi i okien. Na murach niskie ślady kul wskazują gdzie 'stawiano pod stienku’.

1922: całkowicie odbudowane i starannie zamiecione miasta. Planty i gazony. Na wsi wszędzie nowe domy kryte dachówką. Uderza niezwykła taniość i różnorodność środków spożywczych.

Takiej metamorfozy nie widziało żadne z wielkich mocarstw”.

Burkot po naszkicowaniu teorii pomija po prostu teksty, w których autorzy opowiadali o swoim życiu przed rozpoczęciem podróży i po jej zakończeniu. Tak więc jest mowa o „Podróży z Petersburga do Szwecji w drodze do Ameryki” J.U. Niemcewicza, a nie są nawet wspomniane znacznie ciekawsze opisy Włoch, Francji i Anglii, zawarte w „Pamiętnikach czasów moich”. W ten sposób badacz dochodzi do konkluzji, że „Francja nie skupiała uwagi naszych podróżników”. Zdaje sobie sprawę, że skupienie we Francji przeważającej części emigracji powodowało, „iż podróżowanie po tym kraju było źle widziane przez policję we wszystkich zaborach”. Jednak wbrew regułom narzucanym przez zaborców opisy i relacje z pobytu we Francji, zarówno przyjeżdżających Polaków jak i tych, którzy zostali na emigracji, ale w pierwszych latach czuli się wędrowcami, rozsiane są w nieprzeliczonej ilości pamiętników. Notowane na gorąco wrażenia można znaleźć w licznych zbiorach korespondencji, a listy pisywano wówczas długie i starannie skomponowane. Czytałem opisy architektury i obyczajów, salonów, wykładów i jadłodajni, przedstawień operowych i teatralnych. Utrwalono w dobrej polszczyźnie obraz zarówno prowincji jak Paryża i jego okolic. Pozostają w rękopisie listy Klementyny z Tańskich Hoffmanowej do przebywającego w Londynie pisarza i filozofa Krysztyna Lacha Szyrmy, przedstawiające w żywych barwach zalety podparyskiej miejscowości Maisons-Laffitte. Hoffmanowa miała pomysł, że powinno się tam osiedlić grono przyjaciół tworząc ośrodek polskiego życia umysłowego. Szyrma pozostał jednak w Anglii, Hoffmanowie zamieszkali w Passy, dziś XVI dzielnicy Paryża — wtedy jeszcze za miastem — a projekt zrealizowano dopiero w następnym stuleciu. W Passy był także — zachowany do dziś — dom Balzaca. Aleksander Jełowicki, późniejszy ksiądz, w liście z 19 marca 1834 opowiedział kuzynce na Wołyniu o spacerze w ogrodzie Tuilerie w „towarzystwie naszego Adama” (oczywiście Adama M.). „...spotkaliśmy małego, czarnego, dobrze odżywionego człowieka, który od nadmiaru żucia stracił już wiele zębów”. Ów przechodzień wita się serdecznie z towarzyszem Jełowickiego, zasypuje go komplementami dla jego talentu, wreszcie zaprasza obu Polaków na obiad, za tydzień o szóstej. „Myślałem najpierw, że był to jeden z tych bogaczy, którzy sami nic nie umiejąc, występują w roli protektorów sztuk, aby zyskać w zamian jakąś odę albo przynajmniej dedykację... Któż to jest ten smakosz? „To jest — odrzekł — były wielki człowiek, autor, z którym przez jakiś czas wiązano wielkie nadzieje, to sławny Balzac, pisarz dość dowcipny, ale umysł słaby...”. Wydawca tych listów Franciszek German powiada w przypisie, że „Balzac, chociaż nie unikał Polaków i tematów polskich w swej twórczości, nie wypowiedział się o Mickiewiczu, co dziwi nas i nawet razi”.

Stanisław Burkot w swej książce przedstawia i ocenia prawie 120 podróżników poczynając od Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła Sierotki. Przypomina mi się wizyta w Palacio Real czyli w pałacu Królewskim w Madrycie. Za opłatą można tam obejrzeć zbiory malarstwa należące do korony: Hieronima Boscha, El Greco, Velasqueza, Rubensa, Watteau, Goyę — poprzestaną na tych paru nazwiskach. Już szatniarze noszą liberię. Na wstępie trzeba koniecznie zadeklarować, w jakim z głównych języków europejskich chce się wysłuchać komentarla; z doświadczenia już wiedziałem, że nieroztropnie byłoby przyznawać się do znajomości francuskiego. Wydaje się, że niektórzy Hiszpanie nie dość lubią Francuzów i zdarzało się, że piękną francuszczyzną udzielano mi na dworcach kolejowych całkiem fałszywych informacji. Po chwili pojawia się pokojówka w liberii ze znajomością języka i zabiera swoją grupę. Przed drzwiami każdej sali puka w umówiony sposób. Drzwi się otwierają i lokaj wpuszcza nas do sali zamykając je na powrót. Panna pokojowa zatrzymuje się przed każdym obrazem, wymienia nazwisko malarza i tytuł dzieła. Dokonawszy prezentacji niezwłocznie przechodzi do następnego obrazu. W ten sposób szybko zbliża się do następnych drzwi, w które zapuka. Paru artystom udziela zwięzłych pochwał. Przy Goyi wymienia daty, w których żył i poleca zapamiętać nazwisko. Wszelkie próby zatrzymania się na chwilę, chociażby pod pretekstem zawiązania sznurowadła, na niewiele się zdają. Dziś myślę, że sympatyczną stroną tej wizyty był zwyczaj dworski nie pozwalający wygłaszania niezycliwych uwag na temat dzieł będących własnością monarchy. Burkot wspominając dwie szczególnie interesujące książki: „Anglię i Szkocję, przypomnienie z podróży w roku 1820-24 odbytej” Krystyna Lacha Szyrmy i „Dziennik podróży po Anglii 1820-21” Karola Sienkiewicza orzeka stanowczo, że podróż Sienkiewicza jest „niewątpliwie poznawczo uboższa”, co mnie bardzo zdumiało. Oczywiście książka trzytomowa musi być poznawczo bogatsza od jednatomowej, nie widzę jednak dobrych powodów, by poniżać któregoś z tych dwu autorów. Lach Szyrma na Uniwersytecie Wileńskim został wychowawcą Adama Konstantego Czartoryskiego, bratanka księcia Adama Jerzego. W czasie podróży młody Czartoryski odbył studia uniwersyteckie w Edynburgu a jego preceptor, współpracujący także z poważnym *Blackwood's Magazine*, uzyskał tam doktorat filozofii. Obaj przygotowywali się do czynnego życia publicznego, zaznajamiając się z działaniem parlamentu, sądów, samorządu. Karol Sienkiewicz został wysłany przez księcia Adama Jerzego na poszukiwanie książek do zbioru w Puławach gdzie był bibliotekarzem. Jego zainteresowania i spostrzeżenia również daleko wykraczają poza same tylko antykwiariaty, księgarnie i biblioteki. Innym podróżnikiem

zawdzięczającym stypendium Czartoryskiemu był Michał Wisniewski. Książę myślał o nim jako kandydacie na katedrę filozofii w Wilnie; ostatecznie W. został profesorem w Krzemieńcu, a potem w Krakowie. Wiele wskazuje na to, że gdyby nie dymisja Cz. ze stanowiska kuratora w Wilnie i proces filomatów, także Mickiewicz zostałby wysłany jako stypendysta na Zachód.

Sienkiewicz i Szyrma przywieźli z tej podróży nie tylko książki i dyplom. Chociaż obaj mieli upodobanie do pieszych wędrówek po szkockich górach, stworzyli dokładne i uważne opisy cywilizacji miejskiej, chyba pierwsze tej klasy w naszym języku. Obaj też, starannie, bez natręctwa rozważali, które z poznanych obyczajów warto by przyswoić we własnym domu, w rodzinie i w ojczyźnie. W latach 20-tych polscy podróżnicy obowiązkowo zwiedzają dom poprawy, czyli więzienie. Angażują się w spore między klasyczną a romantyczną teorią więzienia. Zwolennikiem teorii romantycznej był senator z „Dziadów”. Nad miastem winny górować trzy gmachy widoczne z każdego miejsca: zamek, katedra i więzienie. Zza grubych murów więzienia winny wydobywać się o zmroku niewyraźne jęki. Nowosilcow zalecał, by publiczne wykonywanie egzekucji wzorować na najczulszych i najbardziej gwałtownych scenach teatralnych. W teorii klasycznej więzienie powinno być gdzieś na uboczu. Podejrzanym nie należało więzić razem ze skazanymi, nowicjuszy separowano od recydywistów. Po roku 1830 — a Burkot omawiając podróże w porządku raczej geograficznym niż historycznym przegapia tę datę — Polacy jeszcze częściej i dokładniej zapoznają się z obcymi więzieniami. Tracą natomiast zupełnie zainteresowanie problemem teoretycznym, jak taki zakład powinien być zorganizowany. Nie znam żadnego polskiego tekstu po roku 30-ym, którego autor z własnej woli gotów był zwiedzać choćby najlepiej urządzone więzienie. Natomiast Dickens w r. 1842 już po wydaniu „Klubu Pickwicka” — podróżując po Ameryce niemal w każdym mieście zwiedzał więzienia, opisując je potem. Z tej podróży Dickensa zapamiętałem uwagę: „Pittsburgh przypomina angielski Birmingham, tak przynajmniej twierdzą mieszkańcy tego miasta. Jeśli nie brać pod uwagę ulic, magazynów, domów, wozów, fabryk, gmachów publicznych i ludności, może to i prawda”.

Po klęsce powstania Polacy jeżdżą w misjach politycznych, na studia medycyny, agronomii, wyrabiania cukru z buraków czy dla doskonalenia się w sztuce. Odbywają podróże prywatne korzystając ze środków własnych lub wędrują niemal bez środków. Rozważania o tym, czego jeszcze można nauczyć się w świecie, co po powrocie należy zmienić w kraju, na długo zostają zawieszane.

Monografista czuje się zobowiązany do wystawienia oceny każ-

demu z podróżników. Sprawia mu to jednak trudności. I tak w „Podróżach Aleksandra Sapiehy” „rozpoznanie rzeczy uznąć trzeba za powierzchowne, opisy za zdawkowe”. A osiem wierszy dalej: „Aleksander Sapieha jest niezłym obserwatorem i pisarzem”.

„... jako młody chłopiec przeczytałem — opowiada Jerzy Stempowski — po kolei wszystkie dramaty Shakespeare’a. Wypadek ten miał rozstrzygający wpływ na późniejsze lektury... ‘Weź tę trzcinę i zmiierz nią świątynię i tych co się w niej modlą’, mówi Apokalipsa. Trzcina ta była w moich rękach”. Czy istnieją teksty wytrzymałe porównanie z „Dziennikami podróży” Stempowskiego? Pan Jerzy dopowiada jednak zaraz: „Przy pewnej wprawie poznaje się od razu i niemal bez błędu, czy dana książka może zawierać chociażby jedną stronicę klasy szekspirowskiej”. Miałem zawsze w pamięci tę uwagę podczas lektury relacji z podróży. Myślę, że wspaniała stronica, jeden czy kilka fragmentów nie jest w stanie uratować powieści, wynagradza natomiast czas poświęcony na zapoznanie się z zapisem rzeczywistych doświadczeń.

W podróżach zajmowały mnie zarówno zachwycające spostrzeżenia, świadectwa wydarzeń, które inaczej zostałyby bezpowrotnie zapomniane, wskazania miejsc, do których i ja mógłbym spróbować dotrzeć, ale także wszystko co brzmiało jak dzwonek alarmowy, ostrzegający przed błędami, które mógłbym popełnić jako wędrowiec i jako narrator.

Powtarzał mi uparcie Andrzej Stawar, że jest głupstwem pedagogii literackiej zalecanie pisarzom, by wzorowali się na wielkich autorach. Należy ich oczywiście czytać dla przyjemności i poczucia miary. Pisania można się przedzej nauczyć na przykładach pisarzy, którym się nie powiodło. U nich też można odnaleźć nie wyeksploatowane pokłady kruszcu. Taka lekcja może być użyteczna dla wszystkich opowiadających.

Burkot prócz ocen cytuje też małe próbki omawianych tekstów. Tak jednak wybiera cytaty, że prezentowani autorzy wypadają nie lepiej niż Balzac w ogrodzie Tuilerie. Fragment z „Podróży do Turku i Egiptu” Jana Potockiego sugeruje, że był to autor sentymentalny. Wystarczyłoby przypomnieć zdanie z „Podróży do Cesarstwa Marokańskiego”: „Balkon, na którym pisać został niedawno przyozdobiony głowami trzech najznakomitszych osobistości Tangeru oraz ręką pierwszego ministra zmarłego cesarza”, by odrzucić podobne przypuszczenie. Różnice między każdą z sześciu podróży odbytych i opisanych przez Potockiego w ciągu 22-lat — wydanych w jednym tomie przez Leszka Kukulskiego w r. 1959 — dowodzą wyraźnie niemożliwości stworzenia ogólnej teorii tego gatunku literackiego. Najciekawszy, przeznaczony dla Adama Czartoryskiego „Memo-

riał o wyprawie do Chin” jeszcze dziś mógłby być z pożytkiem lekturą obowiązkową w MSZ-cie. Jest to analiza przyczyn, dla których poselstwo z Petersburga po spędzeniu zimy na granicy — „w nocy niejednokrotnie rękę w termometrze zamarzała, budziliśmy się z koldrami przymarzniętymi do twarzy” — zostało z przyczyn proceduralnych odesłane z powrotem. W Maroku natomiast Potocki bywał przyjmowany przez władzę. „Ponieważ nie można stanąć przed cesarzem bez podarunku, zaniósłem je zawinięte w sześciu chustach. Ale przy pierwszym posłuchaniu mój podarunek składał się z szesnastu chust”. Autor wymienia podarowane przedmioty oraz przedstawia listę służby cesarskiej oczekującej przy takiej ceremonii napiwku. Był tam:

Zarządzający podaniem herbaty

Zarządzający zapalaniem świec

Sługa przynoszący ostrygi

Sługa przynoszący pantofle

Sługa noszący zegar

Cała lista zawiera 39 rang, wymienię więc jeszcze tylko:

Sługę noszącego topory, którymi ścina się również głowy

Sługę noszącego topór zwany Szakria, którym można ścinać głowy nie zsiadając z konia.

Z wyjątkową nielojalnością trakuje Borkot Łucję z Giedroyciów Rautenstrauchową. „...wyraźnie się nudziła — poszukiwała silnych wrażeń, tymczasem zastawała wszystko uładzone i uporządkowane. Nawet Wezuwiusz — narzekała — inaczej teraz niż dawniej postępuje; zamiast raz kiedyś świat zdumieć, przerazić, zniszczyć, ciągle go małymi wybuchami bawi”. Jednak parę wierszy dalej autorka pisze: „Prócz ciągłych wybuchów Wezuwiusz i teraz jeszcze wspanialsze daje reprezentacje”. Różne rzeczy można powiedzieć o Rautenstrauchowej, ale w żadnym razie nie to, że jej książki „nie wykraczają poza turystyczne stereotypy”. „W Szwajcarii, zgodnie z ustalonym już obyczajem turystów, odwiedziła Ferney” ale to, co przy tej okazji pisze na temat Voltaire’a, nie zawiera nic ze zdawkowego banału. Nieżyczliwie komentuje też fakt, że ten wpływowy człowiek używał domu o zaledwie pięciu oknach fasady, co w jej oczach było wyraźnym świadectwem obłudy i skąpstwa. To prawda, że weimarska rezydencja pana von Goethe miała dwanaście okien fasady. W Warszawie bardzo długo, dopóki nie rozbudowano personelu administracyjnego, ilość okien fasady decydowała o wysokości podatku. R. była osobą bezwzględną. W r. 1861 napisała list do Norwida, zawiadamiając go, że nie życzy sobie mieć przesłanego jej zdjęcia w konfederatce. „Bóg Ci dał pędzel, długo i pióro, lecz z samej twej budowy można widzieć, że Cię do karabeli ani nawet do rogatywki nie przeznaczyl, i dlatego ta

buńczuczna na fotografii mina zdała mi się anomalią artystyczną — jakby mi kto przedstawił Danta zjadającego kielbasę z czosnkiem lub Pigmaliona w palonych butach i strzelbą na plecach. Otóż proszę i dopominam się o inną fotografię, z godłami prawdziwymi i postacią, jaka przystoi dla Cypriana Norwida”. Norwid wprawdzie uzalił się w liście do innej pani — „jakąż mi scenę zrobiła Dama szanowna, rozumna i mitrę mająca książęcą, a scenę za to, iż fotograf mój w czapce” — lecz nie obraził się i napisał wiersz „Na zapytanie: Czemu w konfederatce? Odpowiedź”. W dziesięciu tomach swych pism z podróży R. popada niekiedy w gawędę, opowiada rozmaite historie sprzed paru wieków gorzej niż Stendhal, zawsze jednak po kilkunastu stronach wybija nas z senności. We „Wspomnieniach moich o Francji” jest rozdział, w którym autorka wychodzi z domu w Paryżu na proszone śniadanie. Nie ma własnego pojazdu, bezskutecznie usiłuje znaleźć fiakra. Zaczyna padać rześnista deszcz. Zmoknięta chroni się wreszcie w zatłoczonym omnibusie publicznym stykając się po raz pierwszy tak bezpośrednio z przeciętną publicznością paryską. Przygoda ta została opisana w sposób godny Prousta.

Generał Stumm von Bordwehr w powieści Roberta Musila zbierając w bibliotece cesarskiej — liczącej trzy i pół miliona tomów — doświadczenia na temat ładu intelektualnego usiłuje dowiedzieć się od oprowadzającego bibliotekarza, w jaki sposób potrafi on znaleźć zawsze najodpowiedniejszą książkę w tym bezkresnym skarbcu. „Panie generale, otóż mogę Panu wyjawić: ponieważ żadnej nie czytam!... dostrzegłszy moje zdumienie potem mi to wytłumaczył. Tajemnicą dobrych bibliotekarzy jest, że nigdy nie czytają nic poza tytułem książki i spisem rzeczy. Kto zajmuje się treścią, ten jest już zgubiony...”. Stanisław Burkot przeczytał — pewnie zresztą nie dość dokładnie, skoro nazywa Rufina Piotrowskiego emisariuszem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, podczas gdy autor ten szczegółowo opowiada o swych konfliktach z TDP, w rezultacie których wyruszył w drogę zupełnie na własną rękę — przeczytał zatem większość książek, o których pisze. Bibliografia natomiast sprawia mu pewne trudności. Dwukrotnie wspomina Leona Pietrańskiego, autora „Wspomnień Wenecji, kolei żelaznej lipnicko-wiedeńskiej, Wiednia, Karpat Wschodnich, Frankfurtu nad Menem i przelotu z Krakowa do Tatr Spiskich”. Nigdzie nie udało mi się odnaleźć śladów dziewiętnastowiecznego autora tego nazwiska. Trzy tomy „Wspomnień Wenecji, kolei żelaznej lipnicko-wiedeńskiej, Wiednia...” ogłosił w Warszawie w r. 1845 znany warszawski prawnik Ludwik Pietrusiński. Książka Burkota została wydana z dotacji Ministra Edukacji Narodowej — był to jednak któryś z ministrów poprzedniego reżimu. Nieistniejący

autor został na dodatek pomówiony o to, że nie opuszczał Warszawy, „montując z różnych źródeł swoje relacje” — co jest właściwie nieudowodnionym oskarżeniem o wielokrotny plagiat. O Pietrusińskim wiadomo z całą pewnością, że studiował prawo w Wiedniu, uzyskał tam doktorat obojga praw i ogłosił drukiem rozprawę doktorską w języku niemieckim. Może to był grafo-man, ale obdarzony wyobraźnią i swadą:

Nie masz jak kapitalista.
Mina dumna, zadzierzysta,
Szpila krawata złocista.
Jemu emskie szumią wody,
Jemu Canova młody
Poświęca pierwsze dłuta płody.

Ponieważ nie znam dawnych podróży Polaków po Polsce, rozdział im poświęcony wydał mi się najciekawszy. Gdyby tylko można ufać zawartym w nim informacjom. Z entuzjazmem cytowana jest wycieczka Franciszka Maksymiliana Sobieszczańskiego po guberni radomskiej z r. 1851. „Opisał ciekawe zbiory malarstwa w gmachu gubernialnym w Radomiu (obrazy Van der Meera, Rembrandta, Rubensa, z polskich — Marcina Zaleskiego, Janusza Głowackiego [czy nie był to raczej Jan Nepomucen G.?] i Januarego Suchodolskiego). Następnie zwiedził... Kielce, gdzie jego uwagę zatrzymał znów bogaty zbiór malarstwa Tomasza Zelińskiego. Znajdowały się w nim obraz Canaletta, Velasqueza, Rembrandta, Van Dycka, Tycjana, Rubensa, Ruysdaela, Cranacha i Brueghlów”. Wiadomość o tych zbiorach poruszyła mnie na tyle, że spytałem, czy może być prawdziwa. W odpowiedzi Piotr Witt pisze: „Rozmnożenie Rembrandtów w okolicach Radomia ma swoje głębsze uzasadnienie. Wielka kolekcja malarstwa w Radomiu w połowie XIX wieku należała do gubernatora Edwarda Białoskórskiego, późniejszego współzałożyciela warszawskiej 'Zachęty'. W kilka lat po złożeniu go w stan spoczynku i przeniesieniu do Warszawy, moi dziadkowie czy raczej pradziadkowie wybudowali po stronie rynku należącej do nich, nazwanego później plac 3-ego maja hotel Europa i kamienicę, w której na piętrze mieszkała prababka Wilhelmina, a na drugim mieścili się władze guberni. Dziadkowie mieli więc wygodę, mieli gubernię u siebie i nie musieli daleko biegać z łapówkami. Moja babka jeszcze na podstawie opowieści rodzinnych wspominała Białoskórskiego jako łapownika wręcz nieprześcignionego, co w odniesieniu do władz rosyjskich nie było mało powiedziane. Wysoki urząd uchronił go od kompromitacji, ale jego współpracownikowi, naczelnikowi kieleckiemu Tomaszowi Zelińskiemu nie uszło na sucho i jeszcze jego spadkobiercy musieli spłacać, co był winien. O zawartości kolekcji Białoskórskiego

wiem niewiele. Rembrandty Tomasza Ziełińskiego nie były Rembrandtami. Co nie przeszkadza, że w swoim pałacyku w Kielcach posiadał skarby; Rzeź niewiniątek Łukasza Cranacha, dawniej u Pusłowskich, po wojnie w Muzeum Narodowym w Warszawie, dwa najpiękniejsze obrazy Magnasca jakie znam (MNW), nadzwyczajnej urody Triumf Fryderyka Orńskiego — Jordaensa, tamże i wielu innych, z których nie wszystkie sobie przypominam. W końcu 67 albo na początku 68 r., dokładnie nie pamiętam, byłem o krok od kupienia największego skarbu z jego kolekcji. W Desie na Starym Mieście znalazłem za szafą w pierwszej sali od strony Rynku duży obraz na desce przedstawiający 13 gołych osób za stołem zastawionym pięknymi holenderskimi martwymi naturami. Przygrywał tym golasom kompletnie ubrany skrzypek. Obraz był sygnowany CH, datowany 1615 i kosztował 25 tysięcy. W czasie gdy biegałem po mieście, żeby zgromadzić fundusze, przyszli do Desy Białostocki z Chudzikowskim i położyli łapę na golasach. Ten obraz był prawdopodobnie najpiękniejszym dziełem Cornelisa Van Harlem. Nie istnieje od czasu przeprowadzenia konserwacji, podobnie jak wiele innych w Wenecji, w Paryżu, wszędzie”.

Wiele miejsca poświęca B. „Dziennikowi podróży do Tatrów” Seweryna Goszczyńskiego, To, co pisze, zachęca do lektury tego utworu. Pochwały, jakimi opatruje opis widoku Tatr z Góry Zamkowej w Czorszynie każą przypuszczać, że nie zna „Opisania jeziora genewskiego Leman. Wyjątki z listu podróżującego Polaka”: „Jezioro Leman, zdające się być małym oceanem, błyszczało przy promieniach jesiennego słońca jak masa nieprzeliczonych diamentów... Ten ogromny obszar wody, lekkim wiatrem wzdymanej, przedstawiał zachwycający obraz, co chwila zmienny, co chwila piękniejszy. Światło, igrając w zwierciadłach Lemanu, zamieniało je to na szyby lodu, to znowu na fałdowane przestrzenie, w których każda kropla przybierała jasny blask srebra. Kiedy wiatr unoszący się nad wodą zwalniał, odbite w jej toniach góry i skały tworzyły nowy widok. Każda nadbrzeżna chatka zstępowała ze szczytu góry swojej, by kąpać się w przezroczystych jeziora wodach; każdy szczyt skał niebotycznych opuszczał niebios, by się odświeżać w zwierciadlanej toni. Zieloność murawy, dotąd jeszcze mrozami nie ujętej, białość śniegu wieńczącego wzgórza mieszały się z niebieskawą Lemanu barwą”. Tekst siedemnastoletniego Zygmunta Krasinśkiego — pominięty milczeniem w książce B. — ukazał się po raz pierwszy w „Pamiętniku dla Płci Pięknej” w r. 1830 i jest łatwo dostępny w 3-cim tomie Dzieł Literackich K. wydanych przez Pawła Hertzę.

Myślę, że po to byśmy mogli korzystać z nieprzebranego bogactwa naszych poprzedników należałoby po prostu sporządzić

indeks miejsc i tematów opisanych po polsku. Z hasła „Wezuwiusz” można by się dowiedzieć o istnieniu rzeczowego świadectwa J.U. Niemcewicza z r. 1784. Porównanie go z opisami Wiszniewskiego a potem Rautenstrauchowej najlepiej pozwoliłoby zdać sobie sprawę z przemian stylu i wrażliwości. Oprócz miejsc powinny być setki haseł takich jak „Poranek w mieście”, „Fabryka” — Bruno hr. Kiciński opisując cukrownię był wyraźnie przekonany, że każda cukrownia musi być dwupiętrowa jak ta, którą obejrzał, „Wodospad” — Lach Szymra chciał bardzo zwiedzić zakłady filantropa Owena w New Lanark, jednak cały dzień spędził nad wodospadami rzeki Clyde i nie starczyło mu już czasu na Owena. Mógł dzięki temu porównać wodospady Klajdy ze słynnym wodospadem w Szafuzie, któremu poświęcił także esej Jerzy Stempowski. Praca taka przypominałaby zadanie, jakie podjął kiedyś i wykonał Karol Estreicher. Zaczęlbym ją jednak od litery P. Hasła: „Petersburg” i „Przegląd wojska” powinny przypomnieć najwybitniejszy tekst polskiego podróżopisarstwa, niezauważony w książce, której nie zachowamy zatem w naszej pamięci.

Andrzej DOBOSZ

Osmoza

Człowiek i okoliczności po pewnym czasie zestrzajają się ze sobą: to nawet prawda dość trywialna. Niekiedy jednak upływa czas kolosalny, jak te moje 40 lat w PRLu, a zestrojenie człowieka z okolicznościami nie nastąpiło. To wymaga pewnych korektur i dopowiedzeń, jest tylko generalnym obrazem. Tym nie mniej, od czasu mojego wyjazdu z Brukseli w ostatnich tygodniach 1949 roku, o dopasowaniu się nie było mowy, a od pewnego momentu współżyliśmy — okoliczności i ja — napierając na siebie kantami. Nie trzeba dodawać, która strona gorzej na tym wyszła. Przyszło mi to wszystko do głowy, gdy ze strony Marka Nowakowskiego w jakiejś rozmowie padło pytanie:

— A nie żał panu czasem tej decyzji powrotu?

Z takim pytaniem żyło się właśnie w ciągu tych prawie 40 lat, a tu trzeba tak od razu na nie odpowiedzieć. Było ono wszyte jak monogram do wewnętrznej kieszeni, a tu ktoś chce to ze mnie wypruć: to po prostu boli. Mianowicie, żyjąc z tą kwestią nigdy nie dawało się sobie samemu odpowiedzi. Pilnowały

tego różne samozachowawcze mechanizmy. Odpowiedź mogłaby uczynić życie paradoksem, czymś nie całkiem prawdziwym. Należałoby zacząć od tego, że teraz już nie jestem w stanie tamtego momentu przywołać, uprzytomnić sobie całego psychicznego kompleksu, w jakim zostało powzięte postanowienie. „To tak jak gdybym będąc jeszcze tam, był jednak tu i oglądał coś, czego nie mam prawa oglądać”, mówi Gombrowicz opisując moment pierwszego spotkania z Giedroyciem. Ja bym musiał powiedzieć: to tak jak gdybym będąc jeszcze tu, był jednak tam i oglądał coś, czego nie mam siły oglądać. Słowem, ocenianie tego dziś retrospektywnie jest sfalszowaniem z góry każdej możliwej odpowiedzi, bo będzie to owoc chwili obecnej, a nie tamtejszego zagadkowego kryzysu świadomości, o którym mam zaledwie chaotyczne i powierzchowne wspomnienie. Można się pokusić o jego rekonstrukcję, która będzie warta wszystkich innych rekonstrukcji, odtworzy formę nie oceniając materialnej tkanki architektury. Ale trzeba to jakoś zrobić.

Zastanawiałem się nieraz nad pożytkiem fabularyzacji w tekstach publicystycznych. Jak to kapitalnie ułatwia wyprowadzenie idei z martwoty ogólnego założenia. U mnie myślenie odwrotowe zaczęło się jesienią 1949 od fenomenalnego opowiadania Andrzeja Bobkowskiego pt. „Gandhi”. Bobkowski usiłował tu rozprawić się z paraliżującymi wątpliwościami na linii wracać-nie wracać? — przy czym dał im oprawę konkretnej sytuacji i kreował postaci dialogu. Wytarta przez dziennikarzy sprawa odezwała się innym głosem, jak w pudle rezonansowym, zadźwięczała niby kamerton.

Tym razem nie ma potrzeby sztucznie fabularyzować, sytuacja jest żywa, rozmawiamy w domu Marka Nowakowskiego. Marek może nie będzie miał pretensji, że go nie prosiłem o autoryzację, chodzi w końcu o mnie, to ja „przynoszę tu swoją mordę do obicia”, jak do mnie pisał kiedyś Wańkowicz wybierając się w 1956 na Zjazd Kultury w Paryżu. Byłem u Nowakowskich na Śniadeckich, w ich nowym mieszkaniu. Zjawia się równocześnie wydawca z białostockiego „Versus” i pytam go z ciekawością o sprawę papieru (z importu tańszy!) i jak szybko może książkę wypuścić na rynek: okazuje się, że to już byłyby terminy przyzwoite, parumiesięczne — gdy w państwowych wydawnictwach czeka się latami. W oficynie „Versus” ukazał się „Raport o stanie wojennym” Nowakowskiego. Piliśmy herbatę w kuchni. Nowakowscy nade wszystko nie lubią ceregieli. Marek opowiadał. Gdy chce coś wyartykułować, to otwartą dłonią lekko i krótko popycha swego rozmówcę — jakby żądając szybszej reakcji — po czym zaraz rękę cofa. Może to przejął od jednego ze swoich knajackich bohaterów. Nie wolno jednak dać

się zwięźć pozorom. Ten brat-łata i swój chłop, człek bez fasónów, nosi w sobie czujnego jak żuraw pisarza z prawdziwego zdarzenia. Niesłychanie różny od sztucznego środowiska literackiego w tym mieście. Opowiedział nam wtedy, jak podniósłszy słuchawkę włączył się w dialog byłych nomenklaturowców urządzających się teraz zgrabnie w jakichś nowych układach. Telefony polskie często ofiarują tego rodzaju rozrywki. Marek jednego rozpoznał po głosie, jakieś swoje słowo rzucił znienacka w to ich ugadywanie się — i konsternację wywołał. Był to kawałek teatru wyobraźni, trafiona scenka rodzajowa prolongowanego peerelu. Powiedziałem: — No i jest opowiadanie! — Nie o to chodzi! — odparł. Ale ten dialog! on mówi...

I szturchnął mnie po swojemu otwartą ręką przynaglając do właściwej reakcji. Szkoda, że zapomniałem jak ten dialog wtedy szedł. Potem napisałem o tym w formie listu do redakcji *Gazety Michnika*. Przeszliśmy do pokoju pisarza. Nie widać żadnej maszyny, na stole leży stosik kartek, pierwsza na wierzchu zapisana ołówkiem. Nie uznaje maszyny do pisania. Wokoło parę regałów z książkami i bajeczne grafiki *Lebensztejna*, z którym się przyjaźni. Wydawca już sobie poszedł. I tak rozmowa się wywiązała — w trakcie czego postawił to trujące pytanie: czy żałuję? — na co osłonowo odrzekłem, że rzecz jest spleciona co najmniej jak sznurek z siedmiu pasm konopi. Marek przytrzymał panią Jolę wychodzącą do swego biura adwokackiego:

— Jola, on wciąż nie wie, czy żałować tego, czy nie. Tylko żona podobno nie ma wątpliwości!

Autor „*Wilków podchodzących ze wszystkich stron*” (mam je w biednym gazetowym wydaniu podziemnym), autor „*Karnawału i postu*” (w charakterystyczną szarą siateczkę Instytutu Literackiego, do której tak jesteśmy wszyscy przywiązani) tego dnia nosił czarny sweter i wypchane na kolanach spodnie. Oczy jak latarenki świeciły w czerniawej chudej twarzy. Inteligencja! Kocham ludzi ostro inteligentnych o dobrym unerwieniu i aktywnym sercu. Reszta rozmowy odbyła się, na raty, już poza mieszkaniem i jego gospodarzami.

Nieobca mi była pokusa aby tamten powrót złożyć na karb polskiej typowej fatalności, co by jednak nic nie znaczyło. Wszystko wtedy w Brukseli sam skrętnie załatwiałem, a od spodu pulsowała pewna nerwowa przyjemność, przyjemność rozciekawienia. Znaleźć się wreszcie tam, gdzie zapanował inny zgoła idiom, wszystko zostało przewrócone i wszystko (tak mi się zdawało) kipi! Ogromną rolę odegrała książka Janty „*Wracam z Polski*”, pełna uznania dla rozmaitych prac, np. gospodarowania Gomułki na tzw. Ziemiach Odzyskanych; i prowokującą rolę odegrała recepcja tej książki przez londyńską Polonię, gdzie

podobno część nakładu spalono na stosie, co spowodowało mój artykuł w *Kulturze* (maj 1949) pt. „Examen libre”. Znalazłem się już w szrankach, choć jeszcze były to wewnętrzne szranki emigracji. Poszedł za tym szkic „Podróż na horyzonty”, który odezwał się echem w stanie New Jersey, Wańkowicza „Klubem Trzeciego Miejsca” i zaproszeniem do dyskusji, do „podmurowania wczas” debaty, „zwłaszcza przez rozgrzywienie” — i tu Wańkowicz wyłuszczał jakieś trzy jego zdaniem walne zagadnienia. Chętnie bym się na ten temat rozpiął, to jest gorące wspomnienie, ale muszę trzymać się linii tego eseju. Niczego wtedy nie podmurowałem i nie rozgrzyłem. Wszedłem już w tunel zwidów i omamów, zaczynając dostrzegać selektywnie, to co chciało się zobaczyć.

Rok wcześniej, latem 1948, znalazłem się w beskidzkiej Piwnicznej — z dziećmi polskich górników z rejonu Borinage w Belgii, jako ich nauczyciel. Zarabiałem na życie ucząc dzieci rzeczy polskich, poza oficjalnym programem. Poraził mnie w Piwnicznej blask, przepych górskiego piękna. To też miało swój udział. Uroda mojej własnej ziemi przykuwała, biła od niej retoryka, którą zdawałem się pojmować. Dwoje dzieci zachorowało i musiałem je potem osobno odprowadzić do Brukseli. Zapamiętałem jedną chwilę. Na Gare du Nord w Brukseli wszedłem do budki telefonicznej, by powiadomić o powrocie. Stał już przy budce urzędnik konsularny od tych spraw, nazwiskiem Górak. Odybła się krótka rozmowa, Górak spytał co sądzę o tzw. kongresie zjednoczeniowym, który parę dni wcześniej zakończył się w Warszawie. Nie miałem zdania. Górak przyglądał mi się jakąś chwilę. Był to typowy *a look of intelligence*, którego sensu nie uchwyciłem. Podpowiadał mi wzrokiem, co należy myśleć o potężnej mistyfikacji, która zniszczyła resztki autentycznych socjalistów. Później Górak odmówił powrotu do Warszawy.

Odpowiedź Jerzego Giedroycia na mój list o wyjeździe była jednoznaczna. Pisał, że bolszewików zna od dawna, że krok mój będzie miał fatalne skutki. Wiem, co pana tam czeka! Nie usłuchałem, już się zsuwałem po zboczach ryjąc piętami, sypały się kamienie i piasek. Jednak potem — potem, gdy wrócili kolejno Cat-Mackiewicz i Wańkowicz, gdy Cat eufemistycznie, ale znacząco ogłosił, że „Polska jest Polska” — uzyskałem jakieś przesłanki, by myśleć, że nie Giedroyc tylko ja miałem słuszność. Forsownie się cieszyłem z tych efektownych powrotów, oblegałem obu pisarzy po kolei, na Jezuickiej i na Puławskiej, szukając w rozmowie z nimi racji moich wcześniejszych decyzji. Jakże oszczędni byli w swoich reakcjach, już sami sobie musieli zadawać niejedną kwestię. Później poznałem Zofię Kossak-Szczucką, Adama Szczypiorskiego (ojca Andrzeja) i Parnickiego. Nie w tego rodzaju kontaktach należało szukać odpowiedzi, tylko w otacza-

jących faktach, których poprawne odczytanie nie wymagało wielkiej inteligencji czy intuicji.

Zdaje się, że wymagało czegoś więcej niż rozum i intuicja. Najpierw — prawdopodobnie — woli zrozumienia otaczającego środowiska komunistycznego w wersji Bieruta, w wersji Gomułki. Można na obronę przytoczyć światowe przykłady tej zaćmy czy oczopląsu, ale te przykłady, zbyt horrendalne, uziemiają dyskusję. Einstein w liście z końca 1938 do Maxa Borna (opublikowanym potem w wydaniu jego korespondencji) zwierza się, że po dojrzałym namyśle zmienił zdanie o moskiewskich procesach, nie były one fałszowane, jak dotąd podejrzewał, tylko autentyczne i legalne, winni zasłużyli na śmierć. W 1952 Frédéric Joliot-Curie po osobistych pogłębionych badaniach uzyskuje pewność, że w Korei Stany Zjednoczone użyły broni bakteriologicznej. Uчени zachodni tłumnie protestują, tylko Einstein odmawia podpisu pod protestem. Sartre w 1953, po powrocie z Moskwy deklaruje w reportażu, że „Wolność krytyki” w Związku Sowieckim jest totalna”. Cytuje to Pierre Daix, dawny czołowy komunista, w książce imponującej szczerością, „J'ai cru au matin”. Noblista Marquez wypiewuje peany na cześć żołnierzy kubańskich w Angoli. Można by w nieskończoność... Jednak w moim kontekście te przykłady zidiocenia intelektualistów zachodnich nie miały zastosowania. Byłem młody a straciłem węch, nie powinno się to zdarzać w młodości.

Uległem pokusie wygody, pewnej nienaturalnej jej odmianie. Gdy się odmawia ryzyka własnego sądu i ryzyka pomyłki — które przejmuje na siebie ideologia — to jest jakiś kiepski rodzaj psychicznego komfortu. Zawstydzającej strony tej odmowy nie dostrzega się zawczasu. Bo w rachunku ostatecznym jest to odmowa ryzyka wolności, po prostu. Wspominam niektóre okoliczności, a raczej ich woń, coś jak pasty do posadzki, enkaustyki... Narkoza wczytywania się w marksowskie teksty, jakiegoś Żółkiewskiego, jakiegoś Kotta, z opaczną nadzieją, że rozum to uzna. Ten Dygat (umysł lotny!), który raptem prosi, aby go nauczono komunizmu, bo nic nie łapie. Intelektualista jest bardziej bezsilny wobec systemu, niż ktoś wyposażony tylko w zdrowy rozsądek. System mu gwarantuje, że jest cudownie prosty i absolutnie samowystarczalny, co imponuje intelektualistom. Wstydy się przecież tego skomplikowania i braku samowystarczalności. Sam na sam wobec systemu z niepojętą ochotą rezygnuje z wielodzielnego sceptycznego myślenia, wybierając prymitywną, za to szczelną doktrynę, która — wedle Koestlera — ma charakter obiegu zamkniętego. Marksizm jest (bo czy wolno już mówić w czasie przeszłym?) współczesną wersją antycznego fatalizmu. Płaski język sloganów z mową-trawą jest językiem

surrealistycznym, ale nie w znaczeniu literackiej szkoły Bretona, tylko w tym znaczeniu (o którym pisał Besançon), że funkcjonuje ponad rzeczywistością. Nigdzie nie znalazła lepszego zastosowania sławna formuła: jeżeli rzeczywistość nie pasuje do ideologii, tym gorzej dla rzeczywistości, bo to jej wina.

Na moskiewskim kongresie pisarzy przed wojną Malraux wysłuchał niezliczonych przemówień obiecujących powszechne szczęście we wspólnym świecie, po czym spytał: — A dziecko przejechane przez tramwaj? — Zapadła przykra cisza, potem ktoś się odezwał wśród ogólnej aprobaty:

— W systemie doskonałym planowego socjalistycznego transportu nie będzie wypadków!

Nigdy nie przyszło mi do głowy zapisać się do partii. To jest pewien fakt — zerowy. Jednak próżno sobie zadawać pytanie, jak mogłem między tymi ludźmi, wśród tych rzeczy wytrzymać lat kilkanaście, zanim, na wiosnę 1968, wysłałem pierwszy gryps do *Kultury* podpisując się PELIKAN. Człowiek kiepsko umie czytać we własnych myślach i nie potrafi swego tekstu skorygować. Umysł ma niekiedy konstrukcję autopułapki.

Ale nie można rzec, że mój powrót mnie zdefiniował, odwrotnie. W epoce tego wysłanego do Maisons-Laffitte artykułu zaczęło się moje bilansowanie, moja życiodajna panika, i wszedłem wtedy na zobowiązujący nas wszystkich teren COGITO. W końcu więc to ja nadałem memu powrotowi sens. Żałuję tedy, czy nie żałuję, że wróciłem?

Postanowienie miało wszystkie cechy działania w afekcie, był to nawet rodzaj przestępstwa wobec samego siebie popełnionego w afekcie. Argumenty pojawiły się po fakcie. Mało jednak wiemy o tym co świadome a co nieświadome — dopóki tajemnicą pozostaje, co się dzieje wewnątrz neuronu i jak się formuje pamięć. Święty Augustyn napisał: — Dziecko, którym byłem umarło, a ja żyję. — Więc o które „ja” chodzi w tym rozliczeniu, to nie jest to samo „ja”, które po śmierci poprzedniego wciąż żyje. Bałamuctwem jest i wielką gramatyczną niewygodą konieczność używania tego samego zaimka na określenie dwu różnych osób. Na szczęście, nie zostałem na zawsze uwięziony w tamtym „ja”, które powinno teraz inaczej się nazywać. Inna sprawa, że zdarza mi się rozmawiać z tamtym dawno nieistniejącym „ja”, z epoki Bieruta i Gomułki. Są to ciężkie rozmowy. Czuję się po nich wyczerpany i wyżęty, a zdaje się, że i on jest bardzo zmęczony. Przypadek terapii negatywnej.

Jacek Trznadel szczęśliwie wynalazł termin, na który od dawna czekało puste miejsce w polskiej mowie: Hańba Domowa. Moje osobiste wdepnięcie w Hańbę Domową było typowo dyskursywne, pozostawało w strefie słów i myśli, dętej i nieautentycz-

nej myśli, jaka była w owych warunkach możliwa. Jednak to mi nie ujmuje powodów do wstydu. Gorliwie się przyłączam do poglądu Bernarda-Henri Lévy'ego, który kiedyś zaprotestował przeciw ulgowemu traktowaniu obszarów idei: — *Je demande que l'on juge les pensées de manière materialiste. Et ce sont les marxistes qui raisonnent de manière idéaliste en prétendant qu'il y a une souveraineté des idées, une éternelle virginité quelles que soient leurs incarnations. Non! Les idées ne sont jamais vierges.*

Nigdy idee nie są dziewicze, tym bardziej, gdy ich inkarnacje są tak poczarne w treści i formie. Rachunek sumienia który teraz snuję, pcham raczej pod górę, niż snuję, został sprowokowany przez Marka Nowakowskiego, kiedy rzucił mi pod nogi tamto nikczemne pytanie. Ogarnia mnie to, co się zwie w medycynie dysgrafią, tkwię w konfuzji i chaosie. Między konfuzją a ładem nie ma może tak wielkiej sprzeczności, jak się wydaje, bo chaos jest w końcu zaproszeniem do porządku, tylko na głębszym poziomie. Dobrze. Nie wolno jednego zrobić: próbować się ukryć za szablonem o względności prawdy. Kant też musiał się spotkać w swojej epoce z poglądem, że o prawdę nie warto się dobijać, bo zawsze względna i zależna od punktu widzenia a obiektywizm rzekomo nie istnieje. Ten bezmyślny schemat Emmanuel Kant nazwał surowo „azyłem dla ignorancji”, a należałoby dodać, że również azyłem dla arogancji, bo to jakieś ustawianie się bokiem czy tyłem do obiektywnej rzeczywistości wynika z pychy, z żabiej perspektywy, jak mówią architekci. Tak samo musi koń patrzeć na przeszkodę. Nigdzie nie widzi się lepiej małości człowieka, jak w teorii zwalnającej go z obowiązku zrozumienia różnych wymiarów życia. Nie istnieje tylko nieomyślność, ale to inna sprawa. Dążenie do pojmowania jak najlepiej, najwierniej jest naturalnym odruchem woli.

Foucault widział prawdę jako „niewątpliwą formę władzy”. To jest sugestywne, choć w innym znaczeniu, niż chciał Foucault, ten klasyczny francuski *maître à penser*, przebywający pod samym pułapem cyrku, gdzie uprawiał swoją gimnastykę na linie czyniąc z intelektualizmu zawodowstwo wyczynowe. Jak to się dzieje, że w zachodnich społeczeństwach przyznano prawdzie aż taką cenę i taką wartość, robiąc z niej coś, co nas absolutnie zobowiązuje? Takie pytanie postawił Nietzsche. W istocie, dlaczego tak jesteśmy przywiązani do prawdy i odczuwamy ją jako potrzebę serca? Dlaczego do prawdy a nie do kłamstwa? Dlaczego do prawdy a nie do mitu? Może są to pytania retoryczne. Prawda stała się tym rodzajem władzy, któremu człowiek chce podlegać.

Prawdopodobnie nie byłoby trudno zmitologizować rzekomą słuszność powrotu do kraju, jako jedynego miejsca prawdzi-

wego doświadczenia, którego nie da się wymienić z rodzajem doświadczenia na emigracji, niewątpliwie zwięzonym. Wybrałem wtedy ryzyko fatalne w skutkach. Gdybym był został na Zachodzie, najpewniej znalazłbym się w dobroczynnym kręgu *Kultury*. Tam istniało coś w rodzaju gwarancji zachowania równowagi, poczucia słuszności i przezroczystego sumienia. Ale na drodze tego pierwszego 10-lecia po moim powrocie wybuchła polska mina i droga ta jakby się zakrzywiła prefigurując niemal Einsteinowską zakrzywioną przestrzeń. To był październik 1956. Czy i wtedy zachowałbym swą przezroczystość, przycumowany do Maisons-Laffitte?

W owym październiku, w warszawskiej *Nowej Kulturze*, redagowanej akurat przez Wiktora Woroszyńskiego, ukazał się mój artykuł pt. „Rozmowa z Zachodem”, marnie napisany, ale zawierający nieznośne dla *establishment'u* tezy. Natychmiast spadły na mnie klasyczne plagi moskiewskiej *Prawdy* ubrane w rynsztokowe wyzwicka. Znalazłem się tam w podejrzanym towarzystwie Putramenta, który żalił się jak szczenię o przetrąconym grzbiecie, w żaden sposób pojąć nie umiał, że za tyle wierności spotkało go takie ruganie. Epizod z połajankami *Prawdy* szybko się zatarł w pamięci, bo nadeszło zlikwidowanie *Po prostu* w ramach radykalnego stwardnienia Gomułki, prawego bolszewika, który oddał pod sąd Wańkowicza, usmarował błotem Jasienicę i wystawił do wiatru robotników. Tego łańcucha oczywistości nie było można żadnym sposobem, najpomysłowszą nawet metaforą, zmitologizować. Wysłałem w marcu 1968 korespondencję do Giedroycia pt. „Koniec małej stabilizacji” i poczułem się nareszcie w zgodzie ze światem. Przeżyłem głuchą radość, jak dudnienie w głębi własnej studni, szczęście zaczynania od początku, nawiązywania do przerwanych cykli lat 1946-1949. Niektóre stressy *Hańby Domowej* dotknęły i mnie, to sprawa miazmatów, morowe powietrze było wszędzie i chwytalo się je przez obcowanie, najsukuteczniej kanałami językowymi, które niosły złudzenia stale ocierające się o blagę. Jakież więc mogło być to rzekome bezcenne doświadczenie? W samej rzeczy polegało na degeneracji cywilizacyjnej, na nieuchronnym wsiąkaniu w małość i ponurość, a do tego stylu sprasowanej codzienności wciągałem najbliższą rodzinę, dzieci pchałem w straszne ryzyko edukacji negatywnej (z czego tylko siłą dobrego polskiego paradoksu wyszły obronną ręką). Odciałem się dobrowolnie od gęstej pełnej informacji, jaka otaczałaby nas na Zachodzie, straciłem podstawy świadomości i istotnej swobody. Zawlokłem swoje życie na wielkie bagna, do rojstu, moralnym i psychicznym zdrowiem musiałem płacić za utrzymywanie się na powierzchni. To nie do darowania. Żałuję gorzko!

Jednak nie mam prawa postawić kropki w tym miejscu.

Jest to miejsce ruchome. Za sobą i przed sobą wyczuwam obecność odmiennych przesłanek, choć nie potrafię ich uprzytomnić i nazwać. Po prostu: *J'AI VÉCU*. A życie było, jak każde inne, szerzej rozstawione i głębiej uwarstwione, człowiek zawsze przebywa w skali obszerniejszej, niż system, który go wchłonał, ze wszystkimi jego okolicznościami materialnymi. Słońce na plażach Jastarni i w Zakopanem nie było podrobione. Była praca — niepełna, skorodowana, jakby z przebitym bokiem, ale substancjonalność korpusu zostawała. Był ten syndrom przeżywania razem i równoległe z narodem, ze społeczeństwem, to samo przekleństwo, jednakie kalectwo i wspólne bohaterstwo zawarte w rosnącym gniewie. Tętno narodu słyszalne w każdym z nas, więc i we mnie i w mojej rodzinie. Te motywy egzystencjalne — jak się one mają w istocie do spraw generalnej polityki, ustosunkowania się do systemu, co za sobą pociągało wielostronny kompromis, a nawet wdepnięcie w przypadającą na mnie porcję *Hańby*? Może jednego z drugim nie wolno mieszać, może wolno i trzeba, w każdym razie nie umiem żywego korpusu rozkroić na dwie części.

Bycie wewnątrz narodu, na miejscu, niesie wiele przywilejów, jest wielką łaską. Z czego jedno mi się teraz nasuwa, jako naczelną sensacja. Obcowanie łokieć w łokieć z wieloma i rozmaitymi ludźmi pozwala być świadkiem niespodziewanego owocowania tego zmaltretowanego i częściowo — ale w dość szerokich przekrojach — skorumpowanego społeczeństwa, demoralizowanego niechęcią do własnej pracy, wściekłością do trzymających władzę i mnóstwem innych żrących chorób. To było sto razy opisywane, tego opisywać nie trzeba. Obserwowało się co najmniej dwa fenomeny nadszpejwanego owocowania. Najpierw zaskakujące, w żadną socrealistyczną edukację niewalkulowane wyrośnięcie robotników. Dosłownie — ponad stan! Otrzymałszy w peerelu żalosne minima socjalne i podstawowe nauczanie — potrafili z tego wycisnąć jakieś maximum i jakieś optimum, uruchomić w sobie źródła niebywałej zbiorowej energii, wyłonić trybunów. Autodydakci, jak Goździk z Żerania, jak Wałęsa, Frasyński, Bujak, Wujec — to piękne produkty procesów osmotycznych w społeczeństwie, które wezbrały całkowicie wbrew intencjom i rachubom władzy. Proszę się zastanowić. W kraju, gdzie przez tyle czasu już samo używanie niektórych słów automatycznie w tej atmosferze skażenia działało demoralizująco i korumpowało tych, którzy ich używali, nawet tych, którym wpadały w ucho — raptem młoda generacja robotników zdobyła się na własną, zdrową, nośną jak grzmot w górach mowę, skuteczną mowę, która zaskoczyła władców w ich norach. Żadna metafora nie jest przesadna, aby to zjawisko ocenić. Przypominam sobie coś z listu Sienkiewicza, taki wspomniały frazes z

Afryki: „Dzień przyszedł jak mocarz i skręcił kark nocy w mgnienu oka!”. Otóż to. Nie daj Boże żyć w ciekawych czasach, ale czasy są i były naprawdę ciekawe.

Drugim owocem osmozy, którego żaden rabin bolszewizmu nie był w stanie przepowiedzieć, jest — jak to roboczo nazywam — cud kukułczego jaja. Mam na myśli odszczepienie od komunizmu, od wiernych partyjnych rodzin, od zetempowskiej filozofii — takich osobowości, jak Kuroń, Modzelewski, Michnik, Jan Strzelecki. Michał Komar, Michał Jagiełło, a przecież i wybitny Kołakowski z tamtego brzegu zaczynał. Można by wymienić jeszcze wielu takich ocalonych wyrzutków, wyrwanych nocy odszczepieńców (choćby pokolenie tzw. pryszczatych, jak Woroszyński, jak Zalewski), którzy tymi samymi zbrukanymi rurami wydostawali się na drugą stronę życia, zostawiając za sobą familie i środowiska towarzyszy w konsternacji, a czasem własnego papę ze starą partyjną legitymacją w odgrzającej się ręce. Niezliczeni są odszczepieńcy, którzy nie noszą publicznie znanych nazwisk. Znam osobiście dwóch uzdolnionych braci S., romanistę i filozofa, których ojcem był jeden z likwidatorów *Tygodnika Powszechnego* w 1953: obaj działali w środowiskach KORu, potem w „Solidarności”.

Nie, więc jednak nie żałuję. Niczego w tym świecie nie da się jasno zrozumieć, poza tą jedną może prawdą, że nie ma tu indywidualnego życia w odosobnieniu. Wszystkie formy życia trzymają się ze sobą i siebie nawzajem. Termit, owad żyjący gromadnie, byłby niczym bez mikroskopijnego żyjątko w swoich wnętrznościach, zwanego *Myxotricha paradoxa*. Lewis Thomas, stojący na czele Memorial Sloan Kettering Institut for Cancer Research, biolog renomowany, kiedyś powiedział: — Chciałbym zaproponować, aby wojna atomowa tak długo była zakazana, aż dowiemy się wszystkiego o *Myxotricha paradoxa*. Inaczej to ujmując, kiedy już pojmimy znaczenie tego jednokomórkowego pasożyta, będziemy tak świątli, że konflikty staną się nie do pomyślenia. Jednak nigdy tej komórki nie zrozumiemy analizując ją samą w sobie, osobno. Bowiem nic na świecie nie ma znaczenia — w izolacji. Gdy będziemy wszystko wiedzieć o najmniejszym żyjątku na ziemi, będzie to znaczyć, że wiemy już wszystko o wszystkim. — Metafora naukowca-filozofa zawiera niedwuznaczny nakaz logiczny i moralny. O życiu należy myśleć w jego wielopostaciowości i złożoności, wiedzieć, że skutek przelewa się poza brzegi przyczyny, oddziałowuje na przyczynę — a nawet sam ją wytwarza. Że rezultat współokreśla i przeobraża to, z czego sam się wyłonił.

Może więc w świetle tego rodzaju zawężenia i współokreślenia się skutków i przyczyn i okoliczności, jakie na nie napierają,

znajdzie się jakiś sposób naświetlenia mego fatalnego zabłąkania w peerelu i — następnie — mego przepchnięcia się przez to gorzkie doświadczenie, nie bez korzyści, nie bez rezultatu, który samo łono peerelowskie w jakimś statystycznym stopniu odszczaścił. Tak, przy pomocy metafory każde, najobrzydliwsze przeżycie można nobilitować. Z kolei taki fakt sobie przypominam.

Było to w połowie lat wojny reżimu z narodem. W autobusie na Nowym Świecie spotkałem przypadkowo Jana Józefa Lipskiego, po czym wysiedliśmy i odprowadziłem go kawalek, do Pałacu Staszica, siedziby IBL, gdzie pracował nie przestając działać w podziemiu. W 1944 byliśmy w tym samym pułku, w Baszcie. Kontekstu rozmowy nie pamiętam, tylko jej najważniejszy odprysk, który mnie jakby ugodził między oczy. Zdaje się, że go spytałem, dlaczego nie został w Szwecji, gdzie się leczył. A Lipski odparł najkrócej, jak tylko można:

— Nie. Z tego kraju ja nigdy dobrowolnie nie wyjadę.

Nie mogę siebie porównywać z Lipskim, jego prawością najzupełniejszą, z tym charakterem, który nigdy się nie skompromitował. Dla niego polskie doświadczenie ani jeden dzień nie przestawało być czynne, podmiotowe, autorskie — jego własne. Własnymi rękami je wznosił. Ja zostawałem ze swoim przeżyciem spłaszczonym, zadartym od pewnego momentu. Podparłem je wedle swych możliwości pisząc jako PELIKAN do *Kultury*. Więc skalę Lipskiego biorąc za miarę — żałuję wyjazdu z Zachodu. Żałuję. Problem, być może, w ogóle nie nadaje się do wyjaśnienia, co najwyżej do zademonstrowania, ale i to byłoby jak kręcenie bicia z piasku. Nie zrobiłem tej demonstracji wtedy, w mieszkaniu Marka Nowakowskiego, kiedy we mnie stuknął swoim pytaniem. Ciekaw jestem, co powie, gdy to teraz przeczyta. Najpewniej powie: — No bracie, nie zazdrościsz ci twoich reminiscencji i twoich refleksji, twojego COGITO.

Zbigniew FLORCZAK

POLCUL FOUNDATION

KOMUNIKAT

Na kolejnym półrocznym posiedzeniu, w dniu 15 lipca 1990 r. Fundacja przyznała dalszych 17 wyróżnień osobom zaangażowanym w ruch kultury w Polsce.

Wyróżnienia otrzymali:

Adam BOROWSKI, Krzysztof CNOTALSKI, Krzysztof DAWIDO-

WICZ, Maciej FRANKIEWICZ, Andrzej FRISZKE, Teresa FRODYMA, Stanisław GŁAŻEWSKI, Rafał GRUPIŃSKI, Aleksander HERZOG, Tomasz JARZĘBOWSKI, Barbara JÓZWIĄK, Paweł JUZWA, Stanisława KSIĄŻEK, Piotr LEGUTKO, Wiesław MIZERSKI, Elżbieta MORAWIEC, Marek NOWICKI.

Z wymienionych osób 8 otrzymało wyróżnienia
im. Eudoksji RAKOWSKIEJ

oraz 8 osób — wyróżnienia
im. Mieczysława KUŁAKOWSKIEGO

Zgłaszanie kandydatów:

Kandydatury do wyróżnień rozpatrywane są dwa razy do roku, w maju i w listopadzie.

Wnioski należy przysyłać na adres Fundacji:

POLCUL FOUNDATION
P.O.Box 193,
ROSE BAY, N.S.W. 2029
Australia

Winny one zawierać imię, nazwisko i adres kandydata oraz wnioskodawcy. Uzasadnienie nie powinno przekraczać jednej strony maszynopisu.

Wnioski mogą być nadsyłane przez osoby pojedyncze, grupy lub instytucje. Stawianie własnych kandydatów (swej własnej osoby) nie jest możliwe.

Kryteria wyróżnień:

POLCUL FOUNDATION wyróżnia wyłącznie osoby indywidualne. Fundacja bierze pod uwagę:

1. osobistą ofiarność i zaangażowanie kandydata.
2. działalność społecznikowską o wyraźnym oddźwięku społecznym, oraz
3. stopień, w jakim działalność kandydata przyczynia się do budowy i rozwoju społeczeństwa obywatelskiego w Polsce.

Informacje:

Wszelkie informacje o działalności POLCUL FOUNDATION można otrzymać z biura Fundacji w Australii lub od przedstawicieli POLCUL FOUNDATION w Polsce. Są nimi:

Jan HANASZ — Toruń, ul. Krasieńskiego 57 m. 10, tel. 2 82 06

Kazimierz DOBROWOLSKI — Warszawa, ul. Krępowickiego 9/95, tel. 37 62 21

Ryszard TERLECKI — Kraków, ul. Blich 6/12, tel. 21 66 82

KOMUNIKAT FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ

(Zasady przyznawania stypendiów)

Stypendia przyznawane są pisarzom, publicystom, artystom oraz badaczom w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych.

Stypendia przyznawane są na pobyty za granicą, w wyjątkowo uza-

sadnionych przypadkach — również na wykonanie konkretnej pracy w kraju.

Stypendia przyznawane są w zasadzie na okres nie dłuższy niż jeden miesiąc.

Podania powinny wpływać do 1 października — na pobyty planowane na I połowę roku następnego i do 1 kwietnia — na II połowę tegoż samego roku.

Podanie powinno zawierać życiorys, informacje o dorobku twórczym oraz program pobytu za granicą. Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Ta sama osoba nie może otrzymać ponownie stypendium wcześniej niż przed upływem 5 lat.

Wnioski należy przysyłać na adres:

Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej
c/o Wojciech Sikora (sekretarz Funduszu), 5, rue Dorian,
75012 Paris, France.

NAGRODA IM. K.A. JELEŃSKIEGO DLA TŁUMACZY LITERATURY POLSKIEJ

W związku z przydzieleniem pięciu nagród wymienionych w nocie w *Kulturze* nr 7-514/8-515 pozostała suma do rozdziału następnych nagród wynosiła 40.000 franków. Do sumy tej doszedł dar Olgi Szerer wysokości 11.000 franków, jak również suma 10.000 franków — nagroda dla Petara Vujičića, który odmówił jej przyjęcia, przysyłając niżej wydrukowany list. W majątku nagrody jest więc w tej chwili suma 61.000 franków.

Belgrad, 24.VII.1990

Drogi Panie

Zaraz po otrzymaniu *Kultury* z komunikatem o nagrodzie, napisałem do pana Herlinga, iż ja nagrody nie przyjmę.

Naprawdę żałuję, iż mnie wcześniej nie pytano o zgodę: mógł bym nagrodę otrzymać ktoś, dla kogo to byłoby przyjemne. Dla mnie to tylko nowy kłopot, bo Polacy czytają *Kulturę* i nikt nie uwierzy, że tej nagrody nie przyjąłem. Bo kilka miesięcy temu prosiłem Międzyrzeckiego, aby mnie nie kandydował do nagrody PEN-u polskiego, oraz Barańczaka, aby mnie nie kandydował do jakiegś z nagród na emigracji. Po prostu, chcę pozostać nienagrodzonym, i ta decyzja jest ostateczną.

Oczywiście, szanuję znaczenie K.A. Jeleńskiego, ale dla mnie już jest późno, abym się na stare lata włączał do gry o prestige.

Łączę pozdrowienia i wyrazy poważania.

Peter Vujičić

ewolucją przestrzeni akceptacji i wykluczania od starożytności po dzień dzisiejszy. Inaczej mówiąc, jako rozprawę z dziejów proksemiki, czyli nauki o semantyce przestrzeni.

Krzysztof Pomian:

„Książka próbuje przedstawić historię Europy w taki sposób, by można ją było ogarnąć jednym spojrzeniem. Nie idzie o szczegóły, lecz o wizję całości. Wyznaczenie ram, w których zdarzenia stają się zrozumiałe. Dlatego też nazwiska zredukowano do niezbędnego minimum, a dziesięciolecie stało się najmniejszą jednostką pomiaru czasu. [...]”

Mam nadzieję, że niniejsze ujęcie historii Europy nie jest ani polonocentryczne, ani frankocentryczne, że książka jest napisana z europejskiego punktu widzenia”.

Kiedy barbarzyńcy przerwali granice rzymskiego imperium, rozpoczął się proces trwający mniej więcej tysiąclecie — proces powstawania i dojrzewania narodów europejskich, który zakończył się w epoce rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich kolejnym przekraczaniem granic, innymi transgresjami, które strukturalista, z miłości do symetrii, powitałby z niekłamana satysfakcją.

Rzymskie *limes* oddzielały świat kultury od świata nauki, ludzkie od zwierzęcego, choć jednocześnie w przygranicznych warowniach dwa światy handlowały między sobą. Do imperium napływało coraz więcej barbarzyńców z lęku przed niewolnictwem lub śmiercią. Barbarzyńcy integrowali się szybko, ale też po trosze barbaryzowali rzymskie prowincje, w miarę jak słabła władza i moc bojowa legionów.

W imperium szerzyła się nauka Nazaretańczyka. Konflikto wi między chrześcijaństwem i pogaństwem odpowiadała coraz większa nieszczelność *limes*. Trzeci wiek naszej ery otworzył etap „długiego trwania” ku pierwszej europejskiej wspólnotce, a konflikt między chrześcijaństwem i pogaństwem miał charakter szczególnie: Nowe Objawienie przeciwstawił przestrzeni kultury: filozofii, retoryce, stylom życia, obyczajom uznawanym za rzecz ludzką, arcyłudzką. Wybór między Atenami i Jerozolimą dodatkowo komplikował i tak wystarczająco zagmatwany układ przesłanek.

Stosunek do tradycji pogańskich różnicował stanowisko Kościoła w kwestiach najzupełniej podstawowych, o czym świadczą gnozy i arianizm.

Ósmy wiek pozostanie w dziejach Europy wielkim stuleciem: ustaliły się główne linie rozwoju cywilizacyjnego kontynentu i jego wyznaczniki kierunkowe. Powstał chrześcijański obszar kulturowy ponad regionalnymi podziałami etnicznymi oraz przesłanki konfliktu między papieżstwem i cesarstwem.

Pierwsza „wspólnota europejska” tworzyła się jako uniwer-

Książki

Zarys historii wspólnot europejskich*

L'Europe et ses nations, nowa książka Krzysztofa Pomiana, opisuje proces powstawania Europy — w tym sensie jest pracą historyka — oraz ujawnia mechanizmy kultury europejskiej — jest zatem również dziełem filozofa. Jednoczesna obecność dwóch poziomów refleksji (wątek historiozoficzny pozostaje skromnie ukryty pomiędzy wierszami) charakteryzuje piarstwo Krzysztofa Pomiana. Jego poprzednia książka: *Collectionneurs, amateurs et curieux. Paris, Venise: XVIIe-XVIIIe siècle*, Paris 1987, Editions Gallimard (zob. *Kultura* 1988, nr 12), obok szczegółowych rozważań o włoskich kolekcjach i zbieraczach, zawierała teorię symbolu oraz rozważania o semantyce eksponatów.

Książka o Europie i jej narodach wywołała żywe odgłosy w prasie francuskiej: wystarczy choćby przypomnieć obszerną dyskusję w *Liberation* (13 lipca 1990), recenzje w *Le Monde*, *L'Express*, *La Croix*.

Czym jest historia Europy? Historią jej granic oraz dziejami pojęcia „Europa”, formy wypełnionej znaczeniem narzuconym przez bieg wypadków, układ sił, czyny i słowa. Jest również historią sprzecznych tendencji, świadomie lub nieświadomie działających w kierunku jednoczenia lub podziału. Dzieje Europy można zatem rozumieć jako wypadkową konfliktów przenikających jej tkankę kulturową, jako nieustanny ruch pomiędzy biegunami organizującymi podstawową strukturę zmiennej tożsamości europejskiej.

Bo Europa zmieniała się nieustannie. Z pewnego punktu widzenia historię Europy dałoby się pomyśleć jako studium nad

* Krzysztof Pomian, *L'Europe et ses nations*, Paris 1990, Editions Gallimard, s. 252.

sum chrześcijańskie przez włączenie obszarów dawniej nie tylko pogańskich, ale wyrzucanych poza obręb świata cywilizowanego. Ustanawiała jednocześnie nową, wewnętrzną granicę, zmuszając nowych władców do opowiedzenia się za Rzymem lub Konstantynopolem, papieżem lub cesarzem.

Europa w początkach XII stulecia jawi się jako jedność chrześcijańska obrządku łacińskiego — wspólnota religijna i kulturalna, ale nie polityczna. Chociaż ciągle wojny i konflikty, przetargi, rywalizacje, zdrady i podstępny, krótko mówiąc — niestanne polityczne wrzenie, nie podważyło to kulturowej jedności Europy. Rzym pozostał, mimo wszystko, jej centrum duchowym, Paryż, Bolonia, Padwa, nieco później Montpellier, Oxford, Salamanka, Praga, Kraków i Heidelberg — ośrodkami życia naukowego, gdzie studiowano Pismo i Ojców Kościoła, ale też Arystotelesa, Platona, prawo rzymskie, fragmenty Euklidesa i Archimedes.

Od późnego antyku kultura elit europejskich oscylowała pomiędzy dwoma biegunami: chrześcijańskim, skupiającym tradycje biblijno-patrystyczne oraz pogańskim, zogniskowanym wokół dorobku retoryki i filozofii. Biegunami z pewnego punktu widzenia nieporównywalnymi, bowiem ogniskującymi dwie różnorodne dziedziny: z jednej strony rzecz wiary i objawienia; z drugiej zaś — rzecz rozumu, sztuki i literatury.

Oba bieguny, choć nieporównywalne, pozostawały jednocześnie nierozłączne. Wytwarzały system zmiennych napięć oraz konfliktów, których przewyciężenie wymagało ogromnego wysiłku intelektualnego: włączenia lub eliminacji dziedzictwa antycznego do chrześcijaństwa.

Ruch wahadłowy pomiędzy biegunami zakreślał podstawową strukturę kultury europejskiej. Historię kształtowania i rozpadu dwóch pierwszych „wspólnot europejskich”, czyli po prostu historię Europy do pierwszej wojny światowej, można wyobrazić sobie jako dzieje oscylacji pomiędzy obydwoma biegunami kultury europejskiej, historię jej „bipolarności”. Innymi słowy: jako opis kolejnych „renesansów” i „reformacji”.

Ów ruch znaczony wychyleniami jakiegoś tajemniczego wahadła Foucaulta powoduje, że wspólnoty europejskie zacieśniały się (oczywiście tylko pod pewnymi określonymi względami), gdy wskaźnik wahadła zbliżał się ku biegunowi retoryczno-filozoficznemu. Wywoływał kolejne „renesansy” (od VIII stulecia — *renovatio imperii romani*, przez wiek XII — odrodzenie obejmujące całą ówczesną Europę, aż do najbardziej znanego, bo najchętniej zatruwanego przez szkołę, renesansu z połowy wieku XIV).

Wychylenie wahadła w stronę przeciwną, ku biegunowi biblijno-patrystycznemu, prowokowało fale „reformacji”. Do cza-

sów Lutra Kościół potrafił na różne sposoby panować nad kolejnymi przybojami „reformy”: inaczej potoczyły się losy św. Franciszka, inaczej katarów. W każdym razie szesnastowieczna Reformacja skutecznie zerwała dotychczasową jedność religijną Europy.

Krzysztof Pomian:

„Nawroty kultury europejskiej w stronę biegunu biblijno-patrystycznego, czyli reformacje, programowała sama dwubiegunowość struktury kulturalnej Europy, podobnie jak zbliżenie ku biegunowi przeciwnemu — renesansy. Owa ważka analogia nie powinna przesłaniać różnic: biegun retoryczno-filozoficzny reprezentowały instytucje kulturalne, których zasięg był ograniczony, ogarniający nikłą grupę ludności. Biegun biblijno-patrystyczny skupiał dogmaty, w które wierzyć powinni wszyscy [...] Biegun retoryczno-filozoficzny tolerował podziały. Rozbieżności na biegunie biblijno-patrystycznym narażały na niebezpieczeństwo jedność religijną społeczeństwa stanowego [...]”.

Reformacja, kładąc kres jednej wspólnotcie, otworzyła drogę kolejnej — europejskiej wspólnotcie *République des Lettres* — *Respublica Letteraria*. Wahadło przechyliło się wyraźnie w stronę przeciwnego biegunu.

Czy trzecia wspólnota europejska jest możliwa i na jakiej zasadzie, skoro od pierwszej wojny światowej i przewrotu bolszewickiego nie sposób opisać mechanizmu działania kultury dwubiegunowo, a tajemnicze wahadło Foucaulta, odmierzające rytm historii Europy dawnych wieków, zaczęło tańczyć zwariowanego kozaka?

Chociaż nie wiadomo, czy bolszewicki mesjanizm rewolucyjny, podnoszący Związek Sowiecki do roli państwa-wyzwoliciciela i wyrzucający tym samym owo państwo własnowolnie poza obręb Europy, nie był spazmatycznym zaiskrzeniem biegunu „biblijno-patrystycznego”, swoistą „nadreformacją”, wynaturzoną niczym trójgłowe prosięta z Czarnobyli?

Rozważania Krzysztofa Pomiana kończą się — zasadniczo — na pierwszej wojnie światowej, która odegrała rolę gigantycznejminy rozrywającej dotychczasowe pasma kulturowego dziedzictwa — kod genetyczny Europy — oraz spełniła rolę katalizatora przyspieszającego dojrzewanie ukrytych w europejskiej tradycji ciemnych wątków szaleństwa: ludobójstwa, zacieklej nacjonalizmów, antysemityzmu, gułagów i kacetów. Pierwsza wojna światowa zniweczyła szanse na nową wspólnotę europejską, kolejną jedność powstającą i znikającą w rytmie wychyleń, wprowadzających w ruch przez wieki wskazówki na cyferblacie staroświeckiej penduli.

Trzeciej wspólnoty europejskiej — wspólnoty w sensie proponowanym w *L'Europe et ses nations* — nie należy utożsamiać

ze Wspólnotą Europejską, chociaż bez wątpienia Dwunastce przypadło w udziale główne zadanie jej organizacji. Aby trzecia wspólnota powstała, należy — zdaniem Krzysztofa Pomiana — rozpoznać nowy układ sił w obrębie Dwunastki wywołany zjednoczeniem Niemiec, dokonać integracji cywilizacyjnej postkomunistycznych krajów Europy Środkowej i Wschodniej, ustalić reguły gry ze Związkiem Sowieckim po jego obietnicach nawrócenia się na Europę.

Krzysztof Pomian:

„Nieprawda, że historia niczego nie uczy — uczy, lecz tylko tych, którzy potrafią wyciągnąć wnioski z przeszłości. Dla Europy wypływa wniosek jasny: jej najgorszym wrogiem jest wirus tkwiący niejako w europejskim kodzie genetycznym, wirus zdolny do najdziwniejszych mutacji: wcieleń nacjonalistycznych, etatycznych, ideologicznych, do tęsknot za autarkią lub hegemonią [...]. Nic nie wskazuje na to, że ów wirus stracił swą zaczepność. Można natomiast sądzić, że drzemie w nadziei odzyskania sił. Trzecia wspólnota europejska ma szansę realizacji tylko pod warunkiem znalezienia szczepionki przeciwko przyszłym mutacjom wirusa”.

Kto uspokoi ruch wahadła? Co zabije smoka?

Krzysztof RUTKOWSKI

Pomysł na pismo

Nie jestem przekonany, że w obecnej sytuacji Polsce brakuje nade wszystko czasopism. Są inne potrzeby, nierównie ważniejsze, chociaż nie ulega wątpliwości, że głód wolnej, niezależnej prasy pozostał niezaspokojony. Na miejsce likwidowanych tytułów powstały inne, które jednak w niewielkim stopniu odpowiadają różnicowaniu społecznemu. Opinii publicznej równie trudno przebić się ze swymi racjami, co poprzednio, a głos jest udzielany tym, którzy popierają władzę i aktualne *status quo*. Opozycjoniści mają złe. I to nawet wtedy, gdy sprzeciw ogranicza się jedynie do panującej mody literackiej czy wzorów kultury. Totalitarny styl myślenia ciąży nad Polską. Ulegają mu wszyscy, także niedawni przekonani zwolennicy demokracji. Widocznie łatwiej jest o demokrację walczyć niż ją praktykować. Pod ściskającym wszystkim od zeszłego roku gorsetem jednego frontu i niechęci do odmiennych sądów politycznych, a nawet estetycznych, wrą namiętności, które mogą wybuchnąć w sprzyjającej chwili. Przeciwstawne opinie przerodzą się wtedy w demo-

ny i zniszczą słabą tkankę demokratycznych struktur, które w systemie kontraktu okrągłego stołu z takim wysiłkiem próbują odnaleźć dla siebie miejsce. Tym cenniejsze jest niepoddawanie się naciskom zewnętrznym, płynącym od tych, którzy wołają zachować monopol. Niedawno wydany kwartalnik *Kresy* (zima 1990) jest świadectwem prężności środowiska lubelskiego, które przedkłada niezależność nad śpiew chóralny. Podobny walor miały *Spotkania*, które chociaż redagowane niechlujnie i mało regularnie, były dalekie od zgody na uproszczoną wizję świata, jaka w końcu lat siedemdziesiątych wyznaczała granice opozycyjnego myślenia.

Kresy — kwartalnik literacki, podpisywany przez Grzegorza Filipa przy współpracy członków NZS UMCS — mają na celu odzyskanie miejsca dla Lublina na literackiej mapie kultury. Są zarazem — sądząc już po pierwszym numerze — wyraźnym odwołaniem do bogatej tradycji wielonarodowej Rzeczypospolitej. Bardzo to potrzebne przypomnienie w czasach, gdy szerzy się ksenofobia, a syndrom obłożonej polskości przeważa nad potrzebą tolerancji i zrozumienia dla innych. Porozumienie staje się coraz trudniejsze, nawet wśród ludzi niedawno sobie bliskich polityczną działalnością, a jest niemożliwe dla tych, co przychodzą z odrębnych kultur bądź tradycji. Polska straciła pamięć o własnej przeszłości. Można sądzić, że kwartalnik *Kresy* ma ją przywrócić. Takie są przynajmniej intencje redaktorów, którym towarzyszy oczekiwanie czytelników. W edytoriale z pierwszego numeru zostały one wyraźnie uwypuklone.

„Kresowość to nie tylko historia, mocarstwowa przeszłość, wspomnienia i nostalgia. Hasło to wnosi do współczesnego myślenia niezwykle istotne wątki. Kresowość to spotkanie i koegzystencja narodów, religii i kultur, to polifonia wielonarodowości, to współistnienie w wielojęzyczności. Integrację, partnerstwo, równoprawność i dialog kultur, wolność i autonomię jednostki, czyli najważniejsze problemy i zjawiska nurtujące współczesną Europę, Europę wspólnego domu, odnaleźć można w tradycji kresów. Kresowość to nie tylko tradycjonalizm szlacheckiego dworku, jego lokalność i prowincjonalność, zaściankowość i izolacja, lecz także harmonia i ład życia, trwałość form i wypełniających je idei, to pejzaż, który zdążył się stać archetypem, to wreszcie swojskość i autentyzm.

Na ile ten ambitny cel zostanie spełniony, trudno jest osądzać po pierwszym numerze kwartalnika. Raczej można odpowiedzieć, że niewiele różni się nowe pismo od wszystkich innych, które próbują odnaleźć dla siebie przestrzeń w dzisiejszej kulturze. *Kresy* wypełniają wiersze (w tym dwojga znanych poetów warszawskich, Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego), proza Bogdana Madeja znana już z wydania paryskiego, kilka szkiców, pośród których „Śmierć Boga a śmierć człowieka” Jadwigi Mizińskiej wyróżnia się odwagą stawianych tez i sporą oryginalnością przemyśleń. Nieco za mało jak na odważne pismo, którego ambitne zadania sięgają wprowadzenia na nowo peryferyjnej kresowej tematyki w obręb polskiego myślenia o świecie.

Tak się składa, że w kwartalniku lubelskim kresów jest jak na lekarstwo. Można się tym nie przejmować, gdyż regułą jest w Polsce rozmijanie się programów z realizacją, ale szkoda, że redaktorzy *Kresów* nie potraktowali poważniej własnego programu. Jego znaczenia i wartości nie trzeba podkreślać gdyż dowodem są liczne — czasami nadmiernie wręcz przepojone nostalgią — odwołania do kresowej tradycji, do legendy wschodnich peryferiów Rzeczypospolitej. Poza zrozumiałym tonem emocjonalnym daje się w licznych utworach literackich przypominających kresy zauważyć niebezpieczne poczucie wyższości i z lekka tylko maskowaną chęć rewindykacji. Do tej pory paraliżowana przez cenzurę i liczne ograniczenia polityczne, w zmienionej sytuacji ma szansę się odrodzić i w sposób poważny zburzyć możliwość ułożenia sobie przez Polskę kontaktów z odzyskującymi niepodległość państwami Wschodniej Europy: Litwą, Ukrainą, Białorusią, Łotwą. Szansą na niedopuszczenie do zmartwychwstania upiorów jest wnikliwe potraktowanie zagrożeń, które są skutkiem duchowego i politycznego rozkołysania społeczeństwa oraz niedojrzałości moralnej jego elit, zajętych głównie utrwalaniem swego monopolu władzy. Pismo poświęcone kresom — niezależnie od tego czy skupia swą uwagę na literaturze czy też na problemach społecznych i politycznych — nie może zapominać o uwikłaniach polskiej obecności na wschodzie, o niechętnym przyznawaniu się tamtych narodów do wspólnego z Polakami dziedzictwa. Nie może to dziwić. W Polsce też mało kto jest świadomy wartości dziedzictwa kultury niemieckiej, która silnie naznaczyła polską historię. I to nie tylko na obszarach włączonych do kraju po 1945 roku, w wyniku umowy jałtańskiej. Ci, co wiedzą i doceniają, wolą zapomnieć w obawie przed reakcją szowinistycznego samodurstwa i wypływającej z kompleksu niższości ksenofobii.

Syndrom kresów sięga głębiej niż emocjonalne związki i pamiętne obrazy ziem utraconych na wschodzie. Pojawia się jako refleks postawy obrońców chrześcijaństwa (*antemurale christianorum*); mniej ostatnio aktywny, ale nadal widoczny ton wyższości wobec narodów sąsiadujących na wschodzie z Polską; niechęć do Rosjan, która przestała pełnić funkcję bariery przed sowietyzmem przeradza się w zapoznawanie wybitnych walorów rosyjskiej sztuki — nade wszystko literatury. Świat kresowy, który do Polski nie wróci nigdy, a co więcej w swojej historycznej wersji nie powinien powrócić, gdyż za wiele nieśliśmy ludom ościennym krzywd i pogardy, może jednakże spełniać również pozytywną rolę w obliczu cywilizacyjnej klęski, jaką Polacy ponieśli w XX wieku. Przynosi on nam wołanie o pomoc. Jest apelem do Polski o uznanie narodów i społeczności, które z takim uporem walczą o swoją wolność. Niesie wspomnienie dziedzictwa wielkiej Rzeczypospolitej, z którego zostało niewiele poza jednym: powinnością wobec tych, co mają gorzej i są dużo mniej niezależni, a za to bardziej pokrzywdzeni. Mniej chodzi o misję, a bardziej o zrozumienie dla sąsiadów, którzy byli współmieszkańcami w swoim czasie jednego kraju. Dla ich historii, ich

obyczaju, ich kultury, ich prawa do niepodległości. I na tym polegałby największy sens wydawania dzisiaj kwartalnika poświęconego kresom. Mniej idzie o przypominanie tego co było, niż o uznanie wartości współczesnych dążeń Ukrainy, Litwy, Białorusi, Łotwy, Estonii. Może nawet i samej Rosji. O ich polityczną i społeczną akceptację przez Polaków.

Marek ZIELIŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- KOTT (Jan). *Przyczynek do biografii*. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn, 1990, cena £ 4,50, \$ 11)
- WĘGRZECKI (Kazimierz). *Czarne plamy historii. Kronikarskie odnotowania. 1.9.1939-17.5.1989*. Str. 264. (Wyd. Veritas, Londyn 1990).
- TOMASZEWSKI (Adam). *Wiosna u Wielkich Jezior*. Str. 256. (Wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990).
- Arabowie i Żydzi*. W: *Konfontacje* nr 12, red. Irena Lasota. Str. 208. (Wyd. IDEE, Nowy Jork 1990).
- DRYSZKIEWICZ (Alicja). *Dwa zielone listki*. Str. 171. (Wyd. nie podane, RFN 1990).
- NOWOSIELSKI (Kazimierz). *Najbliższa dal. Z wierszy dawnych i nowych*. Str. 84. (Wyd. nie podane, Gdańsk 1990).
- Czerwone życiorysy*. W: *Konfrontacje* nr 10. rd. Irena Lasota. Przedruk krajowy, wyd. Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1990).
- JUREWICZ (Aleksander). *Lida*. Str. 113 i 7 nbl. (Wyd. „Versus”, Białystok 1990).
- Ethos*. *Kwartalnik Instytutu Jana Pawła II*, KUL, nr 9/10. Str. 479 i 3 nlb. (Wyd. KUL, Lublin 1990).
- WIERZBICKI (Piotr). *Bitwa o Wałęsę*. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. *Tygodnik Solidarność*, Warszawa 1990).
- KULSKI (Julian). *Stefan Starzyński w mojej pamięci*. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. PWN, Warszawa 1990).
- STĘPNIK (Krzysztof). *Filozofia metafory*. Str. 248. (Wyd. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1990).
- POLKOWSKI (Jan). *Elegie z tymowskich gór i inne wiersze*. Str. 115 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- SZCZEPAŃSKI (Jan Józef). *Małeńka encyklopedia totalizmu*. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- KOZŁOWSKI (Maciej). *Między Sannem a Zbruczem. Walki o Lwów i Galicję Wschodnią 1918-1919*. Str. 312. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- CZAPSKI (Józef). *Czytając*. Str. 494 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1990).
- TRZNADEL (Jacek). *Hańba domowa*. Str. 338 i 6 nlb. (Wyd. „Tekst” i „Versus”, Lublin 1990).
- BRODECKI (Bogusław). *Dien Bien Phu 1954*. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. MON, Warszawa 1990).
- MOSSAKOWSKI (Paweł). *Człowiek wśród mebli*. Str. 101 i 3 nlb. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1990).

lenie rozdziału kosztów takiego przedsięwzięcia. Innym zagadnieniem z pewnością byłaby obsada dziennikarska — tu jednak, jak sądzę, rzecz należałoby powierzyć jednej (lub kilku) międzynarodowej organizacji dziennikarzy, może nie tylko dziennikarzy, może by należało włączyć do współpracy w tej dziedzinie na przykład PEN Club i inne tego rodzaju stowarzyszenia. Możliwości jest wiele, jednego wszakże należałoby unikać — jakiegokolwiek „opieki” politycznej, to bowiem musiałoby sam pomysł już od początku obrócić w jego karykaturę.

Nie sądzę, by koszta realizacji takiej rozgłośni były przesadnie wysokie — zresztą w Europie wydaje się pieniądze na tak nieprawdopodobne i mało komu przynoszące pożytku przedsięwzięcia, że i na to by się fundusze znalazły. Rzecz jasna, że w takim wypadku obecna baza materialna, przede wszystkim techniczna, musiałaby ulec daleko idącej modernizacji: nie ulega wątpliwości jednak fakt, że jest od czego zacząć, a to wydaje się nie bez znaczenia.

Leszek SZARUGA

POLONIA BOOKSTORE

Największa Księgarnia Polska w Ameryce

2886 Milwaukee Ave.
Chicago, IL 60618

tel. (312) 489-2554

Polecamy szeroki wybór książek w języku polskim: Literatura Piękna, Społeczno-Historyczna, Poezja, Książki dla Dzieci i Młodzieży, Książki o Tematyce Religijnej, Słowniki, Podręczniki do Nauki Języków Obcych, Poradniki, Książki Kucharskie.

Bogaty wybór książek o tematyce polskiej w języku angielskim. Czasopisma emigracyjne i z Polski, płyty gramofonowe, kasety muzyczne.

Nasz katalog wysyłamy bezpłatnie

Książka to kultura w domu

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15.6.90

Wojciech Wieczorek został mianowany ambasadorem RP w NRD. W latach 1981-1989 był naczelnym redaktorem *Więzi*, brał udział w pracach Konwersatorium „Doświadczenie i przyszłość”, był również członkiem warszawskiego KiK-u. Jednocześnie Janusz Reiter został mianowany ambasadorem RP w Bonn. Jest to znany dziennikarz, który pracował w *Życiu Warszawy*, *Przeglądzie katolickim* i w *Gazecie Wyborczej*. ■ W związku z wymianą marki wschodniemieckiej na zachodniemiecką ustalono — jeśli idzie o Polaków — następujące przeliczniki — 1:1 dla Polaków zameldowanych w NRD; 1:2 dla dojeżdżających i 1:3 dla dyplomatów, pracowników biur handlowych itp. Nie została jeszcze ustalona sprawa wymiany marek NRD w polskich bankach. Z punktu widzenia NRD są to pieniądze nielegalne, gdyż marek nie wolno było wywozić. ■ W ub. roku Kancelaria Prezydenta i Urząd Rady Ministrów przyznały 248.910 orderów i odznaczeń. M.in. zostali odznaczeni Józef Żyta, minister sprawiedliwości w latach 1976-1981 oraz Zenon Kliszko, minister sprawiedliwości w 1948 r. Sytuacja jak z Kafki!

23.6.90

Warszawska *Polityka* podaje, że w ostatnią niedzielę maja br. odbyła się przysięga wojskowa z mszą polową. Przed złożeniem przysięgi żołnierze stojący na baczność w szeregach musieli przyjąć komunie św. Pokazała to telewizja lubelska. ■ Znany tygodnik sowiecki *Argumenty i fakty* (nakład 33.428.700 egz.) podaje, że prezydent ZSSR, Gorbaczow, wszystkie honoraria otrzymane na Zachodzie, czy w Związku Sowieckim, przekazuje „co do kopiejk” na cele społeczne. Tak np. 350 tys. dolarów przeznaczono na wyposażenie szpitala dla dzieci w Irkucku; szpital w Stawropolu otrzymał 400 tys. dolarów, które Gorbaczow dostał za książki wydane na Zachodzie; 200 tys. rubli przeznaczono na stworzenie parku dla dzieci w Moskwie itd. Jest to przykład godny naśladowania u nas.

24.6.90

Pierwszym laureatem dorocznej nagrody im. Sacharowa „za cywilną odwagę” jest Lidia Czukowska, którą usunięto ze Związku Pisarzy SSR w styczniu 1974 r. za artykuły i wystąpienia w obronie Borysa Pasternaka i Aleksandra Sołżenicyna. Nagroda ustalona przez Związek Pisarzy („Kwiecień”) wynosi 2,5 tys. rubli.

25.6.90

Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich przyznał szereg nagród za rok 1989. M.in. Nagrodę im. Bolesława Prusa otrzymali: Hanna Krall za reportaże, Ignacy Rutkiewicz za redagowanie miesięcznika *Odra* i Bolesław Wierzbiański za redagowanie *Nowego Dziennika* w Nowym Jorku. Nagrody zespołowe otrzymali m.in. *Gazeta Wyborcza* i *Tygodnik Gdański*. Nagrody im. Stanisława Konarskiego za książki otrzymali: Ewa Berberysz za „Głos Gułagu” i Wojciech Wiśniewski za „Ostatni z rodu. Rozmowy z Tomaszem Zanem” (książka ta została wydana przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie). Po raz pierwszy przyznano nagrody im. Stanisława Cata-Mackiewicza za tekst roku — otrzymali je: Adam Michnik za artykuł

„Wasz prezydent — nasz premier” oraz Piotr Wierzbicki za artykuł „Familia, świta, dwór”.

26.6.90

Uniwersytet wrocławski nadał tytuł doktora *honoris causa* prof. Tymonowi Terleckiemu z Londynu. Poprzednio doktorat *honoris causa* tegoż Uniwersytetu otrzymała Karolina Lanckorońska.

30.6.90

Premier ZSSR podał do wiadomości, że Związek Sowiecki zakupi na Zachodzie 44 mln ton zboża. Jest bowiem wątpliwe czy ostatnia uchwała o podniesieniu cen skupu zboża o 50% i możliwość zakupu ziarna za waluty wymienialne dadzą większe rezultaty.

1.7.90

W maju 1991 r. odbędzie się pierwszy światowy kongres Polonii medycznej, V międzynarodowy zjazd Polskiego Towarzystwa Lekarskiego oraz Krajowy zjazd delegatów P.T.L. Zjazdy te odbędą się w Częstochowie. ■ Prezydentem miasta Krakowa został wybrany prof. Jacek Woźniakowski, historyk sztuki, dyrektor wydawnictwa ZNAK. Ta nominacja wywołała powszechne zdumienie. ■ Sąd Najwyższy „zrehabilitował” oskarżonych w procesie szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Ta poniżająca forma załatwienia procesu moskiewskiego nie spotkała się z żadną reakcją rządu polskiego. ■ Znany tygodnik moskiewski *Ogoniok* zamieścił petycję 150 parafian kościoła polskiego św. Ludwika w Moskwie z prośbą o zwrot kościołowi domów przylegających do kościoła, które w swoim czasie zostały skonfiskowane przez KGB. Domy te potrzebne są dla stworzenia domu dla starców i szkoły niedzielnej. Remont tych domów zostanie dokonany ze zbiórek wśród parafian. Charakterystyczne, że petycja ta została skierowana do redakcji *Ogoniok*, a nie do Ambasady R.P., czy do polskich czynników kościelnych.

5.7.90

Vaclav Havel został ponownie wybrany prezydentem Republiki Czesosłowackiej.

14.7.90

Prasa sowiecka podaje, że armia ZSSR liczy 2.410 generałów. W związku z redukcją sowieckich sił zbrojnych o 500 tys. żołnierzy ilość generałów będzie zredukowana o 30%.

16.7.90

Krzysztof Śliwiński, zastępca redaktora naczelnego *Gazety Wyborczej*, został mianowany ambasadorem R.P. w Maroku. ■ Oficjalny dziennik *Rzeczpospolita* podaje, że Polska wystąpiła w Moskwie o zgodę na otwarcie ośrodków kultury polskiej w Mińsku i w Kijowie oraz konsulatów generalnych w Rydze i w Ałma Acie. Wystąpiono ponownie o podniesienie do rangi konsulatu tymczasowej agencji konsularnej we Lwowie. Ponownie również wystąpiono o podjęcie rozmów w sprawie usprawnienia ruchu osobowego na przejściu granicznym w Medyce oraz o otwarciu przejścia drogowego w Kuźnicy Białostockiej. Strona sowiecka zapowiedziała ponowne otwarcie przejścia granicznego w Ogrodnikach. Miejmy nadzieję, że pertraktacje w tej sprawie będą prowadzone bezpośrednio z Kijowem, a nie z Moskwą i że nie popełni się błędu gen. Jaruzelskiego, który załatwił sprawę konsulatu pol-

skiego w Wilnie w Moskwie, co spowodowało, że Republika Litewska do tej pory nie uznaje tego konsulatu.

20.7.90

ZSSR, dla pokrycia swego deficytu, sprzedał w ub. roku 350 ton złota. Od trzech lat ZSSR sprzedaje przeciętnie między 350 a 400 ton złota. Te masowe sprzedaże wpływają na niski kurs złota. ■ W Związku Sowieckim brak całkowicie tytoniu i papierosów. Sytuacja ta jest powodem szeregu strajków i manifestacji. ■ Znany tygodnik moskiewski *Argumenty i fakty* podaje, że w 1989 r. ze Związku Sowieckiego wyjechało: 105 tys. Niemców, 9,5 tys. Ormian (z Armenii), a do Izraela 13 tys. Żydów. Przewiduje się, że w br. wyjedzie 200 tys. Rosjan z chwilą, gdy będą mogli wyjeżdżać swobodnie. W najbliższym czasie wyjedzie ponadto 750 tys. Żydów. W I kwartale br. wyjechało już 30 tys. Żydów oraz 45 tys. Niemców. ■ ZSSR powierzył komercjalizację swojej produkcji diamentów Kompanii południowo-afrykańskiej de Beers. De Beers udzieliło ZSSR „zaliczki” w wysokości 1 miliarda dol. ■ Znany moskiewski cyrk odbywa tournée po Afryce Południowej mimo bojkotu, w którym udział bierze również Moskwa. Jak komentuje paryski *Nouvel Observateur* „moskiewskie błazny są nie tylko w cyrku”.

25.7.90

Włoski tygodnik *Espresso* podaje, że jeden z najbardziej poszukiwanych terrorystów na świecie, Abu Nidal, miał przez 6 lat swoją bazę w Warszawie. Występował jako biznesmen i był współnikiem firmy importowo-eksportowej SAS. Abu Nidal zajmował się handlem bronią na wielką skalę, współpracując z firmą CENZIN, podlegającą Ministerstwu Obrony Narodowej. ■ Zmarł w Warszawie płk. Antoni Sanojca „Kortum”, ostatni członek Komendy Głównej Armii Krajowej.

27.7.90

Sowiecka Republika Białoruska ogłosiła niezależność. Rezolucja ta została jednomyślnie przyjęta przez parlament. Białoruś chce ogłosić neutralność oraz denuklearyzację swego terytorium. Jest to kolejna republika sowiecka ogłaszająca swoją niezależność. Poprzednio uczyniły to: Estonia, Łotwa, Litwa, Federacja Rosyjska, Mołdawia, Uzbekistan, Azerbejdżan oraz Ukraina. Jednocześnie 26.7.br. odbył się zjazd sowieckich Kurdów, którzy domagają się przywrócenie Republiki Kurdyjskiej, która w czasach Lenina istniała przez krótki okres czasu.

1.8.90

Dyrektorem Instytutu Polskiego w Berlinie został Adam Krzemiński, a jego zastępcą — Aleksander Wirpsza (Leszek Szaruga). Ambasadorem w Austrii został mianowany prof. Władysław Bartoszewski, ambasadorem R.P. w Waszyngtonie Kazimierz Dziewanowski, dziennikarz i literat, a jego zastępcą w randze ministra — Maciej Kozłowski. Ambasadorem w republice Korei (Seul) mianowano prof. Jędrzeja Krakowskiego. We Włoszech ambasadorem został Bolesław Michałek, krytyk filmowy, kierownik literacki zespołu filmowego „Tor”.

3.8.90

Lech Wałęsa powołał Andrzeja Micewskiego na stanowisko szefa swoich doradców społecznych. Andrzej Micewski w latach 1946-1956 współpracował z PAX-em, następnie z redakcją *Więzi* i *Tygodnika Powszechnego*, od 1986 r. redagował w Wiedniu drukowany w Paryżu miesięcznik *Znaki czasu*;

był doradcą społecznym prymasa Glempa, a ostatnio rzecznikiem prasowym Stronnictwa Pracy mec. Siły-Nowickiego. ■ *Gazeta Wyborcza* podaje, że w Polsce stacjonują 34 garnizony sowieckie liczące 58 tys. żołnierzy. Do końca br. ich liczba ma się zmniejszyć do 48 lub 42 tys. Jak wygląda sprawa wojsk sowieckich w Polsce, nikt nie ma pojęcia, z pełnomocnikiem rządu do spraw pobytu Armii Sowieckiej w Polsce, gen. Mieczysławem Dębickim łącznie.

4.8.90

W nowym roku szkolnym zostanie wprowadzona nauka religii katolickiej w szkołach podstawowych i średnich w Polsce. Decyzja ta wywołała szereg protestów i zastrzeżeń, m.in. Kościoła prawosławnego, który ma w Polsce około miliona wiernych. ■ Episkopat Polski od szeregu miesięcy wywiera presję na Rząd, by wprowadzić restrykcje jeśli idzie o przerywanie ciąży.

6.8.90

Znany tygodnik paryski *Le Point* podaje, że w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy polska służba bezpieczeństwa spaliła około 40 tys. teczek akt (w rytmie 30-50 worków dokumentów dziennie). Idzie tu głównie o dowody działalności służby bezpieczeństwa i jej agentów, korespondencję z KGB, listę około 18 tys. informatorów etc.

ZACHÓD — EMIGRACJA

30.3.90

Zmarł w Nowym Jorku Jerzy Nagórski, jeden z dyrektorów szwajcarskich linii lotniczych Swissair.

20.4.90

Zmarł nagle w Argentynie w wieku 71 lat Edward Jurkojć, redaktor naczelny *Głosu Polskiego* w Buenos Aires. W 1940 skazany przez NKWD na 8 lat ciężkich robót na Syberii, dołączył do Drugiego Korpusu generała Andersa, dwukrotnie był odznaczony Krzyżem Walecznych, a po demobilizacji wyemigrował do Argentyny.

1.6.90

W dorocznym sprawozdaniu światowa znana organizacja „Aide à l'Eglise en détresse” podaje, że m.in. udzieliła pomocy Polsce w wysokości 6.963.658 dol. US. Pomoc ta obejmuje również uchodźców polskich. M.in. doroczne stypendium udzielane 9.713 seminarzystom zostało podniesione ze 150 dol. do 200 dol. Podniesiono również doroczną subwencję na kształcenie 1.315 nowicjuszek w zakonach żeńskich. „Aide à l'Eglise en détresse” obiecała w br. 2.140.000 dolarów na kształcenie seminarzystów i nowicjuszy w Polsce. Na sfinansowanie dalszych 131 projektów przeznaczono 450 tys. dolarów, ponad 138 zapotrzebowań Kościoła w Polsce oczekuje na pomoc. Na Litwę przekazano 20 tys. egzemplarzy *Nowego Testamentu*, wydrukowanego w Polsce. Ponadto finansuje się zniszczone w czasie wojny seminarium duchowne w Grodnie.

6.6.90

W Nanterre (Francja) odbyło się zorganizowane głównie staraniem p. Aleksandry Viatteau, kolokwium poświęcone Katyniowi, połączone z pokazem dwóch filmów archiwalnych.

9.6.90

Walne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu było połączone z uroczystością otwarcia muzeum po dwuletniej przerwie spowodowanej gruntownym remontem zamku. Wybrano nowego prezesa — został nim Fritz Mommendey.

10.6.90

Jury Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie przyznało doroczne nagrody, ufundowane przez p. Kazimierę Lenkszewiczową: I.M. Bocheńskiemu OP i prof. Czesławowi Lejewskiemu za całość twórczości.

15.6.90

W Waszyngtonie odbył się 48-my zjazd Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Prezesem Instytutu wybrano ponownie prof. Feliksa Grossa.

22.6.90

Zmarł we Wiedniu po ciężkiej chorobie artysta malarz batalista, Leszek Piasecki, ur. 7.08.1928 we Lwowie, uczeń prof. Jerzego Kossaka.

23.6.90

W Calsberg (RFN) odbyło się spotkanie 21 organizacji polonijnych z terenu Niemiec zachodnich. Uchwalono konieczność powołania wspólnej reprezentacji i w tym celu wyłoniono zespół, który ma przygotować projekt form działania.

26.6.90

Na ogólnym zebraniu profesorów i docentów PUNO profesor dr Józef Bujnowski, po ostrej krytyce działalności władz Uniwersytetu, zrezygnował ze współpracy z Uczelnią jako profesor Historii Literatury Polskiej i jako delegat Wydziału Humanistycznego do Senatu Akademickiego PUNO. Profesor Bujnowski wykładał historię literatury polskiej na PUNO od 1952 roku z ośmioletnią przerwą 1970-1978, kiedy to wykładał na uniwersytetach w Amsterdamie (gdzie po raz pierwszy zorganizował i prowadził studia polonistyczne) i Heidelbergu, a przez 13 lat kierował i prowadził studiami humanistycznymi na PUNO jako dziekan Wydziału Humanistycznego tego Uniwersytetu. Obecnie oświadczył, że nie widzi dalszej możliwości współpracy z ponownie obranymi władzami PUNO i zażądał skreślenia go z listy profesorów PUNO.

27.6.90

Na skutek inicjatywy Związku Legionistów Polskich w Krakowie zostaną sprowadzone do Polski prochy generała Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. Uroczystości pogrzebowe odbędą się w pierwszych dniach lipca br. na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Sprawę ekshumacji i zgodę na przewiezienie prochów Generała załatwił konsul R.P. w Nowym Jorku, Wiesław Lipka-Chudzik tak tajemniczo, że nikt z emigracji polskiej nie był o tym poinformowany i na uroczystościach ekshumacji na cmentarzu kalwaryjskim w Nowym Jorku nie było nikogo z działaczy polonijnych. ■ Przestał ukazywać się *Dziennik Polski* w Detroit. Pismo istniało 86 lat i miało piękną kartę w działalności Polonii w Stanach Zjednoczonych.

28.6.90

Zmarł w Londynie dr Tadeusz Piszczkowski. Przed wojną pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, na emigracji był znanym historykiem, pisarzem i publicystą.

30.6.90

Zmarł w Londynie w wieku lat 73 Zbigniew Antoni Scholtz, działacz społeczny. Ostatnio był ministrem Spraw Emigracji Rządu R.P. na Uchodźstwie.

1.7.90

Zmarł w Sydney w wieku 84 lat Edmund Jakubowski, redaktor wydawanego przed wojną w Kownie *Dnia Polskiego*, wieloletni współpracownik pism emigracyjnych, w tym *Kultury*, gdzie pisywał stale pod pseudonimem E. Żagiell.

12.7.90

W Londynie obchodzono bardzo uroczyste 50-lecie założenia *Dziennika Polskiego*. W sumie było 12 naczelnych redaktorów. Pierwszym był Jerzy Szapiro, a później Karczewski, Sopicki, Lityński, Szerer, Czarnocki, Horko, Bregman, Wohner, Karol Zbyszewski, Szumski — a obecnie Czyżowski.

13.7.90

Zmarł w Paryżu w wieku 84 lat Feliks Mantel, prawnik i publicysta, długoletni działacz PPS.

14.7.90

Zmarł w Paryżu w wieku 76 lat ks. mjr Marceł A. Stopa, OMI, kapelan naczelny Związku Kół I Dywizji Pancerniej, z którą był związany. Wybitny działacz „Kościoła w potrzebie”.

29.7.90

Zmarł w Wiedniu w wieku 79 lat Bruno Kreyski, b. kanclerz Austrii od 1970 do 1983 r. Była to znacząca postać w polityce europejskiej. Jego współpraca z krajami arabskimi nadała mu prestiż międzynarodowy, a jednocześnie zatrzała stosunki Austrii z Izraelem.

5.8.90

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zawiadamia, że w Bibliotece Polskiej zostanie otwarta wystawa malarstwa Olgi Boznańskiej, która będzie trwała do 3 grudnia br.

17.9.90

Na Uniwersytecie w Nancy (Francja) odbędzie się międzynarodowe kolokwium: *Le regard de „l'autre Europe” sur l'Europe — Paradigmes culturels et démocratisation*.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W maju zmarł w San Francisco dziennikarz Stanisław L. Lewicki współpracujący przed wojną z pismami *Czas*, *7 groszy*, *Kurier Wieczorny* a po wojnie — z *Wiadomościami* i *RWE*. ■ W maju w wyniku wzmoczonej kontroli granicy amerykańsko-kanadyjskiej, aresztowano kilkunastu Polaków usiłujących nielegalnie dostać się do USA. Na granicy tej od pewnego czasu rozwija się dość intratny

proceder, dzięki któremu za sumę około 5.000 dolarów chętni mogą w samochodach ciężarowych próbować ją przekroczyć. ■ W połowie maja Jacek Kuroń otrzymał doktorat honorowy w University Emory w Atlancie (Georgia) oraz na zaproszenie Departamentu Pracy przebywał w Waszyngtonie gdzie spotkał się z członkami Kongresu i pracownikami administracji. ■ W Atlancie wytwórnia Coca Coli przekazała 150.000 dolarów na fundusz szkoleniowy polskich związkowców utworzony przez amerykański Departament Pracy i związki zawodowe AFL CIO. Kuroń będący w tym czasie właśnie w Atlancie skwitował dar stwierdzeniem, że większość pieniędzy znajdzie się w rękach zachodnich ekspertów. ■ W dniach 16-18 maja w Nowym Jorku odbyło się doroczne spotkanie The American Jewish Committee, w którym wziął udział darzony wielką sympatią przez Żydów amerykańskich biskup wrocławski Henryk Muszyński, przewodniczący Komisji Episkopatu Polski do Dialogu z Judaizmem. ■ Thomas Simons został mianowany nowym ambasadorem w Polsce; w latach 1968-1971 sprawował on już różne funkcje w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. ■ Agencja d/s Rozwoju Międzynarodowego (AID) zatwierdziła w maju w Waszyngtonie pomoc żywnościową dla Polski w wysokości 20 milionów dolarów oraz 100 tysięcy dol. na Fundusz Rynków Kapitałowych i Prywatyzacji. ■ 30 maja do Uniwersytetu Stanowego w Ames (Iowa) przybyła grupa dzieci z Gdańska w ramach programu „Odyseja Umysłów” dla dzieci wybitnie uzdolnionych; młodzież z Polski po raz pierwszy bierze udział w tym programie. ■ W maju przebywała w Polsce misja gospodarcza stanu Connecticut, jednego z najmniejszych w USA, zamieszkałego przez 3 miliony ludzi, ale posiadającego doskonale rozwiniętą gospodarkę i eksport. Na pozytywną wobec Polski postawę gubernatora Williama O'Neila, senatora Christophera Dodda oraz biznesmenów wpływa niewątpliwie stanowisko licznej i dobrze zorganizowanej lokalnej Polonii. ■ W Muzeum Polskim w Chicago w maju i czerwcu prezentowano plakaty i grafikę Jana Lenicy, który otrzymał prestiżową nagrodę w Harvard University; artysta od lat mieszka w Paryżu. ■ W początkach czerwca otwarto kolejne regularne połączenie lotnicze między Warszawą a Stanami Zjednoczonymi (do Los Angeles). ■ 12 czerwca odbył się ingres nowego arcybiskupa Detroit, którym został po kardynale Edmundzie Szoce, arcybiskup Adam Maida, urodzony w Pensylwanii i wykształcony w polonijnych kolegiach, m.in. w Zakładach Naukowych w Orchard Lake. Jego poprzednik został powołany do Watykanu w celu uzdrowienia finansów, po usanowaniu finansów archidiecezji detroickiej przeprowadzonym w 1989 roku; efektem tej działalności kard. Szoki było zamknięcie wielu opuszczonych kościołów w Detroit, zabytkowych i polskich, ale przynoszących straty. ■ W połowie czerwca wizytę w Polsce złożył kongresmen ze stanu Illinois, Dan Rosteńkowski, który otrzymał doktorat honorowy na Uniwersytecie Warszawskim. ■ 14 czerwca zmarł z Houston (Teksas) Ryszard Cieśla, wybitny aktor, współ-

pracownik Jerzego Grotowskiego. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej podjął współpracę z Volunteers in Overseas Cooperative Assistance w celu wsparcia rolnictwa indywidualnego w Polsce. Najważniejszymi celami są poprawa usług kredytowych i bankowych dla rolnictwa, poprawa technologii przetwarzania żywności oraz pomoc w prywatyzacji PGR-ów i rozwoju prawdziwej spółdzielczości. ■ Wizytujący Polskę amerykańscy biznesmeni interesowali się również inwestycjami w rolnictwie oraz przetwarzaniem żywności, telekomunikacją, budownictwem mieszkaniowym i ochroną środowiska. Niestety z wielu artykułów w prasie amerykańskiej i polonijnej wynika, że przeszkodą w inwestowaniu w Polsce jest nie tylko brak podstawowych instytucji ekonomicznych istniejących w cywilizowanych krajach, oraz zaplecza technicznego (telekomunikacja, wyposażenie banków), ale również zgoła trzeciowiekowe nawyki polskich menadżerów (łapownictwo, nepotyzm). ■ Nowojorski Instytut Józefa Piłsudskiego podjął współpracę z Rzeszowskimi Zakładami Graficznymi, które uzyskały w ten sposób prawo do wydania publikacji Marszałka i możliwość sprzedaży za pośrednictwem tego Instytutu. ■ Polskie uczelnie jako jedne z ostatnich znalazły się w systemie sieci informacyjnej IBM; ten amerykański koncern wyposaży Uniwersytet Warszawski w komputery o wartości 5 milionów dolarów. ■ Po wizycie w Krakowie w końcu czerwca Mark Edelman, zastępca dyrektora Agencji d/s Rozwoju Międzynarodowego oraz doradca prez. Busha zobowiązał się do działań, aby to miasto otrzymało 15 milionów dolarów na ratunek przed zagładą ekologiczną. ■ W ostatnich dniach czerwca amerykańskie okręty wojenne złożyły pierwszą od 63 lat wizytę w porcie gdyńskim. ■ W dniach 28–30 czerwca w Detroit odbył się co półroczny Zjazd Rady Dyrektorów KPA (radę tworzą przedstawiciele stanowych oddziałów KPA i delegaci organizacji członkowskich tworzących Kongres) poświęcony omówieniu sytuacji w Polsce oraz problemowi politycznego uaktywnienia Polaków w USA; akcentowano konieczność położenia większego nacisku na sprawy wewnątrzamerykańskie zamiast na sprawy polskie. Poinformowano, że Komisja Charytatywna KPA wysłała do Polski 83 morskie kontenery o wartości 17 milionów dolarów. ■ W ostatnich dniach czerwca w Warszawie utworzono Misję Handlową stanu Illinois, która ma służyć rozwijaniu kontaktów gospodarczych i kulturalnych między tym stanem (największym skupiskiem Polaków i osób polskiego pochodzenia poza Polską), a Polską, ale też ma pomagać w zwalczaniu alkoholizmu i narkomanii. Dyrektorem misji został Maciej Cybulski, dziennikarz związany z organem Związku Narodowego Polskiego — *Dziennikiem Związkowym*. Wokół tej nominacji rozpętała się burza namietności; jej przeciwnicy twierdzą, że Cybulski ma na swoim koncie kilka afer finansowych w przeszłości. ■ W czerwcu przestała się ukazywać w Detroit najstarsza polonijna gazeta codzienna *Dziennik Polski*, od pewnego czasu wydawana raz na tydzień. Ostatni redaktor tej gazety, Ewa Junczyk-Ziomecka, próbowała ją uratować przez połą-

czenie wydania angielskiego i polskiego, przez uatrakcyjnienie treści oraz przez organizowanie zbiórek pieniężnych. Ziomecka nie użyła jednak wsparcia finansowego polonijnych organizacji. ■ W lipcu zainaugurowano w Krakowie działalność Szkoły Biznesu, którą zorganizował szef chicagoskiego oddziału PUNO, doktor Hubert Romanowski, a na której działalność uzyskano pieniądze od Agencji Informacyjnej USA (koszty przelotów dla wykładowców), German Marshall Found of the United States (opłaty za hotele, wyżywienie i ufundowanie niewielkich stypendiów) oraz Mellon Foundation (koszta administracyjne). ■ W uniwersytecie stanowym w St. Paul (Minnesota) zostanie zorganizowane archiwum Alojzego Mazewskiego, nieżyjącego prezesa KPA i ZNP. ■ W Cleveland działa jeden z niewielu w Stanach Zjednoczonych — Teatr Polski przy Związku Polaków w Ameryce, którym kieruje aktor Andrzej Mirecki. ■ W lipcu zmarł Stefan Koper, dziennikarz związany z przedwojennymi *Ekspresem Porannym* i *Przeglądem Sportowym*. Koper podczas wojny ratował polskich Żydów za co otrzymał odznaczenie Yad Vashem, Bartoszewski zaś poświęcił mu cały rozdział w książce „The Samaritans Heroes of the Holocaust”. Po wojnie Koper po przybyciu do Stanów Zjednoczonych uczył w Wojskowej Szkole Języków Obcych w Monterey (Kalifornia). ■ Do Stanów Zjednoczonych przybyło 16 stypendystów (po 7 z Polski i Węgier, 2 z Czechosłowacji) National Forum Foundation, aby studiować funkcjonowanie amerykańskich instytucji demokratycznych oraz środków masowego przekazu. W 1990 roku jest przewidziany pobyt 3 takich grup. ■ Zorganizowano wakacje w Polsce dla dzieci pochodzących z polonijnych rodzin. Fragmenty listów, które przedrukował *Nowy Dziennik* świadczą nie tylko o przepaści cywilizacyjnej dzielącej Stany Zjednoczone od Polski, ale i o nienajlepszej organizacji pobytu amerykańskiej młodzieży w Polsce. ■ Jan Karski otrzymał doktorat honorowy w State University of Oregon. ■ Najnowsze zmiany w polskich konsulatach — w Nowym Jorku konsulem będzie Jerzy Surdykowski, w Chicago — Hubert Romanowski. ■ Przy KPA powołano Komitet Pomocy Polakom w Rosji, który będzie współpracował z organizacjami w Polsce w odbudowie polskości w Związku Sowieckim. ■ Zgodnie z Konstytucją USA co 10 lat przeprowadzany jest ogólnokrajowy spis powszechny a jego wyniki mają wpływ nie tylko na strukturę Izby Reprezentantów, ale także na rozdział finansów między poszczególne stany i powiaty oraz ustalanie tzw. klucza etnicznego w wielu urzędach i instytucjach publicznych. W związku z tym bardzo niepokojący jest — mimo bezustannych apeli prasy polonijnej — nikły udział Polaków oraz Amerykanów polskiego pochodzenia w spisie. Wyniki spisu wskazywałyby, iż w niektórych dzielnicach Chicago — gdzie mieszkają głównie Polacy — w ogóle ich nie ma. ■ W St. Mary's College w Orchard Lake, jedynej uczelni w stanie Michigan posiadającej samodzielny wydział studiów polskości, wzrasta systematycznie liczba studentów zainteresowanych polską kulturą, historią i języ-

kiem (50 osób na 250 studentów). ■ Hoover Institution (Stanford, Kalifornia) przekaza Instytutowi Pamięci Narodowej w Polsce kopie materiałów archiwalnych dotyczących najnowszej historii polskiej. ■ Richard Lourie, jeden z najlepszych tłumaczy literatury polskiej i rosyjskiej, student Czesława Miłosza z lat 60-tych, jest odpowiedzialny za polskie wydanie dzieł Abrahama Lincolna, które jest darem gubernatora stanu Nowy Jork, Mario Cuomo, dla narodu polskiego.

Mariusz SZAJNERT

KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

Tegoroczne wybory do federalnego australijskiego parlamentu wykazały duże zmniejszenie poparcia zarówno dla Australijskiej Partii Pracy (rządzącej od 1983 roku) jak i dla pozostającej w opozycji koalicji, złożonej z Partii Liberalnej (wbrew nazwie jest to stronnictwo o programie podobnym do angielskiej Partii Konserwatywnej) i jej sojusznika o niewielkich wpływach — Partii Narodowej (farmerów). Masowy odpływ głosów od Australijskiej Partii Pracy i w mniejszym stopniu od konserwatywnej opozycji był cechą charakterystyczną federalnych wyborów. Zwyciężyła Australijska Partia Pracy przy bardzo zmniejszonej różnicy ilości mandatów do parlamentu w stosunku do opozycji. W ostatnich wyborach i w pośrednich do federalnego parlamentu, do obu izb parlamentu nie wszedł nikt z polskiej grupy etnicznej, liczącej ponad 160 tys. osób (około 1% ludności Australii). Dotychczas z polskiej grupy etnicznej był szereg lat temu jedynie jeden poseł, reprezentujący Australijską Partię Pracy, w jednej kadencji w stanowym parlamencie w Nowej Południowej Walii. W australijskim życiu politycznym najbardziej zaangażowani i widoczni są przedstawiciele dwóch największych grup etnicznych w tym kraju — greckiej i włoskiej (razem około miliona osób). Polska społeczność ma dość duży udział w australijskim życiu naukowym i artystycznym, ale zupełnie nie jest widoczna na scenie politycznej Australii, co z kolei ogranicza możliwości tworzenia tak potrzebnego dla Polski tzw. lobby, tj. zespołu osób wywierających wpływ na znaczące instytucje i osoby. ■ Australia od kilku lat przyjmowała rocznie około 140 tys. imigrantów (14 tys. ze względów humanitarnych, jak np. uchodźców politycznych, 71 tys. w ramach łączenia rodzin i 52 tys. do pracy w określonych zawodach). Na bieżący australijski rok finansowy (1990/91) kwota imigracyjna została zmniejszona do 126 tys. Rocznie milion osób czyni starania o zezwolenie na osiedlenie się w Australii. ■ Stan li-

czebny polskiej emigracji w Australii znacznie powiększył się w latach osiemdziesiątych. Przybyło w tym okresie na osiedlenie, zwłaszcza w pierwszych latach ubiegłej dekady, ponad 25 tys. osób, głównie w charakterze uchodźców politycznych. Z tej liczby powróciło do Polski w latach osiemdziesiątych około dwóch tysięcy osób. Obecnie przybywa z Polski, na podstawie łączenia rodzin, około tysiąca osób oraz ponad tysiąc z różnych krajów osiedlenia. Australia jest krajem imigrantów i dzieci imigrantów pochodzących ze 140 państw, żyjącym bez zakłóceń rasowych, etnicznych czy religijnych. Aktualnie 20% ludności Australii urodzone jest za granicą. Jedynie Izrael posiada większy procent obywateli urodzonych poza krajem. ■ W tym roku ludność Australii przekroczyła 17 milionów. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy nastąpił milionowy wzrost ludności. Przyrost imigracyjny wyniósł pół miliona. W tym okresie przyjechało do Australii 900 tysięcy osób, ale wyjechało 400 tysięcy. Najwięcej osób przybyło z Wielkiej Brytanii, Irlandii, Nowej Zelandii, Filipin, Wietnamu, Hongkongu i Malezji. ■ Wprowadzona przez Kanadę polityka wielokulturowości, z założeniem zaakceptowania różnorodności kulturowej i równości grup etnicznych, uzyskała szerokie poparcie dwóch głównych australijskich stronnictw politycznych — Australijskiej Partii Pracy i Partii Liberalnej — oraz australijskiego społeczeństwa. Wielkie zasługi w rozszerzaniu i umacnianiu wielokulturowości w Australii ma prof. Jerzy Zubrzycki, uważany za pioniera i architekta wielokulturowości w Australii. Prof. Zubrzycki, obecnie na emeryturze, był założycielem katedry socjologii na Australijskim Narodowym Uniwersytecie; zanim został przewodniczącym Australijskiej Rady do Spraw Etnicznych (w charakterze doradcy dla federalnego rządu w kwestiach polityki emigracyjnej i etnicznej) był konsultantem rządu kanadyjskiego i brytyjskiego w sprawach imigracji. Prof. Zubrzycki jest obrońcą tezy o możliwości integracji w społeczeństwie wielokulturowym, bez jednoczesnego wynarodowienia, z zachowaniem własnej odrębności, własnych instytucji społecznych i kulturalnych danej grupy etnicznej. Zdaniem prof. Zubrzyckiego przenikanie się kultur przeludnionej i mniejszościowych w społeczeństwie wielokulturowym powinno być dwukierunkowe. Przywódca Australijskiej Partii Pracy podkreślił w swoim oświadczeniu, że „wielokulturowość jest kluczową polityką społeczną rządu, która nie tylko dotyczy imigrantów, ale dotyczy wszystkich Australijczyków. Wielokulturowość polega na trzech zasadach: poszanowaniu różnic kulturowych, popieraniu sprawiedliwości społecznej i wydajnej gospodarce”. ■ W rocznicę masakry studentów w Pekinie, na placu Tien An Men, rząd australijski przedłużył prawo azylu dla dwudziestu tysięcy studentów chińskich, studiujących na australijskich uniwersytetach. ■ Na mapie Australii mamy około 40 nazw polskich. Najwięcej nazw związanych jest z osobą Pawła Strzeleckiego (1797–1873, podróżnika, geologa, badacza Australii) i dzieli się one na noszące jego nazwisko oraz nadane przez niego. Najwyższy szczyt Australii, 2 229 m, nazwał Strzelecki

w marcu 1840 r. górą Kościuszki (Mont Kościuszko). ■ W okresie 40-lecia istnienia powojennej australijskiej Polonii (przybyłej w masowym napływie w latach 1947–1950; przed wojną środowisko polonijne w Australii liczyło zaledwie ponad tysiąc osób), wychodziło ogółem kilkanaście różnych polskich pism. Obecnie ukazują się dwa tygodniki (rozchodzące się po całej Australii), towarzyszące australijskiej Polonii przez cały 40-letni czas jej istnienia. Są to: *Wiadomości Polskie*, wydawane w Sydney pod redakcją Jana Dunina-Karwickiego oraz *Tygodnik Polski*, wydawany w Melbourne pod redakcją Jerzego Grot-Kwaśniewskiego. Oprócz wymienionych tygodników wydawane są dwa miesięczniki (również o zasięgu na całą Australię): *Przegląd Katolicki* (Sydney) publikowany przez księży chrystusowców, redagowany przez ks. dr Antoniego Dudka SC oraz *Kurier Zachodni*, którego redaktorem jest Andrzej Basiński. Tak więc australijska Polonia posiada cztery pisma o zasięgu ogólnoaustralijskim. Można przyjąć, że ogółem obecnie czyta omawianą prasę około 30 tys. osób, co stanowi w stosunku do 160 tysięcy australijskiej Polonii około 20%, więcej niż np. wśród amerykańskiej czy francuskiej Polonii. ■ Na podstawie informacji uzyskanych od polskich firm wysyłkowych w Australii, wartość indywidualnych paczek i przekazów pieniężnych, wysyłanych do Polski przekracza obecnie dwanaście milionów dolarów australijskich rocznie. Dochodzą jeszcze dość duże ilości indywidualnych przesyłek pieniężnych, załatwianych przez banki i dolarów przekazywanych podczas wizyt w Polsce. Według oficjalnie opublikowanych informacji, z tytułu spadków wysyłanych jest obecnie z Australii do Polski ponad dwa miliony dolarów australijskich rocznie. Można przyjąć, że ogólna wartość indywidualnej pomocy materialnej australijskiej Polonii wynosi obecnie około dwudziestu milionów dolarów australijskich rocznie. ■ W stolicy Australii Canberra zostało otwarte muzeum, chyba jedyne tego rodzaju na świecie, w którym głównym obiektem i tematem są opale, posiadające szerokie zastosowanie w jubilerstwie. Australia zajmuje pierwsze miejsce w światowej produkcji szlachetnych opali — 95%. W muzeum tym są również eksponaty — wyroby tubylców, aborygenów i okazy innych szlachetnych kamieni oraz interesujący zbiór polskich bursztynów. Muzeum, w okazałym budynku, prowadzone i będące własnością polskiej rodziny Zofii i Janusza Wojciechowskich, jest miejscem licznych wizyt turystów. ■ Australijski teatr „Anthill” w Melbourne wystawił dla publiczności australijskiej sztukę Sławomira Mrożka „Emigranci” z udziałem polskiego aktora (osiadłego w Australii) Jacka Kormaniana. ■ Wśród nowych książek polskich autorów w Australii zostały wydane w języku angielskim: Anny Wiciak-Suchnickiej „Wooden Butterflies” (tłumaczenie poprzednio wydanej pt. „Drewniane motyle”), dwie książki polsko-ukraińskiego poety Piotra Skrzyneckiego „Beloved Mountain” i „Night Swim”, Leokadii Kondratowicz-Kordas wspomnienia z deportacji na Sybir pt. „The Polish Heart”, Stefana Nowickiego o problemie polsko-żydowskim pt.

„The Defamation of Poles”. Koło Polek w Zachodniej Australii wydało dwujęzyczny tom poezji „Śpiew wędrownych ptaków”. W języku polskim ukazały się: Tadeusza Kempy — „Emigrancki brunlion”, teksty kazań i przemówień — „Zło dobrem zwyciężać — życie i śmierć księdza Jerzego Popiełuszki”, zbiór wierszy Zbigniewa Jasińskiego „Krwia i rymem” (dokumenty powstańcze), wspomnienia o zmarłym polskim lotniku i dziennikarzu Bolesławie Korpowskim wraz z wyborem jego artykułów — „Śmigłem i piórem”. ■ Wystawienie trzeciej części „Dziadów” A. Mickiewicza dla australijskiej Polonii, zorganizowane przez polską firmę Contal, pobiło wszelkie rekordy wśród dotychczas urządzanych przedstawień teatralnych. Aktorzy: Jan Englert, Mariusz Benoit, Jerzy Zelnik, Piotr Machalica i Adam Bauman. ■ Z okazji urodzin królowej Wspólnoty Brytyjskiej Elżbiety II, na liście odznaczonych Orderem Australii jest w tym roku dwóch Polaków — Włodzimierz Wojak MBE (George Wojak), były prezes Klubu Polskiego w Sydney, były federalny prezes Federacji Rad Etnicznych w Australii a obecnie jej wiceprezes, za zasługi w dziedzinie wielokulturowości i spraw etnicznych oraz Jan Suchowiecki z Brisbane, harcmistrz, działacz młodzieżowy i harcerski, za zasługi w działalności na rzecz polskiej społeczności. ■ 1 lipca zmarł w Sydney Edmund Jakubowski, redaktor wydawanego przed wojną w Kownie *Dnia Polskiego*, pisma Polonii litewskiej, wieloletni współpracownik szeregu pism emigracyjnych w tym paryskiej *Kultury* (prowadził stały dział kroniki litewskiej, jako Żagiell), londyńskiego *Orla Białego*, argentyńskiego *Kuriera Polskiego*, sydneyjskich *Wiadomości Polskich*, melbourneńskiego *Tygodnika Polskiego*. ■ Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii (z siedzibą w Melbourne) wznowiła w tym roku, po 6-letniej przerwie, XXI z kolei Święto Sportowe, tym razem zorganizowane na terenie nowo powstałego Polskiego Ośrodka Sportowo-Rekreacyjnego w dzielnicy Melbourne Sunshine, na które przybyło ponad tysiąc osób. Święta Sportowe urządzone corocznie (przed 6-letnią przerwą) przez wiktoriańską Federację były rodzajem „olimpiad” australijskiej Polonii, w których uczestniczyły zespoły sportowe z całej Australii (około 600 zawodników), przy frekwencji dochodzącej do pięciu tysięcy osób. ■ Długoletni działacz Polonii nowozelandzkiej, doktor nauk humanistycznych katolickiego Uniwersytetu w Lublinie, Jerzy Pobóg-Jaworowski jest autorem i wydawcą książki w języku angielskim o historii polskiego osadnictwa w Nowej Zelandii w okresie ostatnich dwustu lat. ■ Prezes Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii Stanisław E. J. Dąbrowski (urodzony w Nowej Zelandii, syn prezesa Krajowego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów), jako członek misji handlowej wraz z nowozelandzkim ministrem spraw zagranicznych i handlu był w Polsce, Czechosłowacji, Wschodnich Niemczech i na Węgrzech, spełniając również rolę tłumacza. Głównym celem misji było nawiązanie kontaktów handlowych, w nowej sytuacji politycznej, jaka zaistniała w tych krajach. ■ Na dorocznym walnym zebraniu Krajowego Stowarzyszenia Polskich

Kombatantów w Nowej Zelandii, 27 maja br. w Wellington, zostały wybrane władze z prezesem Stanisławem Dąbrowskim i wiceprezesem Ludwikiem Kowalczykiem. ■ Organizacja „Solidarność”, grupująca głównie osoby z najnowszej emigracji wysłała 4.235 nowozelandzkich dolarów dla Komitetu Obywatelskiego Lubelszczyzny, na zakup fotokopiarki oraz 375 tychże dolarów dla Komitetu Obywatelskiego w Inowrocławiu na zakup papieru drukarskiego.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

KRONIKA KANADYJSKA

Życzę Ukraińcom najlepiej i dlatego też gorąco zalecam im posługiwanie się i opieranie na faktach. W bardzo interesującym wywiadzie p. Agopsowicz z Tarasem Kuzio — *Kultura* nr 7/8, 1990 — w ustępie dotyczącym Kanady natrafiłem na błędy, które wydają się świadome. Niektórzy bowiem przedstawiciele i rzecznicy mniejszości narodowych (etnicznych) w określaniu liczebności uważają ścisłość za zbędną, a może szkodliwą. Pan Kuzio nie jest ani pierwszym, ani też jedynym bagatelizującym dane statystyczne. Niektórzy orędownicy polskich ośrodków imigracyjnych oraz ich krajowi poplecznicy również posługują się „sercową” (*wishful thinking*) statystyką. Wbrew twierdzeniu p. Kuzio, iż w Kanadzie na 25 milionów wszystkich obywateli Ukraińców jest około 2 milionów, rzeczywistość wygląda inaczej.

I tak wg spisu powszechnego z 1981 r. na ogół ludności: 24.083.500 ukraińska grupa etniczna liczyła 754.980, w tym jednorodna (tzn. oboje rodzice Ukraińcy): 529.615, a wielorodna: 225.365.

Być może — aczkolwiek to wątpliwe — p. Kuzio znał dane z tzw. Małego Spisu z 1986 r., ale i te są dalekie od ok. 2 milionów.

Wg tego ostatniego spisu ludność wzrosła do 25.309.350, a etniczna grupa ukraińska do 949.800, w tym jednorodna: 420.200, a wielorodna : 529.600.

Zmiany zaszły też w grupie polskiej, która w 1981 r. liczyła 404.000, w tym jednorodna — 254.500, a wielorodna — 150.000; w 1986 r. stan liczebny wynosił: 612.100, w tym jednorodna — 222.300, a wielorodna — 389.800.

Język jest niewątpliwie najistotniejszym czynnikiem i problemem przynależności narodowej (etnicznej). Powstrzymuję się od danych dla grupy ukraińskiej, gdyż są smutniejsze aniżeli dla polskiej. I tak wg spisu z 1986 r. polski jako język ojczysty zadekla-

rowało 123.125 osób z grupy jednorodnej i 27.925 z wielorodnej, tj. 55,4% pierwszej grupy polskiej, a 7,2% drugiej. Językiem polskim w domu posługiwało się tylko 55.150 osób. Tymczasem wielu naszych prominentów w Kanadzie i Polsce ciągle głosi, iż tutaj niebawem będzie milion Polaków i że poza granicami Polski jest ich 13.000.000.

B.H.

Z ostatniej chwili

12.8.90

Gorbaczow przywrócił obywatelstwo sowieckie „dysydemtom”-emigrantom odebrane im w latach 1966-1988. Najpierw przywrócono obywatelstwo Solżenicynowi, Maksimowowi, Zinowiewowi i Żoresowi Miedwiediewowi a obecnie 175 osobom, m.in. Michałowi Hellerowi, który od przeszło 20 lat współpracuje z *Kulturą* publikując swój „Przegląd prasy sowieckiej” pod pseudonimem Adam Kruczek. Nie wiadomo jeszcze jakie będą postanowienia w stosunku do 400.000 Żydów, którzy wyemigrowali od Izraela pod koniec lat 60-tych i byli automatycznie pozbawieni obywatelstwa na podstawie dekretu z 1966 roku.

Aleksander Solżenicyn nie przyjął przywróconego mu obywatelstwa sowieckiego, oświadczając, że najpierw Związek Sowiecki musi odwołać wysuwane przeciwko niemu zarzuty, na mocy których obywatelstwa został pozbawiony.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Listy do Redakcji

Zabrze, 9.05.1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Lektura eseju Pana Stanisława Bieniasza „Górny Śląsk” (*Kultura* Nr 4/511, 1990) budzi mieszane uczucia: niewątpliwą zasługą autora jest postawienie tego problemu na wokandy socjalno-politycznej. Rzeczywiście obronę ujęcia tego zagadnienia w interesie grupy społecznej „rasowych Ślązaków” podjęło się niewiele. Jeśli treść zmierza we właściwym kierunku i jest trafna, to w szeregu przypadków zjawiają się wyraźne przerosty germanofilskie. Esej przesycony jest smutnym mottem: „urodzić się na Śląsku jest specyficznym przekleństwem”. Fakt, że przed 1945 bakcyl „niemcowości” włożono każdemu Ślązakowi do kolebki nie jest jego winą, logicznym następstwem jest konformizm — co w Warszawie niesłusznie bierze im się za złe. Ziemia ta była w różnych okresach historycznych obiektem wyzysku, zaś ambiwalencje narodowościowe są zawsze składową regionów przygranicznych, co należy uszanować. Cechą charakterystyczną społeczeństw losowych jest nieufność, którą trzeba wkalkulować w rozsądną politykę, co jest zrozumiałe, bowiem nieraz „żagle śląskie” zrywał wiatr historii. W 1945 komuniści niemieccy, jak podkreśla autor, denuncjowali Ślązaków wobec żołnierzy frontowych, potem jednak komuniści warszawscy „płacili” monetą sowiewką. Prostolinijność i uczciwość Ślązaków zawsze wykorzystywana była przez mocodawców; w Niemczech byli najtańszą siłą roboczą, w Polsce zaś często stroniącymi od nauki robotami. Nieliczne zdolne jednostki „Gminy Górnośląskiej” po wykształceniu lądowały dawniej w Berlinie a dziś w Warszawie, pozostali — bierni, ociążali, społecznie najniżej stojący, których jednak najcenniejszą zaletą był kult pracy i zdolność „z małego zrobić wiele”. Komuniści nie pytali, co się dzieje w głowach tych ludzi, przez los doświadczonych, chcących się dobrowolnie podporządkować sprawiedliwej władzy, oczekujących polskiego ciepła rodzinnego, poprawnych stosunków międzyludzkich i szacunku. PZPR usiłowała uczynić ze Ślązaków bezkrytyczną miazgę społeczną traktowaną nie z pozycji „my”, lecz z pozycji „oni” nie dopuszczając ich do odpowiedzialnego współtworzenia polskiej wspólnoty. W opętanym biegu do socjalizmu zepchnięto ich pod koła historii, doprowadzono do kryzysu tożsamości, zaś kulturę polską zobaczyli w krzywym zwierciadle komunizmu. Oczywiście wszelkie błędy i ociążałość umysłową komunistów i nie tylko komunistów manipulacyjnie wykorzystali Niemcy pod pretekstem „praw człowieka” i wyzyskując nawisy historyczne. W tym psychologicznym polu napięć i braku perspektyw ujmuje ich — co nie dziwi — wołowy taniec Helmuta. W tym rozgardiaszu Ślązacy nie dojrżeli judaszowego pocałunku w Krzyżowej, natomiast zobaczyli srebrniki w jego dłoni. PZPR zdołała wytworzyć przekonanie, że wszystko co polskie to komunistyczne, stąd też nikt nie identyfikował się z Polską Ludową. Najbardziej trafna jest charakterystyka pośła E. Osmańczyka: „nic tak nie zgermanizowało Ślązaków jak Polska Ludowa”.

Reanimacja mniejszości niemieckiej — ludzi noszących w większości polskie imiona i nazwiska — jest rachunkiem wystawionym komunistom za doznane krzywdy i upokorzenia ostatnich 45-ciu lat. Mniejszościowe towarzystwa kulturowe szanujące różnorodność są zjawiskiem pożytecznym, lecz nie można zapominać o niechlubnej roli, jaką ta organizacja odegrała na Śląsku przed 1939 rokiem; o funkcji *der fünften Kolonne* przypomina nawet korespondentka *Die Zeit* (Nr 15, 6.04.1990).

Majaki o autonomii Górnego Śląska są spuścizną myślenia marksistowsko-engelsowskiego; już w 1919 niemiecko-katolicka partia „Centrum” domagała się autonomii — oczywiście pod protektoratem niemieckim — celem skanalizowania żywiołu polskiego: *Kohlenstaat* miał się zwać ten twór i być *Land*em Rzeszy. Przy jej poparciu powstała m.in. w 1920 „Organisation Escherich”, która szermując hasłami równouprawnienia tworzyła bojówki niemieckie używane do aktów terrorystycznych i morderstw. Niechlubną rolę odegrał tu kardynał A. Bertram przez swoje antypolskie zarządzenia. Autonomia Górnego Śląska byłaby rodzajem muru zbudowanego z poniemieckich kamieni pochodzenia słowiańskiego.

Umniejszenie wielkiego znaczenia Powstań Śląskich budzi najdelikatniej mówiąc zdziwienie: tak jak niegodziwie uczestników powstań potraktowali komuniści tak i autor czyni ponownie pośmiertnie krzywdę tym bohaterskim Ślązakom; ofiara krwi już tylko z ludzkiego punktu widzenia zasługuje na najwyższy szacunek. Nie była to widocznie „znikoma mniejszość”, skoro zdołała wyprzeć technicznie dobrze wyposażone i przeważające siły niemieckie do Linii Korfantej o Góry Św. Anny (z respektem: takie ujmowanie spraw śląskich świadczy o niefrasobliwości młodego wieku lub o kosmopolitycznej izolacji, a może nawet o niedoczytaniu historii Górnego Śląska z poważnych źródeł przedwojennych, anglosaskich i niemieckich). W. Korfanty był mężem stanu o formacie europejskim, którego wymiar moralny zasługuje na szacunek; uwzględniając geografii Polski, był jednym z pierwszych budowniczych mostu polsko-niemieckiego (konceptyjne nieporozumienia z Marszałkiem Józefem Piłsudskim i tragiczne w skutkach z wojewodą Grażyńskim były natury międzyludzkiej, aczkolwiek wysoce niegodziwe).

Kryterium narodowości nie decyduje o wartości człowieka, lecz jest jego integralną właściwością, oczywiście bez szowinistycznych osądów; należenie do zespołu jest instynktem, któremu trudno zaprzeczyć. Tożsamość jest elementem charakteru człowieka i należy pozwolić jej rosnąć; w życiu są momenty kiedy trzeba pokazać, do której chorągwi się należy.

Pomimo uroczystych deklaracji w narodzie niemieckim nadal istnieje tradycyjna *Polenfeindlichkeit*; najbardziej cierpią z tego powodu „wysiedleńcy”, którzy nazywani są pogardliwie *dreckige Pimoki*.

Dziś, w okresie przełomu psychologicznego, gdy opresja komunistyczna należy do przeszłości — Ślązakom należy dać to, co im się należy: poczucie godności i wzajemnego szacunku na własnej polskiej ziemi, pozwolić im własny los wziąć we własne ręce. Podstawą współżycia winno być wypracowanie i przestrzeganie wspólnego normatywnego systemu reguł, aby pokój nie istniał tylko nad wspólnymi grobami. Przed władzami zaś stoi moralno-polityczny egzamin dojrzałości: formułą górnośląską powinien być dalekowzroczny dialog oparty na cierpliwości i obliczalności, a siłą wyobraźni powinno się powiązać współczesność z nurtem „ottowskim” — wtedy się będzie „zrastać to co razem należy”.

Z wyrazami szacunku

Józef GRABKA

Paryż, 12 czerwca 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Z niemałym osłupieniem przeczytałem artykuł p. Renaty Górczyńskiej pt. „Literatura polska na Zachodzie” opublikowany w nr 19 *Tygodnika Powszechnego* z 13 maja 1990. Twierdzi ona, iż w tej dziedzinie „stosunkowo najlepiej zna sytuację na rynku francuskim i amerykańskim”. Niestety fragment jej artykułu, o w którym pisze o tłumaczach i wydawcach naszej literatury we Francji, świadczyłby o czymś odwrotnym. Od dwudziestu lat działam w tej właśnie dziedzinie, by nie powiedzieć walcząc, aby literatura polska przestała być kopcuszkim w tym kraju i na tym niezmiernie trudnym terenie. I to zarówno jako tłumacz, recenzent i doradca literacki. Nie jestem na szczęście sam. P. Górczyńska wspomina m.in. Laurence Dyèvre (nie Dièvre!), Jean Yves Ehrela i Daniela Beauvois, którzy rzeczywiście są doskonałymi tłumaczami i mają już niemały dorobek. Zgoda. Czyżby jednak nigdy nie słyszała o wielkim tłumaczu większości dzieł S.I. Witkiewicza, Alainie Van Crugtenie, o Teresie Dzieduszyckiej (Thérèse Douchy), tłumacze Schulza, Herlinga-Grudzińskiego, Brandysa, o Zofii Bobowicz, tłumacze Korczaka, Konwického i Miłosza, a poza tym energicznie kierownicze serii „Pavillons Est” u Roberta Laffonta, w której ukazało się szereg książek polskich, o poliglote Dominique Sila, znakomitej tłumacze Lema (8 tomów) i autorce licznych świetnych przekładów z poezji polskiej od Norwida po Ewę Lipską, o Elisabeth Destrée Van Wilder, tłumacze Rudnickiego, Pankowskiego i Filipowicza (7 tomów), o Lucienne Rey, tłumacze Ficowskiego i Brandstaettera, autorce pięknej antologii „Rebelles et rêveurs” (Buntownicy i marzyciele) obejmującej utwory czternastu polskich poetów dysydentów, o Gérard Conio, tłumaczu Wata i S.I. Witkiewicza, Maryli Laurent, tłumacze kilku powieści Konwického, François Rosset, tłumaczu książek Szczępińskiego? A przecież działali na terenie Francji do niedawna: Anna Posner, Allan Kosko, Joanna Ritt, Jerzy Lisowski, Georges Sédir...

Niżej podpisany jest współautorem (pracując metodą Konstantego Jeleńskiego) 12 tomów przekładów: cztery Gombrowicza, trzy Kuśniewicza, trzy Miłosza i dwa Norwida, z których dwa otrzymały nagrodę najlepszej książki roku („Król obojga Sycylii” Kuśniewicza w 1978 i „Dziennik 1961-1969” Gombrowicza w 1981) oraz licznych tłumaczeń poetów polskich (m.in. Norwida, Micińskiego, Miłosza, Baczyńskiego i poetów okresu okupacji, Słonimskiego, Wierzyńskiego, Grochowiaka) drukowanych we francuskiej prasie literackiej. Czyżby i o tym p. Górczyńska nie wiedziała?

Wspomina ona o tłumaczach, którzy niedawno zadebiutowali, jak Marie Bouvard i André Kozimor, a nawet o tych, którzy nie wydali jeszcze ani jednej samodzielnej książki, jak Katarzyna Skansberg i François Piel. Pięknie. Ale czy nie należałoby raczej wspomnieć chociaż o tamtych, jakże zasłużonych dla kultury polskiej ludziach? A także o wydawcach, którzy nareszcie otwierają się na literaturę naszego kraju, jak np. świetny Actes Sud, który prowadzi od kilku lat „Serię polską”, czy choćby l'Age d'Homme, którego zasługi w tej dziedzinie są wręcz nieocenione.

Zawód tłumacza literackiego (w przeciwieństwie do tłumaczy technicznych!) jest we Francji zajęciem niezmiernie trudnym, niewdzięcznym, źle płatnym (tłumacz zarabia mniej od sprzątaczk!), wymagającym wielu wyrzeczeń. Dotyczy to zwłaszcza literatur rzadkich, mało tutaj znanych, do których należy literatura polska, nie mogących więc liczyć na większe nakłady. Choć trzeba przyznać, że ta sytuacja powoli zmienia się na lepsze, wydawcy stają na głowie, by płacić jak najniższe stawki i używają rozmaitych

wybiegów, aby się wymigać od płacenia praw autorskich (tzn. procentów od sprzedaży każdego egzemplarza).

W tych warunkach tłumacze literatury polskiej we Francji zasługują chyba na tym większe uznanie oraz na życzliwą i rzetelną informację o ich pracy dla publiczności w Polsce. Tej informacji w artykule p. Górczyńskiej nie znalazłem.

I jeszcze jedno. Twierdzenie, iż „francuski odbiorca nie tylko opornie sięga po współczesną poezję obcą dostępną w przekładach, ale w ogóle stracił zainteresowanie poezją jako taką” świadczy, iż p. Górczyńska nie ma rozeznania w tym, co się we Francji dzieje. Bo ta sytuacja, prawdziwa do niedawna, zmienia się w sposób wyraźny już od dobrych kilku lat. Długa byłaby lista wydawców, którzy coraz częściej sięgają do poezji obcej, wydając ją w dodatku w edycjach dwujęzycznych; np. znakomita seria „Orphée” w Editions de La Différence, w której ukazało się już około 60 tomików poezji z całego świata i różnych epok, dla której *nota bene* przygotowuję tom wierszy Andrzeja Kuśniewicza i która ma wydać wybory poezji Kochanowskiego i Słowackiego; świetne serie poetyckie w wydawnictwach Arfuyen, Actes Sud, José Corti, Messidor, Obsidiane, Verdier, Granit (który ma wydać obszerny tom wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w moim przekładzie), Cahiers Bleus (gdzie niebawem ukaże się mój mały wybór poezji polskiej o drzewach oraz antologia polskiej poezji katastroficznej). A przecież wielkie domy wydawnicze jak Gallimard, Flammarion, L'Age d'Homme stale wydają poezję obcą! Działają także we Francji doskonałe periodyki w dużej mierze albo wręcz całkowicie poezji poświęcone: *Poésie* (wyd. Belin), *Poésie 90* (wyd. Seghers), *Corps écrit* (wyd. PUF), *Polyphonie*, *Cahiers Bleus*, *Europe*. Oto jak wygląda prawda o aktualnej sytuacji poezji we Francji.

Krzysztof JEŻEWSKI

7.8.1990

Szanowny Panie Redaktorze,

W wydawanym w Poznaniu tygodniku *Wprost* zamieszczono rozmowę ze Zdzisławem Najderem, w której zawarte były nieprawdziwe twierdzenia dotyczące mojej osoby. Sposób, w jaki *Wprost* potraktowało mój list w tej sprawie, prowadzi do wniosku, że dalsza korespondencja z redakcją na ten temat jest bezcelowa. Zapewne zgodzi się Pan, że podobne praktyki przypominają niedawne a mało chwalebne czasy prasy PRL, z tym, że nie ma dla nich teraz usprawiedliwienia w postaci cenzury czy poufnych instrukcji z partyjnych komitetów.

Pozwalam sobie zatem prosić o zamieszczenie mego listu otwartego, w nadziei, że przyczyni się to do uwrażliwienia redaktorów i czytelników prasy na jej nadużywanie w celach, które ani z wolnością słowa, ani z kulturą polityczną, ani wreszcie z interesem publicznym niewiele mają wspólnego.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Tomasz MIANOWICZ

LIST OTWARTY

Z nadzieją obserwuję restytucję praw obywatelskich w Polsce. Ponurym paradoksem byłaby jednak sytuacja, w której likwidacji nakazów i zakazów cenzury towarzyszyłoby wykorzystywanie prasy do publikacji pomówień i

dezinformowania czytelników. Jeszcze gorzej byłoby, gdyby osoby bezpośrednio zainteresowane nie mogły bronić się przed rozpowszechnianiem w druku fałszywych i dezawuujących je twierdzeń. A akurat taka właśnie sytuacja mi się przytrafiła.

W zamieszczonym w poznańskim tygodniku *Wprost* 22.4.1990 r. wywiadzie z przewodniczącym Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie — Zdzisławem Najderem, znalazłem taką oto wypowiedź prowadzącego rozmowę red. Janusza Michalaka:

Publicysta Tomasz Mianowicz zarzucił panu, że jest pan agentem KGB. Czy dlatego właśnie musiał pan zrezygnować z posady w Monachium? (chodzi o posadę dyrektora Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa — przyp. tm).

Przypuszczenie p. Michalaka jest niedorzeczne, gotów jednak jestem przyjąć, że nie zna on mechanizmów polityki personalnej w RWE. Jego twierdzenie jest natomiast nieprawdziwe, co więcej dyskwalifikuje mnie jako publicystę. Napisałem zatem list do redakcji *Wprost*, prosząc o jego zamieszczenie. List opublikowano 10.6.90, a jakże, tyle, że nie był to mój list. Z tekstu napisanego przeze mnie usunięto 5 fragmentów, zmieniono dwa inne, deformując sens całego listu. Śmiem przypuszczać, że skróty nie były spowodowane brakiem miejsca. Z listu zniknęły bowiem fragmenty dla mnie najistotniejsze, a mianowicie te, w których wskazuję, że red. Michalak sugeruje czytelnikom, iż jako publicysta (a zatem w jakims artykule czy opublikowanej wypowiedzi) sformułowałem cytowany zarzut. Rzecz nie w tym, kto jest czym agentem, lecz w tym, że zarzut taki w stosunku do kogokolwiek mógłby postawić tylko maniak, bo trudno sobie wyobrazić, aby jakkolwiek publicysta dysponował danymi na temat tajnych współpracowników KGB.

Fałszywe i dyskredytujące mnie twierdzenie dziennikarza *Wprost* zapisać muszę wyłącznie na jego konto. Red. Michalak przyznaje, że źródłem dla jego „informacji” był sam Najder; tenże przypisał mi jednak w książce „Czy Polaków stać na optymizm? Rozmowy ze Zdzisławem Najderem” (Berlin Zachodni, 1988) zaledwie rozpowszechnianie w rozmowach i w „listach do różnych osób duchownych i świeckich” opinii, że jest on agentem KGB. Znow nieprawda, ale nie jedyna. Z mego listu do *Wprost* zniknął cały fragment, w którym zwracam uwagę na to, że rozliczne ogłoszone drukiem wypowiedzi Z. Najdera na temat pięciu lat jego dyrektorowania w Monachium tudzież rezygnacji/zwolnienia z posady szefa Sekcji Polskiej RWE, nie zawsze odpowiadają prawdzie.

Integralny tekst swego listu załączam, podkreślając fragmenty usunięte bądź zmienione przez redakcję *Wprost*. Nietrudno spostrzec, że po przeróbce list dotyczy nie tyle rozpowszechniania w druku fałszywych twierdzeń i skutków tegoż (co było jego głównym wątkiem), lecz pytania, czy uważam p. Najdera za agenta KGB, choć moim zamiarem nie było prowadzenie dyskusji na ten temat.

Pan Najder całą sprawę uważa za tragikomiczną — czytam we *Wprost* z 10 czerwca br. — i „nie uznaje za celowe, aby się do niej osobiście ustosunkować”. Przepraszam: jaką sprawę? „Sprawę” w formie, w jakiej pojawiła się ona w „Czy Polaków stać na optymizm?” oraz w wywiadzie „Śmierć w zawieszeniu” (dobry tytuł dla Gérarda de Villiers...) skonstruował jednak sam Najder. Natomiast pytania o jego ewentualne powiązania z UB (nie mylić z KGB) postawiono publicznie na spotkaniu przedstawicieli polskiej emigracji politycznej w Monachium w 1987 r. Podobne pytanie pojawiło się w tekście „Pologne: Les vrais dissidents et les autres” we francuskim czasopiśmie *Désinformation-Hebdo* (nr 91 z 15.12.88). Również przy lekturze artykułu „Radio Free Europe und die Warschauer Regierung” w

niemieckim *Criticonie* (nr 108, lipiec/sierpień 1988), czy też wywiadu Ewy Kubasiewicz z Józefem Darskim („Solidarność Walcząca”, Oddział Trójmiasto, 15-16 IV 1990) różne powstają asocjacje.

Zastanawiający jest zatem fakt, że przewodniczący Komitetu Obywatelskiego i były dyrektor RWE nie reaguje na ogłoszone drukiem wypowiedzi, wymyśla natomiast moje listy „do osób duchownych i świeckich”, publikuje fałszywe twierdzenia na ich temat i inspirowane innymi do ich rozpowszechniania. Przypuszczam, że p. Najderowi — podobnie jak mnie — nie chodzi o dyskusowanie ewentualnych powiązań z tajnymi służbami; chodzi mu o coś całkiem innego.

Z lektury „Rozmów z Zdzisławem Najderem” wynika, że miał on w RWE przeciwników; wymieniony z nazwiska jest jednak tylko jeden — Mianowicz (właśnie jako autor „listów do duchownych i świeckich”). Tymczasem liczba procesów sądowych, związanych z pełnieniem przez Z. Najdera funkcji dyrektora Rozgłośni Polskiej RWE, dochodziła w porowach do 10, nie mówiąc już o rozłamie w zespole. Może zatem p. Najder, korzystając ze swojej obecnej pozycji, traktuje wywiady jako możliwość polityczno-personalnych rozrachunków?

Przypomina mi się nienowa zresztą opinia, jakoby Józef Mackiewicz pisał, że Sołżenicyna nie ma. Wniosek wynikał z tego prosty: Mackiewicz to wprawdzie wybitny pisarz, ale polityczny szaleniec. Ogłosił on nawet swego czasu specjalne oświadczenie, podkreślając, że nigdy nie pisał, iż Sołżenicyn nie istnieje. Nie pomogło. Nie mnie się równać z Mackiewiczem, porównać jednak można metody i cel. Tam: wybitny pisarz a twierdzi, że Sołżenicyn to produkt KGB; tu „zdolny publicysta” („Rozmowy ze Zdzisławem Najderem”, str. 15) a pisze „listy do osób duchownych i świeckich, że Najder to agent KGB” (tamże).

Znanemu Mackiewiczowi nie pomogło oświadczenie prasowe, więc i mnie zapewne nic nie pomoże, zwłaszcza, że Najder to polityczna gwiazda pierwszej wielkości — przynajmniej dla niektórych — „przywódca narodu” (*Trybuna*, 25.4.90). Na dodatek czasy się zmieniły... Chcę wierzyć, że na lepsze. Niechby więc dobry Bóg dał, a redaktorzy polskiej prasy zadbali o to, by była ona tym, czym być powinna w państwie praworządym i w społeczeństwie wolnych obywateli: środkiem informacji, wymiany opinii i kształtowania poglądów, a nie instrumentem dyskredytowania osób nie lubianych przez prominentów nowej nomenklatury politycznej.

Tomasz MIANOWICZ

27.VII.1990

Szanowni Państwo,

Do tekstu Andrzeja Bulandy i mojego (a raczej do jego odnośnika — *Kultura* Nr 6/513 1990) wkradły się dwa niezmiernie ważne dla mnie przeoczenia. Chodzi mi o zamieszczenie odpowiednich wyjaśnień:

1) Realizację wszystkich moich projektów w Polsce są wynikiem pracy zespołów warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, w obu cytowanych wypadkach byłem tam rzeczywiście tzw. „głównym projektantem”. Zespół dworca kolejowego W-wa Śródmieście: Fangor, Ihnatowicz, Sołtan, Szczepiński, Tomaszewski, Gessler; zespół ośrodka sportowego W-wa Mokotów: Fangor, Ihnatowicz, Sołtan, Tomaszewski, Wittek, Gessler.

2) Kościół w Sochaczewie nie został wybudowany wg projektu naszego

zespołu (Ihnatowicz, Nowosielski, Sołtan, Szczepiński). Po wygraniu przez nas konkursu i zaawansowaniu prac, projekt został nam odebrany i oddany innemu architektowi. Znany i brzydki ten wypadek opisuję szczegółowo w pełnym wydaniu „Rozmów”.

Z góry Państwu dziękuję za zamieszczenie tych sprostowań w Waszym piśmie, na czym mi OSOBISZCIE, NIEZMIERNIE zależy...

Łączę wyrazy szacunku

Jerzy SOŁTAN

Los Angeles, 30-go czerwca 1990

Szanowny Panie Redaktorze:

O ile z zainteresowaniem powitałem wywiad z prof. Jerzym Sołtanem, o tyle od razu, od pierwszych zdań, zaczęło mnie ogarniać nieprzyjemne zdziwienie. Najpierw uderzyła mnie jego naiwna wiara w możliwość uniezależnienia się polskiej sztuki od formułek sowieckich. Potem fakt, że pomimo ostrzeżenia stalinisty Putramenta, Sołtan wrócił, kiedy inny posiadacz legitymacji partyjnej, Franciszek Strynkiewicz, ofiarował mu posadę w Akademii SP.

Zastanawiając jest, że Sołtan-architekt widzi wszystko związane ze środowiskiem architektonicznym w tak niekorzystnym świetle. Nie wymienia ani jednego sprawiedliwego. Nawet w oflagu, gdzie zetknął się z architektami i liczniejszymi od nich malarzami, tym ostatnim daje sumarycznie o wiele wyższą rangę. W Akademii widzi, że „szlachetni ludzie... próbowali uchronić sztukę i kulturę polską, a takiego nastawienia na Politechnice nie było”. Mówi również, że był świadkiem „infiltracji” ze strony Politechniki, „żeby jakoś przerobić charakter Akademii”. Dziwna ta nagła infiltracja, skoro profesorowie Wydziału Architektury Oskar Sosnowski, Lech Niemojewski, Marian Lalewicz, Bohdan Pniewski, Romuald Gutt i Zygmunt Kamiński byli już od lat 20-tych i 30-tych wykładowcami jednocześnie na obu tych uczelniach.

Sołtan szczególnie zaciekle krytykuje działalność prof. Zygmunta Kamińskiego. Ma od tego prawo, jeżeli mówi o jego metodzie nauczania. Niemniej jednak przekracza granice dobrego smaku, wspominając, że mógł obserwować „takich politruków, jak Zygmunt Kamiński, grafik”, który „poprzez żonę Trzciańską-Kamińską (był) powiązany z najbardziej reakcyjnymi kołami katolickimi”. Sołtan sugeruje także, że ten dziwny, związany z reakcją katolicką politruk „rozpyła” (sic) wokół siebie atmosferę UB, bo na jakimś zebraniu (Sołtan nie jest pewny na jakim) powiedział, że „wszyscy wiedzą, jak należy sztukę prowadzić w kierunku socrealizmu” co zdaniem Sołtana miało oznaczać, że za Kamińskim stoi Władza, a Władza był wtedy Urząd Bezpieczeństwa. Bardzo ciężki zarzut i kompromitująca swoją naiwnością oraz brakiem logiki argumentacja. Słowo „socrealizm” odmieniało się wtedy aż do znużenia we wszystkich przypadkach, używając go także celowo na użytek cenzorów w książkach i spiciół na zebraniach. Według mego wyczucia wypowiedź prof. Kamińskiego mogła mieć wydźwięk ironiczny, tak jak wiele jego uwag w czasie korekt i w rozmowach prywatnych.

Prof. Zygmunta Kamińskiego znałem dostatecznie długo, dobrze i blisko, nie tylko dlatego, że byłem jego studentem, ale także dlatego, że jako recenzent wystaw artystycznych w jednym z dzienników warszawskich spędziłem z nim wiele godzin na dyskusjach dotyczących sztuki. Prof. Z. Kamiński miał taki sam stosunek do socrealizmu, który znaliśmy już z doświadczeń sowieckich, jak wszyscy zdający sobie sprawę z jego właściwego charakteru i

skutków. Monstrualne i dalekie od elegancji w formie oskarżanie go, że był jakąś „wtyczką”, której zadaniem było wszczęcie tej doktryny w Akademii jest możliwe tylko dlatego, że prof. Z. Kamiński od wielu lat nie żyje i że harcowanie na jego temat może być teraz uprawiane bezkarnie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku, oraz pozdrowienia,

Jerzy SZEPTYCKI

Paryż, 28.6.1990

Drogi Panie Redaktorze,

Przypuszczalnie doszły do Pana Redaktora wieści o katastrofalnej sytuacji Księgarni Polskiej w Paryżu. Trudno w krótkim liście wyrazić to, co się tam dzieje:

1. Półki są puste, brak zupełnie książek, zwłaszcza w języku francuskim. Księgarnia nie reguluje faktur paryskim wydawcom (nie tylko zresztą paryskim) i nikt za darmo książek nie będzie dostarczał.

2. Światło, woda, telefon płacone są po kilku upomnieniach i groźbach wyłączenia. Podobnie jest z opłaceniem czynszu.

3. Nie ma chyba dnia, żeby ktoś nie zgłosił się z rachunkiem do zapłaty, ale odchodzi z niczym.

4. Kierownik Księgarni, p. Piotr Jegliński, jest nie do uchwycenia, stąd coraz częściej sprawy Księgarni znajdują się w rękach komorników i adwokatów. Ostatnia specjalność p. Jeglińskiego, to wystawianie czeków bez pokrycia.

Listę można by wydłużyć, ale nie jest to chyba już potrzebne. Należałoby przynajmniej jeszcze wspomnieć o wypowiedzeniu, w brutalny sposób, pracy dwóm paniom, oddanym od wielu lat Księgarni: Marii Elster i Jacqueline Dyjas. Pierwsza została już zwolniona i otrzymała trzy czeki bez pokrycia; druga czeka ten sam los za cztery tygodnie.

Księgarnia, z piękną tradycją od 1833 roku, położona w Dzielnicy Łacińskiej, bardzo dobrym punkcie Paryża, jest zarządzana przez osobę, czy też zespół, który przynosi Polakom wstyd. Kto jest za to wszystko odpowiedzialny? Dlaczego nie reaguje Polska Fundacja Kulturalna w Londynie — będąca głównym, obok Jeglińskiego, akcjonariuszem Księgarni — pomimo, że zna istniejący stan rzeczy? W ogóle kto i dlaczego oddał Księgarnię w dzierżawę Jeglińskiemu?

Księgarnia otrzymuje subwencje, rozsyła apele o pomoc na wydawnictwa do Polski, ma różne fundusze, ale to wszystko jest bez żadnej kontroli. Jedynym zarządcą funduszy jest Jegliński, z rezultatem jak wyżej. W Warszawie została otwarta filia wydawnictwa „Spotkania”, które prowadzi Jegliński. Można się obawiać, że p. Jegliński i w Polsce stosuje podobne metody eksploatacji funduszy, wzorowane na metodach przedsiębiorczych aparatczyków z minionego okresu. Czy rzeczywiście Kraj potrzebuje tego rodzaju „pomocy” od emigracji? A już na pewno nie jest potrzebne zapaskudzenie u Francuzów opinii „polskim gospodarowaniem”, jak to czyni Jegliński w paryskiej Księgarni Polskiej.

Łączę serdeczne pozdrowienia.

Tadeusz WYRWA

**WPŁATY NA INTERNAT LICEUM UKRAIŃSKIEGO W
LEGNICY**

Zbigniew Herbert, Paryż, honorarium za „Elegię na odejście” F. 3.000,00
Włodek Kapłan, Sollentuna (Szwecja) — wpłaty miesięczne za
maj-czerwiec 1990 po Krs 100,00, razem Krs 400,00 F. 380,00

Zbigniew Panek, Kolonia (RFN) — na Fundusz Niepodległości
Litwy — DM 30,00 F. 100,00

NOWOŚĆ WYDAWNICZA!
MAREK CELT
RAPORT Z PODZIEMIA — 1942

Emisariusz rządu RP — jedyny cichociemny, który dwukrotnie skoczył ze spadochronem do okupowanej Polski i dwukrotnie wrócił do Londynu po wykonaniu misji — relacjonuje sytuację w Podziemiu w 1942 r. Opisuje też dramatyczną — cały rok trwającą, przerwana pobyt w więzieniu i obozie koncentracyjnym — drogę powrotną do centrali, wiodącą przez pół Europy.

„Raport z Podziemia — 1942” jest do nabycia w księgarniach polskich i u autora. Str. 409, zdjęcia, dokumenty. Cena — DM 36,00 lub równowartość.

SKŁAD GŁÓWNY:

Marek Celt, Nikolaus-Mueller-Str. 13
D-8033 Planegg

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.

N° d'imprimeur 3143-1990

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1990

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fh 20,00	Fh 95,00	Fh 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; P. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 10,00	\$ can. 50,00	\$ can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 85,00	DM 160,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 135,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalkskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 47,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 500; półroczna — F. 260.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 460 — ZBIGNIEW HERBERT

ELEGIA NA ODEJŚCIE

Nowy tom poezji

Str. 48.

Cena F. 50,00.

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOŚZ

ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłosza ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do formy autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczerzy, jest „Rok myśliwego” podaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

Str. 288.

Cena F. 145,00.

TOM 463 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY TRZECI

zawiera opracowania: Jerzy Polaczek: *Losy patrolu kpt. „Wani”*; W. Dworzyński: *„Sprawa prezydentury”*; Tadeusz Wyrwa: *Likwidacja ambasady RP przy Watykanie w latach 1958 i 1972*; Kajetan Bieniecki: *Frantic*; Jan Ciechanowski: *Notatki z rozmów z gen. Tadeuszem Pełczyńskim*; Andrzej Zahorski: *Tadeusz Łepkowski (21 I 1927 — 16 XII 1989)*; Z.S. Siemaszko: *Ks. prałat Stanisław Bełch*; Gen. Izidor Modelski: *Wojskowe przyczyny klęski wrześniowej (cz. II)*; Tomasz Lenczewski: *Deklaracja płk. Jana Mazurkiewicza „Radostawa” z 8 września 1945*; *Polska w końcu 1945 r. w ocenie podziemia niepodległościowego*; *UB a PSL po ucieczce Mikołajczyka — listopad 1947*; Benedykt Heydenkorn: *Etapy likwidacji ukraińskiej autonomii*; Z.S. Siemaszko: *Wilno 1939–41*; Jerzy Krzyżanowski: *Drugi brzeg Oki*; Jan Nowak: *Rozmowa z Władimirem Horbowym*; Andrzej Kempfi: *Śladami Rejtana*; Józef Kowalski: *Drobny przyczynek do polskiego antysemityzmu oraz bogaty dział LISTOW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 47 F